



WYDAWNICTWO
SOWA DRAGA

WIEK XX OD KUCHNI!

Franz-Olivier Giesbert



Franz-Olivier Giesbert

Kucharka Himmlera

Z języka francuskiego przełożyła
Agnieszka Rasińska-Bóbr



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

*Eliemu W., mojemu starszemu bratu,
który tak wiele mi dał.*

„Nie czekaj, chceszli wierzyć, do jutra, żyj z młodu
I dzisiaj jeszcze zacznij zrywać życia róże”^[1].

RONSARD

^[1] Pierre Ronsard, *XLIII*, przeł. Jan Mieczysławski [w:] *Druga księga sonetów dla Heleny* [w:] Jerzy Lisowski, *Antologia poezji francuskiej*, Czytelnik, Warszawa 1966, s. 437.

Prolog

Nie znoszę ludzi, którzy się skarżą. A takich nie brakuje na tej ziemi. Dlatego mam problem z ludźmi.

W przeszłości miałam wiele okazji do uzalania się nad sobą, ale zawsze udawało mi się oprzeć tej pokusie, która zmieniła świat w padół łez.

W gruncie rzeczy jedynym, co nas odróżnia od zwierząt, nie jest sumienie, którego w naszej głupocie ich pozbawiamy, ale właśnie ta skłonność do rozczulania się nad sobą ściągająca ludzkość w dół. Jak można jej ulegać, skoro na zewnątrz woła nas przyroda, słońce, ziemia?

Aż do ostatniego tchnienia, a nawet dłużej, będę wierzyć wyłącznie w siłę miłości, śmiechu i zemsty. To ona kierowała mną, pośród nieszczęść, przez ponad sto lat, i szczerze mówiąc, nigdy nie przyszło mi tego żałować, nawet dziś, gdy moje stare kości nie chcą mnie już nosić i wkrótce położę się w grobie.

Powiem wam od razu, że nie mam w sobie nic z ofiary. Oczywiście, jestem tak jak wszyscy przeciwko karze śmierci. Chyba że sięgam po nią sama. Stosowałam ją od czasu do czasu w przeszłości, po to żeby wymierzyć sprawiedliwość, ale też po to, by mi ulżyło. Nigdy tego nie żałowałam.

Póki co, nie daję sobie w kaszę dmuchać, nawet u siebie, w Marsylii, gdzie rzekomo rządzi hołota. Ostatnio przekonał się o tym na własnej skórze jeden łobuz, który często kręci się niedaleko mojej restauracji, w pobliżu kolejek czekających w sezonie na statki na wyspę If i Frioul. Obrabia kieszenie albo torebki turystkom, a nieraz im je wyrywa. To ładny chłopak, porusza się elastycznym krokiem i ma takie przyspieszenie jak mistrz olimpijski. Nazwałam go Gepard. Policja powiedziałaaby, że jest „w typie arabskim”, ale ja nie dałabym sobie za to ręki uciąć.

Mnie kojarzy się raczej z chłopakiem z bogatej rodziny, który się stoczył. Kiedyś, gdy szłam po ryby na nabrzeże, natrafiłam na jego wzrok. Mogę się mylić, ale zobaczyłam na dnie tylko rozpacz człowieka, któremu wszystko pomieszało się w głowie, gdy z powodu lenistwa czy zrządzeniem

losu przestał być rozpieszczonym dzieckiem.

Któregoś wieczoru, gdy zamknęłam restaurację, zorientowałam się, że idzie za mną. Pech chciał, że jak raz wracałam do domu pieszo. Dochodziła północ, wiał taki wiatr, jakby statki miało porwać, i na ulicach nie było żywej duszy. Idealne wprost warunki, żeby kogoś napaść. Gdy na wysokości place aux Huiles spojrzałam przez ramię i zobaczyłam, że zaraz mnie wyprzedzi, odwróciłam się raptownie i wycelowałam w niego z glocka 17: kaliber 9 mm, 17-nabojowy magazynek, małe cacko. I wrzasnęłam:

– Nie masz nic lepszego do roboty, niż próbować obrabować stuletnią staruszkę, kretynie?

– Ale ja nic nie zrobiłem, psze pani, nie miałem zamiaru zrobić nic złego, przysięgam.

Nie był w stanie ustać w jednym miejscu. Przypominał dziewczynkę, która skacze przez skakankę.

– Z reguły – stwierdziłam – facet, który przysięga, że jest niewinny, zawsze jest winny.

– To nieporozumienie, psze pani. Spacerowałem i tyle.

– Posłuchaj, matole. Jeżeli strzelę, to przy tym wietrze nikt nic nie usłyszy. Więc nie masz wyboru: jeżeli chcesz ocalić skórę, natychmiast oddawaj torbę z tym badziewiem, którego nakradłeś przez cały dzień. Dam to komuś, kto naprawdę jest w potrzebie.

Wycelowałam w niego z glocka, jakbym wskazywała go palcem.

– I żebym cię znowu nie przyłapała na tym samym. Wolę nie myśleć, co by cię wtedy spotkało. No już, zjeżdżaj!

Rzucił torbę, ruszył biegiem i wrzasnął, gdy tylko znalazł się wystarczająco daleko:

– Stara wariatka, ty stara wariatko!

Potem poszłam rozdać całą zawartość torby: zegarki, bransoletki, komórki i portfele mocno zaprawionym kloszardom, którzy trzeźwili grupowo na pobliskim place Estienne-d'Orves. Podziękowali mi z lękiem

i zdziwieniem. Jeden z nich stwierdził, że jestem nienormalna. Odpowiedziałam mu, że już to słyszałam.

Nazajutrz właściciel pobliskiego baru ostrzegł mnie: poprzedniego wieczoru znowu kogoś obrabowano przy place aux Huiles. Podobno tym razem napastnikiem była staruszka. Nie zrozumiał, dlaczego wybuchnęłam śmiechem.

1

Pod znakiem Dziewicy

Marsylia 2012. Pocałowałam list, potem pozostało mi tylko trzymać kciuki, by zawierał pomyślne wiadomości. Jestem bardzo przesądna, to moja słabość.

List wysłano z Kolonii, w Niemczech, o czym świadczył stempel na znaczku. Na odwrocie koperty widniało nazwisko nadawcy: Renate Fröll.

Serce zaczęło mi bić bardzo szybko. Byłam przestraszona, a jednocześnie szczęśliwa. Dostać osobisty list w moim wieku, gdy wszyscy inni już dawno nie żyją, to prawdziwe wydarzenie.

Postanowiłam, że otworzę list później, w ciągu dnia, żeby móc jak najdłużej czuć podniecenie, jakie mnie ogarnęło, gdy go dostałam. Znowu pocałowałam kopertę, tym razem z drugiej strony.

Są takie dni, gdy mam ochotę całować co bądź, czy to rośliny, czy meble, ale staram się tego nie robić. Nie chciałabym, żeby ludzie uznali mnie za starą wariatkę, którą można straszyć dzieci. W wieku niemal stu pięciu lat pozostał mi tylko cienki głosik, pięć dobrych zębów, wyglądam jak sowa i nie pachnę fiołkami.

Jednak jeśli chodzi o kuchnię, trzymam się jeszcze nieźle: sądzę, że jestem wręcz jedną z królowych Marsylii, tuż za tą drugą Rose, osiemdziesięcioośmioletnią młodką, która gotuje nadzwyczajne dania sycylijskie przy rue Glandevès niedaleko opery.

Ale gdy tylko wyjdę ze swojej restauracji, żeby pospacerować po mieście, odnoszę wrażenie, że ludzie się mnie boją. Tylko w jednym miejscu najwyraźniej moja obecność nie kłóci się z otoczeniem: na wapiennym szczycie, z którego złożony posąg Najświętszej Marii Panny z La Garde zdaje się wzywać do miłości świat, morze i Marsylię.

Z domu do pracy i z powrotem wozi mnie Mamadou, na tylnym siedzeniu motocykla. Wysoki chłopak, który w restauracji jest moim alter ego. Zajmuje się salą, pomaga mi w kasie i wszędzie taszczy mnie ze sobą

na swoim śmierdzącym pojeździe. Lubię czuć jego kark na swoich wargach.

Gdy restauracja jest zamknięta, w niedzielę po południu i przez cały poniedziałek, mogę godzinami siedzieć na ławce w słońcu, które przypieka mi skórę. Gwarzę sobie w myślach ze wszystkimi znajomymi zmarłymi, z którymi niedługo spotkam się w niebie. Przyjaciółka, z którą urwał mi się kontakt, mawiała, że ich towarzystwo jest znacznie przyjemniejsze niż towarzystwo żywych. Ma rację: nie są przewrażliwieni, a w dodatku mają masę czasu. Słuchają mnie. Uspokajają.

Starość nauczyła mnie, że ludzie są znacznie bardziej żywi w nas po śmierci. Dlatego śmierć nie oznacza czyjś zniknięcia, tylko wprost przeciwnie, jego odrodzenie w umysłach innych.

W południe, gdy słońce traci wszelką miarę i wbija we mnie nóż albo, co gorsza – kilof, przebijając mój czarny wdowi strój, zwijam się i chowam w cieniu bazyliki.

Klękam przed srebrną Najświętszą Panią, która góruje nad ołtarzem, i udaję, że się modlę, a potem siadam i ucinam sobie drzemkę. Bóg jeden wie, dlaczego tu śpi mi się najlepiej. Może uspokaja mnie kochający wzrok posągu. Nie przeszkadzają mi krzyki i głupawy śmiech turystów. Dzwony też nie. To prawda, że jestem strasznie zmęczona, jakbym bez przerwy wracała z długiej podróży. Kiedy opowiem wam historię mojego życia, zrozumiecie dlaczego, a przecież ta historia to nic takiego, to znaczy nic wielkiego: małe chlupot w historii, w tym błocie, w którym wszyscy się babramy i które z każdym stuleciem wciąga nas coraz głębiej.

Historia to paskudztwo. Zabrała mi wszystko. Moje dzieci. Moich rodziców. Moją wielką miłość. Moje koty. Nie rozumiem tego głupiego uwielbienia, jakie wzbudza u ludzi.

Cieszę się bardzo, że odeszła, już i tak wyrządziła wiele szkody. Ale wiem, że niedługo wróci, wyczuwam napięcie w powietrzu, widzę to w ponurym wzroku ludzi. Przeznaczeniem ludzkości jest pozwalać

głupocie i nienawiści wieść ją nad zbiorowe mogiły, których nie przestały wypełniać poprzednie pokolenia.

Ludzie są jak zwierzęta prowadzone na rzeź. Idą tam, gdzie kieruje ich przeznaczenie, ze spuszczonego wzrokiem, nigdy nie patrzą przed siebie ani nie oglądają się za siebie. Nie wiedzą, co ich czeka, nie chcą wiedzieć, mimo że nie ma nic łatwiejszego: przyszłość to odbicie, czkawka, zgaga, nieraz wymiociny przeszłości.

Przez długi czas starałam się ostrzegać ludzkość przed trzema plagami naszej epoki, nihilizmem, chciwością i spokojem sumienia, przez które traciła rozum. Brałam w obroty sąsiadów, zwłaszcza ucznia rzeźnika, który mieszka w mojej klatce, bledziutkiego chuderlaka o dłoniach pianisty, ale widzę, że nudzę go swoim gadaniem, i kiedy mijamy się na schodach, czasem łapię go za rękaw, żeby nie uciekł; zawsze udaje, że się ze mną zgadza, ale wiem, że chodzi mu tylko o to, żebym go puściła.

Z innymi jest tak samo. Przez ostatnie pięćdziesiąt lat nie spotkałam nikogo, kto by mnie wysłuchał. W końcu zamilkłam, zmęczona, aż do dnia, w którym rozbiłam lusterko. Przez całe życie jakoś mi się udawało nigdy żadnego nie stłuc, ale tego ranka, patrząc na kawałki szkła na podłodze w łazience, zrozumiałam, że dopadł mnie pech. Sądziłam nawet, że nie doczekam końca lata. W moim wieku byłoby to normalne.

Kiedy człowiek myśli sobie, że umrze i nikogo przy nim wtedy nie będzie, nawet psa ani kota, pozostaje tylko jedno wyjście: sprawić, by ktoś się nim zainteresował. Postanowiłam spisać swoje wspomnienia i poszłam kupić cztery kołnotatniki w dziale papierniczym księgarni pani Mandonato, dobrze zachowanej sześćdziesięciolatki, którą nazywam „staruszką”, jednej z najlepiej wykształconych kobiet w Marsylii. Gdy miałam już zapłacić, zauważyłam, że coś ją męczy, więc udałam, że szukam drobnych, żeby miała czas zadać mi pytanie:

- Na co ci te zeszyty?
- Też mi pytanie! Żeby napisać książkę!
- Jakiego rodzaju książkę?

Zawahałam się, a potem powiedziałam:

– Będzie łączyć w sobie wszystkie rodzaje, staruszkko. Będzie hymnem na cześć miłości i ostrzeżeniem dla ludzkości przed grożącymi jej niebezpieczeństwami. Żeby nigdy nie musiała przeżywać tego, co ja przeżyłam.

– Na ten temat napisano już wiele książek...

– Widocznie nie były dostatecznie przekonywujące. To będzie historia mojego życia. Mam już tytuł roboczy: „Moje sto lat z hakiem”.

– To dobry tytuł, Rose. Ludzie uwielbiają wszystko, co dotyczy stulatków. Ten rynek obecnie bardzo szybko się rozwija, niedługo będą ich miliony. Dramat polega na tym, że o stulatkach piszą ludzie, którzy urządzają sobie kpiny.

– A ja w swoich wspomnieniach spróbuję pokazać, że nie umarliśmy, póki żyjemy, i że mamy jeszcze coś niecoś do powiedzenia...

Piszę rano, ale też wieczorem przy kieliszeczku czerwonego wina. Od czasu do czasu zamaczam w nim wargi, dla przyjemności, a gdy brakuje mi natchnienia, piję łyk, żeby się skoncentrować.

Tamtego wieczoru było już dobrze po północy, gdy zdecydowałam się przerwać pisanie. Postanowiłam nie czekać, aż będę leżeć umyta w łóżku, by otworzyć list, który tego ranka znalazłam w skrzynce. Nie wiem, czy to kwestia wieku, czy emocji, ale tak bardzo drżały mi ręce, gdy go otwierałam, że podarłam w kilku miejscach kopertę. Kiedy przeczytałam jego treść, zrobiło mi się słabo, mój mózg po prostu się wyłączył.

2

Samir Mysz

Marsylia 2012. Gdy po kilku sekundach wróciłam na ziemię, po głowie chodziła mi piosenka The Jackson 5: *Can you feel it?* Michael w swoim najlepszym okresie życia z prawdziwym głosem niewinnego dziecka, a nie, tak jak później, zarozumiałego kastrata. Moja ulubiona piosenka.

Czułam się dobrze, jak za każdym razem, gdy ją nucę. Mówi się, że gdy, osiągnąwszy pewien wiek, człowiek budzi się i nic go nie boli, to znaczy, że nie żyje. Miałam dowód, że jest odwrotnie.

Gdy się ocknęłam, nic mnie nie bolało, nie umarłam, nawet nic sobie nie zrobiłam.

Podobnie jak wszystkie osoby w moim wieku, prześladuje mnie lęk przed złamaniem, które skaże mnie na wózek: zwłaszcza przed złamaniem szyjki kości udowej. Tym razem mi się udało.

Przewidziałam to: zanim przystąpiłam do czytania listu, usiadłam na kanapie. Gdy straciłam przytomność, upadłam naturalnie do tyłu i oparłam się głową o miękką poduszkę.

Znowu spojrzałam na kartonik, którego nie wypuściłam z ręki, po czym zaklęłam:

– A niechby to jasna cholera!

Było to zawiadomienie o śmierci Renate Fröll, która w związku z tym nie mogła nadać tego listu. Zmarła przed czterema miesiącami i została skremowana w Kolonii. Na kartce nie podano żadnych szczegółów. Nie było ani adresu, ani telefonu.

Rozpłakałam się. Myślę, że płakałam całą noc, bo następnego ranka obudziłam się we łzach, pościel, poduszka i koszula nocna przypominały zupę. Musiałam zacząć działać.

Miałam pewne przeczucie i chciałam sprawdzić jego trafność. Zadzwoiłam na komórkę do Samira Myszy, jednego z moich młodych sąsiadów. Jest synem siedemdziesięciolatka, który – z tego co mówią –

spędził całe swoje życie zawodowe na bezrobociu: dobrze mu to zrobiło, jest bardzo przystojnym, wymuskanym i eleganckim mężczyzną. Jego żona, która pracuje w kasie i sprząta, jest od niego dwadzieścia lat młodsza, ale wygląda na starszą o dziesięć: powykrzywiał ją reumatyzm i z trudem wlecze się po schodach, trzeba jednak przyznać, że zawsze pracowała za dwoje.

Samir Mysz ma trzynaście lat i bystre oko łowcy wysokich nagród. Nic mu nie umknie. Tak jakby miał oczy dookoła głowy, a do tego na plecach czy na tyłku. Ale rzadko z nich korzysta. Spędza całe dni przed komputerem, gdzie w rekordowym czasie, za odpowiednią sumę, znajduje wszystko, o co go poprosić. Cenę, nazwisko, liczbę.

Wietrząc interes, Samir Mysz zjawił się natychmiast, choć do skowronków nie należy. Podałam mu zawiadomienie:

– Chciałabym, żebyś zdobył mi jak najwięcej informacji na temat tej Renate Fröll.

– Jakiego rodzaju informacji?

– Wszelkiego rodzaju, od urodzenia aż do śmierci. Interesuje mnie rodzina, praca, małe sekrety. Krótko mówiąc, życie.

– Za ile?

Ponieważ Samir Mysz nie jest ani poetą, ani filantropem, zaproponowałam, że w zamian za jego usługi dam mu konsolę z salonu. Obejrzał ją, po czym zapytał:

– Czy to naprawdę stara rzecz?

– XIX wiek.

– Sprawdzę w necie, ile to warte, i wrócę, jeśli uznam, że ten interes mi się nie opłaca. Ale myślę, że styknie...

Zaproponowałam mu herbatniki w czekoladzie i wodę z jednym z moich ulubionych syropów, orszadowym, miętowym lub z owoców granatu, ale odmówił, jakby te rzeczy nie pasowały do jego wieku, podczas gdy nic lepiej nie pasuje do mojego.

Samir Mysz zawsze znajdzie powód, by zostawić mnie na lodzie. Ma

dużo zajęć, żyje w biegu i wiecznie się spieszy. Jeżeli nigdy nie udało mi się go zatrzymać dłużej niż kilka minut, to także dlatego, że – czuję to – domyśla się uczuć, którymi go darzę: mimo dzielącej nas różnicy wieku mam do niego słabość.

Chciałabym, żeby za dwa, trzy lata, kiedy z dziecka przedzierzgnie się w mężczyznę i stanie się kłębkim włosów i pożądania, objął mnie, bardzo mocno przycisnął do siebie, szeptał mi brutalne słowa i trochę pomolestował, nie chodzi mi o nic więcej. Wiem, że w moim wieku może się to wydać dziwne czy wręcz idiotyczne, ale jeżeli mielibyśmy się wyrzec wszystkich fantazji, to w ludzkiej głowie niewiele by zostało. Niektóre z dziesięciu przykazań pływających w płynie mózgowo-rdzeniowym i tyle. Można by się w życiu zanudzić na śmierć. Tylko nasze szaleństwa utrzymują nas w pionie.

Wyznaję zasadę, że trzeba żyć tak, jakby każda chwila była ostatnią. Każdy gest, każde słowo. Zamierzam umrzeć spokojnie, bez żalu i wyrzutów sumienia.

Następnego wieczoru, gdy byłam w koszuli nocnej i miałam kłaść się spać, rozległ się dzwonek u drzwi. To był Samir Mysz. Myślałam, że każe mi dopłacić, ale nie, pracował przez cały dzień i chciał przekazać mi osobiście pierwsze wyniki śledztwa.

– Renate Fröll – powiedział – była aptekarką w Neuwied, niedaleko Kolonii. Panną, rodzice nieznani. Żadnej rodziny. Nie znalazłem nic więcej. Może mogłabyś mnie naprowadzić na jakiś ślad?

Wydawało mi się, że w jego przeszywającym wzroku wyczuwam ironię.

– Pomyśl chwilę – odpowiedziałam bezbarwnym głosem. – Gdybym wiedziała, kim była ta kobieta, nie prosiłabym cię, żebyś jej szukał w Internecie.

– Ale gdyby coś nie chodziło ci po głowie, byłoby ci wszystko jedno, kim była.

Nie odpowiedziałam. Samir Mysz ucieszył się, że zgadł, na jego twarzy dostrzegłam błysk zadowolenia. Z wiekiem coraz trudniej mi ukryć własne

uczucia, dlatego zauważył, jakie wrażenie wywarły na mnie wstępne wyniki śledztwa, które potwierdzały moje domysły. Byłam jak ziemia, która przeczuwa, że zaraz nastąpi wstrząs.

Kiedy wyszedł, byłam tak podniecona, że nie mogłam zasnąć. Jakby powróciły wszystkie wspomnienia. Jakby wciągnął mnie wir obrazów i doznań z przeszłości.

Postanowiłam wrócić do książki. Dotychczas to ja ją pisałam. Nagle rozległ się we mnie głos i podyktował mi dalszy ciąg.

3

Córka wiśni

Morze Czarne 1907. Urodziłam się na drzewie, 18 lipca, siedem lat po narodzinach XX wieku, co w zasadzie powinno było mi przynieść szczęście. Na stuletniej wiśni, której gałęzie przypominały ciężkie, zmęczone ramiona. Był dzień targowy. Tata pojechał sprzedać pomarańcze i warzywa do Trapezuntu, dawnej stolicy cesarstwa o tej samej nazwie. Miasto położone było nad brzegiem Morza Czarnego, kilka kilometrów od naszej wsi Kovaty, słynącej z gruszek i ulewnych deszczy.

Przed wyjazdem do miasta tata uprzedził matkę, że chyba nie zdąży wrócić na noc, martwiło go to, bo mama miała lada chwila rodzić, ale musiał dać sobie wyrwać spróchniały ząb trzonowy i odebrać od wujka pieniądze, które ten był mu winien; zmierzch nadejdzie szybko, a w nocy na drogach bywało niebezpiecznie.

Myślę, że zamierzał się też upić z kolegami, ale nie miał powodu do niepokoju. Mama przypominała owieczki, które się kocą, skubiąc trawę. Ledwie przerywają jedzenie czy przeżuwanie, by wydać na świat jagnię, które wypada im z zadu. Rodzą tak, jakby załatwiały swoją potrzebę, aczkolwiek podobno ta druga czynność sprawia im czasem więcej kłopotu.

Moja matka była dobrze zbudowaną, grubokościstą kobietą z dostatecznie szerokimi biodrami, aby pomieścić chmarę dzieci. Porody były dla niej czymś naturalnym i nigdy nie trwały dłużej niż kilka sekund, po czym mama z ulgą wracała do swoich zajęć. Miała dwadzieścia osiem lat i już czwórkę dzieci, nie licząc dwójki, która zmarła w niemowlęctwie.

W dniu moich narodzin na świecie żyły już trzy osoby, które miały zdziesiątkować ludzkość: Hitler miał osiemnaście lat, Stalin dwadzieścia osiem, a Mao – trzynaście. Wpadłam jak śliwka w kompot.

Wypadłam, albo raczej spadłam. Jeden z naszych kotów wdrapał się na wiśnię i nie potrafił z niej zejść. Miauczał wniebogłosy przez cały dzień, siedząc na złamanej gałęzi. Tuż przed zachodem słońca, gdy mama

stwierdziła, że tata nie wróci na noc, postanowiła uwolnić kota.

Gdy wspięła się na drzewo, wyciągając ramię, żeby złapać kota, poczuła – jak głosiła rodzinna legenda – pierwszy skurcz. Chwyliła zwierzę za skórę na karku, wypuściła je kilka gałęzi niżej i przeczuwając coś, położyła się nagle w zagłębieniu wiśni, na konarze drzewa. Tak przyszedł na świat: spadając na łeb na szyję.

Prawda jest taka, że zanim spadłam, zostałam wypchnięta z brzucha matki. Mogła równie dobrze puścić bąka czy się wypróżnić. Tylko że mama potem często mnie głaskała i wychwalała: przepełniała ją miłość, nawet do córek.

Wybaczcie mi ten obraz, ale jako pierwszy przychodzi mi do głowy i nie mogę się od niego uwolnić: wzrok matki był jak słońce, które nas wszystkich opromieniało; ogrzewało nasze zimy. Na jej twarzy malowała się taka sama słodycz, jak na twarzy złotej Dziewicy, która wznosiła się na ołtarzu w kościółku w Kovacie. Jak na twarzach wszystkich matek świata na widok własnych dzieci.

To dzięki mamie pierwsze osiem lat stanowiło najszczęśliwszy okres w moim życiu. Czuwała, aby w domu nie stało się nic złego i poza porami roku nic się nie zmieniało. Żadnych krzyków ani tragedii, nikt nawet nie umarł. Może wydam się wam, zresztą słusznie, naiwna, ale powiem, że na tym właśnie polega szczęście: dni mijają ospale, czas dłuży się w nieskończoność, wydarzenia powtarzają się, bez żadnych niespodzianek, wszyscy się kochają i nikt nie krzyczy ani na zewnątrz, ani w domu, gdy zasypia się, tuląc kota.

Za wzgórzem wznoszącym się nad naszym gospodarstwem stał kamienny domek, w którym mieszkała rodzina muzułmańska. Chudy jak tyka ojciec z krzaczastymi niczym wąsy brwiami umiał robić wszystko i najmował się do pracy w okolicznych gospodarstwach. Gdy jego żona czy dzieci pilnowały kóz i owiec, pracował jako parobek w różnych miejscach, także u nas, kiedy tata nie dawał sobie rady w czasie zbiorów.

Nazywał się Mehmed Ali Efendi. Był chyba najbliższym przyjacielem

mojego ojca. Z powodu różnic religijnych nie spędzaliśmy razem świąt, ale nasze rodziny spotykały się często w niedzielę i wspólnie jadły niekończące się posiłki, a wtedy ja pożerałam wzrokiem jednego z synów sąsiadów, małego Mustafę starszego ode mnie o cztery lata, bo postanowiłam, że któregoś dnia zostanie moim mężem, a ja dla niego przejdę na islam...

Marzyłam, żeby go objąć, miał bardzo długie rzęsy i głębokie spojrzenie, które wydawało się pełne empatii dla całego świata. Emanowała z niego dumna, mroczna uroda wykarmiona słońcem.

Powtarzałam sobie, że mogłabym spędzić resztę życia, patrząc na Mustafę, a to moim zdaniem najlepsza definicja miłości, bo doświadczenie nauczyło mnie, że miłość polega na wtopieniu się w drugą osobę, a nie na wpatrywaniu się w lustro, które nam podsuwa.

Zrozumiałam, że to miłość odwzajemniona, gdy pewnego dnia Mustafa zabrał mnie nad morze i podarował mi miedzianą bransoletkę, po czym uciekł. Wołałam za nim, ale się nie odwrócił. Czuł to samo co ja. Bał się tego, co w nim narastało.

Po naszej historii pozostał mi dziwny posmak, smak pocałunku, którego nie dane nam było poznać. Z biegiem lat żałuję tego coraz bardziej.

Minął niemal wiek, a nadal mam na ręce tę bransoletkę, którą kazałam powiększyć, i wpatruję się w nią, szukając słów, gdy piszę tę książkę. To wszystko, co zostało z mojego dzieciństwa, które historia, ta wredna suka, pożarła aż do ostatniej kości.

Nie wiem dokładnie, kiedy historia zaczęła swoje mordercze dzieło, ale na piątkowej modlitwie imamowie wezwali do rzezi Ormian, po tym jak 14 listopada 1914 roku szejch al-islam, odrażająco brudny brodac, przywódca duchowy sunnitów, ogłosił dżihad. W tym właśnie dniu, z wielką pompą, w obecności grupy napuszonych wążaczy, przed meczetem Fathi w zabytkowej dzielnicy Konstantynopola dano sygnał do rozpoczęcia świętej wojny.

My, Ormianie, oswoiliśmy się z tym, nie mieliśmy zamiaru marnować

życia z powodu takich bzdur. Kilka tygodni przed ludobójstwem mojego narodu zauważyłam jednak, że tata stracił dobry humor. Przypisywałam to kłótni z Mehmedem, ojcem Mustafy, który przestał pojawiać się u nas w domu.

Kiedy spytałam mamę, dlaczego przestali się do siebie odzywać, z powagą potrząsnęła głową:

– Chodzi o coś tak głupiego, że dzieci nie są w stanie tego zrozumieć.

Gdy któregoś dnia późnym popołudniem szłam grzbietem wzgórza, usłyszałam głos ojca. Podkrađłam się do niego ostrożnie, żeby mnie nie zauważył, a potem kucnęłam, ukryta w gęstwinie. Tata był sam i wznosząc ręce do góry, przemawiał do falującego morza:

– Drodzy bracia i siostry, zapewniam was, że jesteśmy waszymi przyjaciółmi. Oczywiście, rozumiem, że może was to dziwić, po tym wszystkim, co kazaliście nam znosić, ale wiedzcie, że postanowiliśmy o wszystkim zapomnieć, żebyśmy zarówno my, jak i wy nie dali się wkręcić w tę piekielną spiralę, gdzie krew domaga się krwi, przynosząc nieszczęście naszemu potomstwu...

Przerwał i z gestem zniecierpliwienia poprosił morze, aby przestało mu bić brawo, żeby mógł mówić dalej. Ponieważ morze go nie słuchało, zaczął krzyczeć:

– Przyszedłem powiedzieć wam, że chcemy pokoju i że nie jest jeszcze za późno, nigdy nie jest za późno na podanie sobie ręki!

Skłonił się przed falującym morzem brawo, potem otarł czoło mankietem koszuli i ruszył w stronę domu.

Poszłam za nim. Nagle zatrzymał się na środku drogi i wrzasnął:

– Kretyni!

Często myślałam o tej trochę śmiesznej scenie. Tata przygotowywał się do odegrania roli rozjemcy politycznego, ale czynił to bez przekonania. Po prostu zaczęło mu odbijać.

Przez kolejne wieczory tata całymi godzinami naradzał się cicho z mamą. Nieraz podnosił głos. Z pokoiku, w którym mieszkałam z dwiema

siostrami i kotem, nie słyszałam wyraźnie, co mówi, ale wydawało mi się, że ogólnie ma pretensje do całego świata, a w szczególności do Turków.

Kiedyś oboje rodzice zaczęli mówić głośniej i to, co usłyszałam przez ścianę, sprawiło, że ciarki przeszły mi po plecach:

– Jeżeli wierzysz w to, co mówisz, Hagop – krzyknęła mama – to musimy natychmiast wyjechać!

– Najpierw dam nam wszystkim szansę, proponując im pokój wzorem Jezusa, ale specjalnie w to nie wierzę. Widziałaś, jak Chrystus skończył? Jeżeli nas nie wysłuchają, to nie mam zamiaru nadstawiać drugiego policzka. Przecież nie zostawimy im bez walki tego, co budowaliśmy przez całe życie!

– A jeżeli w końcu nas zabiją, nas i dzieci?

– Będziemy walczyć, Vart.

– Jak?

– Chwycimy, co wpadnie nam pod rękę – wrzasnął tata. – Strzelby, siekiery, noże, kamienie!

Mama krzyknęła:

– Zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz, Hagop? Jeżeli wprowadzą swoje groźby w czyn, z góry jesteśmy skazani. Wyjedźmy, póki jeszcze czas!

– Nie mógłbym żyć gdzie indziej.

Nastąpiła długa cisza, potem usłyszałam jakieś jęki i westchnienia, jakby robili sobie coś złego, ale nie martwiłam się, wprost przeciwnie: kiedy słyszałam te odgłosy, przerywane nieraz śmiechem i pomrukami, wiedziałam, że tak naprawdę robią sobie dobrze.

4

Gdy umarłam po raz pierwszy

Morze Czarne 1915. Moja babcia wszędzie pachniała cebulą, pachniały nią jej stopy, pachy i usta. Chociaż jem znacznie mniej cebuli, odziedziczyłam po babci ten słodkawy aromat – snuje się za mną od rana do wieczora i dociera nawet pod kołdrę: woń Armenii.

Latem piekła *placki* na cały tydzień. Wystarczy, że piszę to słowo, a już do ust cieknie mi ślinka. To danie biedoty na bazie selera, marchewki, białej fasoli, do którego dodawała, w zależności od dnia i od nastroju, różne warzywa. Nieraz orzechy laskowe albo rodzynki. Moja babcia była kucharką pełną inwencji.

Uwielbiałam obierać jarzyny albo przygotowywać *placki* pod jej życzliwym okiem. Korzystała z tego, żeby snuć rozważania filozoficzne albo opowieści o życiu. Często, gdy gotowałyśmy, martwiła się, że ludzkością rządzi obżarstwo: wilczy głód daje nam wszystkim życiową energię, mawiała, ale gdy, na nieszczęście, słuchamy tylko swojego brzucha, kopujemy własny grób.

Z pewnością bezustannie sama zbliżała się do grobu, sądząc po jej wielkim tyłku, który z trudem mieścił się w drzwiach, nie mówiąc o żylakach, ale martwiła się o innych, a nie o siebie, bo od śmierci męża uważała się za martwą i marzyła tylko o tym, żeby jak najszybciej spotkać się z nim w niebie. Babcia często cytowała przysłowia, które słyszała od własnej babci. Miała odpowiednie porzekadło na każdą okazję.

Gdy czasy były ciężkie:

– Gdybym była bogata, ciągle bym jadła, więc umarłabym młodo. Całe szczęście, że jestem biedna.

Gdy mówiono o sytuacji politycznej:

– Lepiej się człowiek naje we własnym ogródku niż w niebie. Gwiazdy nigdy nikogo nie wyżywiły.

Gdy rozmowa zesłała na tureckich nacjonalistów:

– W dniu, w którym pilnowanie stada powierzy się wilkowi, na ziemi nie zostanie ani jeden baran.

Tego właśnie nie zrozumiało Imperium Osmańskie, które upadło na moich oczach w pierwszych latach mojego życia. Z tymi oczami to tylko taka przenośnia, siedząc w dziurze zabitej dechami, rzecz jasna niczego nie widziałam. Historia zawsze wchodzi bez pukania, nieraz mija nas, a my ledwie ją dostrzegamy. Chyba że przetacza się po nas – a tak właśnie w końcu się stało.

*

My, Ormianie, byliśmy pewni, że jesteśmy w prawie. Myśleliśmy wszyscy, że aby przeżyć, wystarczy być miłym. Nie przeszkadzać. Nie wychylać się.

Przekonaliśmy się, jak to się skończyło. Tę lekcję zapamiętałam na całe życie. Jej właśnie zawdzięczam złość, która zrobiła ze mnie jędzę pozbawioną litości i wyrzutów sumienia, zawsze gotową, by złem odplacić za zło.

Przedstawmy sytuację w skrócie. Kiedy w tym samym kraju jeden naród chce wymordować drugi, dzieje się tak dlatego, że ten drugi przybył tam niedawno. Albo dlatego, że żył tam wcześniej. Ormianie mieszkali w tym zakątku świata od niepamiętnych czasów: na tym polegała ich wina; na tym polegała ich zbrodnia.

Ich królestwo powstało w II wieku przed Chrystusem na gruzach królestwa Urartu i rozciągało się przez długi czas od Morza Czarnego do Morza Kaspijskiego. Ormianie, pierwszy w historii naród chrześcijański na Wschodzie, oparli się większości najazdów arabskich, mongolskich czy tatarskich, po czym w drugim tysiącleciu ulegli nawale tureckiej.

„Perscy satrapowie tak jak i tureccy paszowie spustoszyli także ziemię, gdzie Bóg stworzył człowieka na swoje podobieństwo”, mawiała moja babcia, cytując brytyjskiego poetę, lorda Byrona – to było pierwsze nazwisko pisarza, które usłyszałam z jej ust.

Jeśli wierzyć lordowi Byronowi, jak i wielu innym, z prochu Armenii

narodził się pierwszy człowiek – Adam i na tej ziemi szukać też należy biblijnego raju. Tłumaczyłoby to rodzaj melancholii połączonej z nostalgią, jaką od stuleci wyczytać można we wzroku Ormian, a także całej mojej rodziny w tamtym czasie, ale nie w moim dzisiaj: nigdy nie byłam osobą szczególnie poważną.

Mimo że spędzam całe życie w chodakach przy piecu, a resztę czasu w tenisówkach, nie należy uważać mnie za tumana. Przeczytałam prawie wszystkie książki na temat ludobójstwa Ormian w latach 1915–1916. Nie mówiąc o wielu innych. Mój intelekt pozostawia może co nieco do życzenia, ale jest coś, czego ciągle nie udało mi się zrozumieć: dlaczego trzeba było unicestwić cały naród, który dla nikogo nie stanowił zagrożenia?

Kiedyś zadałam to pytanie Elie Wieselowi, gdy przyszedł na kolację do mojej restauracji ze swoją żoną Marion. Wspaniały człowiek, który przeżył Auschwitz i napisał jedną z najważniejszych książek XX wieku: *Noc*. Odpowiedział mi, że trzeba wierzyć w człowieka na przekór ludziom.

Ma rację i w pełni się z nim zgadzam. Chociaż historia dowodzi czegoś wręcz przeciwnego, trzeba także wierzyć w przyszłość na przekór przeszłości i w Boga, mimo że czasem jest nieobecny. Inaczej nie warto byłoby żyć.

Nie będę więc potępiać swoich przodków. Gdy muzułmanie zakończyli podbój, zakazali Ormianom noszenia broni, aby byli zdani na łaskę swoich nowych panów, którzy za przyzwoleniem sułtana mogli ich od czasu do czasu bezkarnie mordować.

W przerwach między atakami Ormianie wracali do swoich obowiązków, pracowali w bankach, w handlu czy w rolnictwie. Aż do ostatecznego rozwiązania.

Właśnie sukcesy Imperium Osmańskiego były przyczyną jego upadku. Żarło, żarło, aż zdechło na początku wieku z powodu głupoty, chciwości i otyłości. Sułtanowi nie starczyło rąk, by podporządkować sobie Ormian, Grecję, Bułgarię, Bośnię, Serbię, Irak, Syrię i tyle innych narodów, które

chciały jedynie żyć własnym życiem. W końcu pozostawiły imperium, by kisiło się okrojone we własnym sosie, ograniczone do Turcji, która rozpoczęła wówczas oczyszczanie swojego terytorium pod względem etnicznym i religijnym, usuwając Greków i Ormian. Nie zapominając, rzecz jasna, przywłaszczyć sobie ich majątek.

Narody chrześcijańskie oskarżano o tendencje separatystyczne, należało je więc wyeliminować. Mieszkający od Kaukazu do wybrzeży Morza Śródziemnego Ormianie stanowili rzekomo najpoważniejsze zagrożenie w granicach Turcji muzułmańskiej: zmęczeni prześladowaniami, rozważali nieraz utworzenie niezależnego państwa w Anatolii. Czasami nawet organizowali demonstracje, ale moi rodzice nigdy w nich nie uczestniczyli.

Kres tym protestom mieli położyć Talaat i Enver, w uproszczeniu dwaj zadowoleni z siebie mordercy. Pod naciskiem partii rewolucyjnej młodoturków, której byli członkami, oraz Komitetu Jedności i Postępu rozpoczęto turkizację; nic nie mogło jej zatrzymać.

Ale Ormianie o tym nie wiedzieli. Ja też nie. Ktoś zapomniał nam o tym powiedzieć, następnym razem dobrze byłoby o tym pamiętać. Nie spodziewałam się więc, że pewnego popołudnia przed naszym domem pojawią się rozwrzeszczani bandyci, którym z nienawiści oczy wychodziły z orbit, zaopatrzeni w kije i strzelby. Fanatycy z Organizacji Specjalnej wspomagani przez żandarmerię. Mordercy państwowi.

*

Dowódca lokalnej komórki Organizacji Specjalnej, gruby jednoręki facet z wąsami, zapukał i kazał wszystkim wyjść, ale ja wymknęłam się tylnymi drzwiami i nikt nie widział, jak uciekałam.

Dowódca polecił ojcu, by dołączył do kolumny pracowników ormiańskich, których rzekomo prowadzili do Erzurumu. Tata sprzeciwił się, dając dowód odwagi, która nie była dla mnie zaskoczeniem:

- Musimy porozmawiać.
- Porozmawiamy później.

– Nigdy nie jest za późno, by spróbować się porozumieć i uniknąć najgorszego. Nigdy nie jest za późno.

– Ale nie ma się pan czego obawiać, mamy pokojowe zamiary.

– To po co wam tyle broni?

Zamiast odpowiedzieć, dowódca zabójców uderzył mojego ojca kijem. Tata jęknął, a potem ze spuszczoną głową zwyciężonych przez historię poszedł na tył kolumny.

Moja matka, babcia i rodzeństwo podążyli w przeciwną stronę z inną grupą, która z walizkami i pakunkami zdawała się wyruszać w długą podróż.

Po splądrowaniu domu, wyniesieniu mebli i narzędzi, zabraniu całego bydła, w tym kurcząt, zbrodniarze podpalili gospodarstwo, jakby chcieli oczyścić to miejsce z zarazy.

Oglądałam to wszystko schowana za krzakami malin. Nie wiedziałam, za kim pójść. W końcu wybrałam ojca, któremu zdawało się grozić większe niebezpieczeństwo. Miałam rację.

Uzbrojeni mężczyźni ustawili dwudziestu więźniów w rzędzie przy drodze do Erzurumu, w dole, na polu owsa. Uformowali pluton egzekucyjny i zaczęli strzelać, jak popadło. Tata próbował uciec, ale dosięgły go kule. Chwilę utykał, a potem upadł. Jednoręki go dobił.

Potem mordercy z Organizacji Specjalnej odeszli spokojnym krokiem, jakby z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, a we mnie tymczasem narastała, jak skurcz, mieszanina smutku i nienawiści, która nie pozwalała mi oddychać.

Kiedy się oddalili, podeszłam do taty. Leżał na ziemi z rozrzuconymi ramionami, patrzył, jak mawiała mama, wzrokiem z innego świata, jakby na coś, co nie istnieje, za mną, za błękitem nieba. Taki sam wzrok mają kozy, gdy się wykrwawiają.

Nie dostrzegłam żadnych szczegółów, bo wzrok zmaćła mi fala łez. Pocałowałam ojca, a potem przeżegnałam się albo odwrotnie i wolałam uciekać: zbliżała się, z ujadaniem, sfora bezpańskich psów.

Kiedy wróciłam, dom miejscami jeszcze płonął, jakby uderzył w niego piorun, i w górze unosił się dym. Długo wołałam kota, ale bez skutku. Wywnioskowałam z tego, że zginął w pożarze. A może też uciekł: nie znosił hałasu i zamieszania.

Nie wiedząc, dokąd pójść, skierowałam się naturalnie do domu Efendich, ale kiedy byłam już blisko, naszło mnie przeczucie, że nie powinnam się pokazywać: schowałam się w krzakach, czekając na pojawienie się Mustafy. Nauczył mnie naśladować krzyk kury, która właśnie zniosła jajko. Nie opanowałam go jeszcze w stopniu doskonałym, lecz to było nasze powitanie.

Gdy tylko go spostrzegłam, zagdakałam jak kura, a on skierował się w moją stronę ze zmartwioną miną.

– Nikt nie powinien cię zobaczyć – mruknął, podchodząc. – Mój ojciec jest z młodoturkami. Całkiem poszaleli, chcą pozabijać wszystkich niewiernych.

– Zabili mojego ojca. – Wybuchnęłam płaczem. Mustafa też się rozplakał.

– A jeśli cię złapią – powiedział zduszonym głosem – czeka cię to samo. Chyba że zrobią z ciebie niewolnicę... Musisz natychmiast stąd uciec. Tu jesteś Ormianką. Gdzie indziej będziesz Turczynką.

– Chcę odnaleźć matkę i całą rodzinę.

– Zapomnij o tym, na pewno już spotkało ich coś złego. Mówiłem ci, tu wszystkich ogarnął jakiś szal, nawet tatę!

Ojciec kazał mu zawieźć owczy gnój do rolnika, który mieszkał dziesięć kilometrów dalej. Dzięki temu Mustafa obmyślił fortel, który z pewnością ocalił mi życie.

Wykopał łopatą wielką dziurę w czarnym wilgotnym łajnie leżącym na wózku ciągniętym przez muła. Poprosił, żebym umościła się w gnoju, dał mi dwie trzciny, które włożyłam sobie do ust, żeby móc oddychać, i przykrył mnie warstwą ciepłych, rojących się od robaków kup, pod którymi czułam się, jakbym była trupem.

Strażnicy cmentarni mawiają, że potrzeba czterdziestu dni, aby zabić trupa, innymi słowy, aby połączył się z ziemią, aby opuściły go resztki życia i wywietrzała stęchlizna. Czułam się jak świeży trup, który jeszcze żyje: jestem pewna, że cuchnęłam śmiercią.

Gówno, obrócisz się w gówno, to właśnie powinni powtarzać nam księża, zamiast bez przerwy mówić o prochu, który nie ma zapachu. Zawsze muszą wszystko upiększać.

Gówno miałam nawet w uszach i w dziurkach od nosa. Nie mówiąc o robakach, które łaskotały mnie nieśmiało, bo nie wiedziały, ki czort.

Wtedy po raz pierwszy w życiu umarłam.

5

Księżniczka Trapezuntu

Morze Czarne 1915. Do wszystkiego można się przyzwyczaić. Nawet do gnoju. Byłabym w stanie tkwić bez ruchu w oborniku całymi dniami, gdyby z powodu baraniej uryny nie swędziało mnie całe ciało, od stóp do głów. Oddałabym duszę diabłu, żeby tylko móc się podrapać.

Mustafa zakazał mi wykonywać najmniejszy ruch. Przed wyjazdem ostrzegł mnie, że mordercy państwowi, mimo swojej tępoty, natychmiast sprawdziliby, co jest w kupie gnoju, gdyby nagle się poruszył, nietrudno wbić w niego bagnet, a taki cios może nieraz się okazać zabójczy. W żadnym wypadku nie mogłam narażać na niebezpieczeństwo jego i siebie, tym bardziej że po tym wydarzeniu nasze małżeństwo wydawało się przesądzone, tak było nam pisane.

W pewnym momencie wóz zjechał z drogi i zatrzymał się. Sądziłam, że swędzenie osłabnie, ale nic podobnego. Teraz, gdy moja gówniana trumna nie trzęsła się już na wybojach, wydawało mi się, że łajno wnika w moje ciało i stapia się z nim: coraz bardziej czułam się tak, jakbym żywcem gniła.

Ponieważ wóz nadal stał w miejscu, postanowiłam wyjść z kupy gnoju. Rzecz jasna nie od razu. Zabrałam się do tego powoli, jak motyl uwalniający się z kokonu – co prawda zabłocony i odrażający. Była noc i rozgwieżdżone niebo rozpościerało nad ziemią powłokę światła i ciszy, w której w moich oczach wyraża się obecność Pana na tym świecie, później za jej przejaw uznałam jeszcze muzykę Bacha, Mozarta i Mendelssohna, którą Bóg zdawał się napisać sam, korzystając z pośredników.

Muł zniknął i najwyraźniej Mustafa także. Dopiero gdy zeszałam z wozu, zobaczyłam go w świetle księżyca: leżał rozciągnięty na poboczu, z rozłożonymi rękami i podciętym gardłem, w kałuży czarnej krwi.

Pocałowałam go w czoło, w usta, po czym wybuchnęłam płaczem nad jego twarzą. Malowało się na niej zdziwienie właściwe tym, których

zaskoczyła śmierć: nie wiedziałam, że można mieć w sobie tyle łez.

Domyślałam się, że Mustafa został zatrzymany do kontroli przez tureckich żandarmów podobnych do tych, którzy zabrali moją rodzinę, i coś im odpyskował, to było w jego stylu. Chyba że wzięli tego smagłego chłopaka z bujnymi włosami za Ormianina, którym może był, sam o tym nie wiedząc.

Czułam bezbrzeżny smutek na myśl o tym, że tak jak mój ojciec nie będzie miał prawa do przyzwoitego pochówku i skończy rozszarpany przez obślinione kły psów o cuchnących pyskach, które już od dwóch dni miały używanie w całym regionie. Nie można go było pochować: oprócz muła, mordercy ukradli także łopatę i widły, które były w wozie.

Odciągnęłam ciało dalej od drogi i przykryłam je trawą, a potem długo biegłam przez pola aż do Morza Czarnego, do którego wskoczyłam, żeby się umyć. Było lato i woda była ciepła. Siedziałam w niej aż do świtu, szorując się i czyszcząc.

Kiedy wyszłam z wody, wydawało mi się, że cuchnę jeszcze łajnem, śmiercią i nieszczęściem. Szłam całymi godzinami i wciąż podążał za mną smród. Znowu poczułam go po południu, gdy schowałam się na brzegu rzeki i zobaczyłam, że płynie nią ludzka padlina.

Ten odór nigdy mnie już nie opuścił i nawet gdy wychodzę z kąpieli, czuję się brudna. Na zewnątrz, ale także w środku. Nazywa się to poczuciem winy ocalonego. Tylko że w moim przypadku doszły do tego jeszcze okoliczności obciążające: zamiast myśleć o bliskich i modlić się za nich, spędziłam następne godziny na obżarstwie. Chyba nigdy w życiu tyle nie zjadłam. Zwłaszcza moreli. Zanim zapadł zmierzch, miałam brzuch jak kobieta w ciąży.

Psychologowie powiedzą, że był to sposób na zabicie strachu. Wolałabym, żeby mieli rację, ale podejrzewam, że moja chęć życia była, jak zawsze, silniejsza niż wszystko inne, niż tragedia, która dotknęła moich bliskich, i strach, że sama umrę. Jestem jak te niezmordowane rośliny, które zapuściły korzenie w betonowych ścianach.

Miotaly mną różne uczucia, ale jedynym, nad którym nie górowało pragnienie życia, była nienawiść. Pewnie dlatego, że łączyła się z nim: chciałam żyć, by się kiedyś zemścić, to cel równie dobry jak każdy inny, a sądząc po moim wieku, nie wyszłam na tym źle.

Tamtego popołudnia spotkałam kogoś, kto miał odmienić mój los i towarzyszyć mi bezustannie przez najbliższe lata. Moją przyjaciółkę, siostrę, powiernicę. Jeżeli nasze drogi by się nie skrzyżowały, być może w końcu umarłabym, żal zżarłby mnie jak wszy.

To była salamandra. Nadepnęłam na nią. Miała bardzo błyszczące jasnożółte plamy na ciele, z czego wywnioskowałam, że musi być bardzo młoda. Zawarłyśmy przyjaźń od pierwszego spojrzenia. Po tym, co jej zrobiłam, cała drżała i wyczytałam w jej oczach, że mnie potrzebuje. A ja też jej potrzebowałam.

Zamknęłam jej ciało w dłoni i dalej szłam naprzód. Słońce było jeszcze wysoko na niebie, gdy położyłam się pod drzewem. Wyżłobiłam dziurę w ziemi, żeby wsadzić do niej salamandrę, i przykryłam ją kamieniem, a potem zapadłam w sen.

– Wstawaj!

Obudził mnie żandarm na koniu. Wąsacz z głową wieprza, w dodatku głupiego i zadowolonego z siebie wieprza, co rzadziej spotyka się u przedstawicieli tego gatunku niż naszego.

– Jesteś Ormianką? – zapytał.

Potrząsnęłam głową.

– Jesteś Ormianką! – wykrzyknął z miną znawcy, a właściwie udającego znawcę matoła.

Oznajmił, że jakaś turecka gospodyni widziała, jak kradnę w jej sadzie morele.

Miałam ochotę wziąć nogi za pas, ale się opanowałam. Groził mi bronią, a wyglądał na kogoś, kto może jej użyć, o czym świadczył jego pusty wzrok.

– Jestem Turczynką – podjęłam nieśmiałą próbę – *Allach akbar!*

Wzruszył ramionami:

– Więc wyrecytuj mi pierwszy wiersz Koranu.

– Jeszcze się go nie nauczyłam.

– Sama widzisz, że jesteś Ormianką! – Żandarm kazał mi usiąść przed sobą na koniu, posłuchałam go, zabrałam tylko salamandrę, po czym ruszyliśmy kłusem do siedziby KJP, Komitetu Jedności i Postępu. Gdy stanęliśmy przed nią, ryknął:

– Salim beju, mam dla ciebie prezent.

Kiedy z budynku wyszedł wysoki uśmiechnięty facet ze szparą między zębami, który najwyraźniej miał na imię Salim, żandarm rzucił mnie do jego stóp ze słowami:

– Popatrz, co ci przywiozłem. Nieźle się spisałem, co? Niech Bóg ma cię w swojej opiece, chciałeś książniczki, to masz książniczkę!

Tamtego dnia dowiedziałam się, że jestem piękna. Pomyślałam, że lepiej będzie szybko stracić urodę: co mi po niej, skoro Mustafa nie żyje, a w dodatku, jak sądziłam, może tylko napytać mi biedy.

6

Witamy w „małym haremie”

Trapezunt 1915. Salim bej zabrał mnie do siebie do domu, gdy zapadł zmierzch. Na ulicach Trapezuntu panowało wielkie poruszenie. Odnosiło się wrażenie, że wszyscy się przeprowadzają.

Minęliśmy staruszkę walczącą z małą serwantką, za ciężką, by mogła ją udźwignąć, więc zatrzymywała się co dwa kroki, aby złapać oddech, małżeństwo taszczące szafę, za którym szła piątka dzieci z łóżkiem, stołem i krzesłami, młodego człowieka wiozącego na stosie pościel, dywany, jakieś posążki i zabawki dziecięce. Po raz pierwszy w życiu spotkałam się z ohydny obliczem ludzkiej chciwości, widziałam pochylone plecy, wykrzywione usta i uciekający, a czasem rozgorączkowany wzrok.

Kilka tygodni wcześniej mój nowy pan był zaledwie skromnym, przymierającym głodem nauczycielem, wykładowcą historii w szkole koranicznej, gdzie uczniowie – podobno – celowo hałasowali, nie dając mu dojść do głosu. Odkąd miesiąc wcześniej stał się jedną z czołowych postaci Komitetu Jedności i Postępu, przybyło mu piętnaście kilo i sporo pewności siebie. Wysoki, o łagodnym spojrzeniu, którego zaprzeczeniem był władczy podbródek, imponował.

Uważałam, że jest przystojny, i nie bez pewnej dumy trzymałam go za rękę, jakbym była jego córką, gdy szliśmy do niego do domu. Purystom mogłaby przeszkadzać obfitość małych brodawek wokół jego oczu, ale uroda zawsze potrzebuje wad, żeby objawić się w pełnej krasie.

Mieszkał w kamiennym domu na szczycie wznoszącego się nad miastem pagórka, w głębi porośniętego bujną zielenią parku, pełnego drzew daktylowych, pomarańczowych, laurowiśni i oliwników wąskolistnych o czerwonym torsie i srebrzystych włosach. Wiele lat później dowiedziałam się, że była to dawna posiadłość największego jubilera w Trapezuncie, Ormianina, którego dwa dni wcześniej

wywieziono do lasu, pięć kilometrów pod miastem, gdzie został ukatrupiony razem z kilkoma pobratymcami. Salim bej kupił dom za bezcen od jego żony, zanim ona sama została „deportowana” na dno morza razem z czwórką dzieci.

Zaprowadził mnie do dużego pomieszczenia na piętrze, gdzie sześć starszych ode mnie dziewcząt jadło kolację. Zupę z czarnej kapusty z fasolą. Odmówiłam jedzenia i nie wzięłam głębokiego talerza, który podała mi bezzębna kobieta z zajęczą wargą, Fatima, pełniąca jednocześnie rolę strażniczki, powierniczki i niańki. Nie mówiła wiele, ale z jej wzroku dało się wyczytać, że stoi po naszej stronie. Natychmiast ją pokochałam.

Dała mi metalową puszkę dla salamandry. Mimo że mój płaz musiał podwijać ogon, żeby zmieścić się w środku, od razu poczuł się tam szczęśliwy, zwłaszcza gdy po wieczornej kąpieli wsypałam do puszki na noc ziemię, aby mógł się na niej zwinąć.

Fatima poradziła mi, bym karmiła salamandrę owadami lub robakami i tak właśnie robiłam przez kolejne dni, wzbogacając dietę ślimakami bez skorup albo małymi ślimaczkami, za którymi przepadała. Nie zapomniałam też o pająkach i ćmach.

Później Fatima ostrzegła mnie przed trującą substancją zwaną, jak się potem dowiedziałam, salamandryną, którą może wydzielać skóra tego płaza, gdy ów uzna, że jest w niebezpieczeństwie. Ale nigdy nic nie poczułam, gdy dotykałam zwierzątko, z czego wnoszę, że uważało, iż przy mnie nic mu nie grozi.

Zrobiłam dziurki w pokrywce, żeby moja salamandra mogła oddychać, i nadałam jej imię: Teo, zdrobnienie od Teodory Komneny, chrześcijańskiej księżniczki Trapezuntu, której urodę potomność sławi od XV wieku.

Nie rozstawałam się z puszką, zabierałam ją ze sobą nawet do toalety. Nie mogłam się obejść bez Teo: była zarazem moją ziemią, moją rodziną, moim sumieniem i alter ego. Czasami mnie upominała, a ja się z nią kłóciłam. Miałyśmy dużo czasu na rozmowy.

Praca u Salima beja nie była bardzo męcząca. Nie znosiłam wersetów Koranu, którymi nas katował, ani całej reszty, ale nie śmiałam się skarżyć, gdy pomyślałam o dzieciach otrutych w szpitalu w Trapezuncie przez doktora Alego Saiba, inspektora sanitarnego, albo o tych, które wysłano, związane, w grupach liczących od dwunastu do czternastu osób, razem z matkami i dziadkami w kierunku Aleppo, gdzie w przymusowym marszu umierały po drodze z pragnienia, wyczerpania lub pod ciosami strażników. Nie mówiąc o tych, które wsadzono na statki i wyrzucono na pełnym morzu.

Kilka razy w tygodniu wieczorami Salim bej przychodził z przyjaciółmi, często towarzyszami partyjnymi, skorzystać z usług tak zwanego małego haremu. Wiem, że nie było to zabawne dla moich koleżanek, które przechodziły z rąk do rąk i były przelatywane na wszelkie możliwe sposoby, kilkakrotnie każdego wieczoru. Musiały dawać z siebie wszystko, ociekając potem i dysząc, aż do późnych godzin nocnych, jak zwierzęta pociągowe, i tak jak one patrzyły martwym wzrokiem, szczególnie rano. Były też jędzowate. Nienawidziły mnie, ponieważ ze względu na wiek traktowano mnie w szczególny sposób: zostałam przeznaczona na wyłączny użytek pana, a on nie był na tyle zepsuty, żeby zmuszać mnie do pójścia na całość. Oczekiwał ode mnie jedynie pewnych rzeczy. „Pieszczot”, jak mawiała Fatima, która nauczyła mnie tej umiejętności będącej zarazem sztuką.

– Uważaj na zęby – powtarzała. – Cała twoja praca polega na tym, by zapomniano o ich istnieniu. Mężczyźni nienawidzą, gdy się ich odziera ze skóry bądź podgryza. Musisz używać wyłącznie warg i języka, ssać i lizać z całą namiętnością, jaką zdołasz z siebie wykrzesać: w ten sposób ich uszczęśliwisz.

Zabierał mnie do biura, siadał w skórzanych fotelu, prosił, bym uklęknęła, położyła głowę między jego udami, potem rozpięła mu rozporek, wyjęła jego członek i dała mu rozkosz, lizając go. Jego pożądanie narastało falami, jęki zamieniały się w pochrząkiwanie. Nie będę opowiadać wam tu

dalszego ciągu.

Budzając jego podniecenie, obrzucałam go po cichu wszelkimi możliwymi obelgami: takimi jak *salak* („kretyn” po turecku) czy *kounem qez* („mam cię gdzieś” po ormiańsku). Chociaż nie mogłam, co rozumiałe, odczytać w jego wzroku jego myśli, jestem pewna, że miał świadomość, iż mnie krzywdzi. Ale jednocześnie wiele mu zawdzięczam. To on właśnie, z każdym kolejnym seansem, podtrzymywał we mnie nienawiść i energię, która pozwoliła mi przeżyć.

7

Baran i szaszłyki

Trapezunt 1916. Pewnego ranka Salim bej sprowadził imama, abym w jego obecności wypowiedziała rytualne słowa przejścia na islam: „Oświadczam, że nie ma Boga prócz Allacha, a Mahomet jest jego prorokiem”.

Prorokiem, w porządku, ale nie jedynym. Jest też Jezus, do którego nadal będę się modlić, aż do ostatniego tchnienia, podobnie jak do Mojżesza, Marii, archanioła Gabriela i wielu innych. Nikt nie ma monopolu na Boga.

Gdy imam spytał mnie, czy nawróciłam się z własnej woli, skłamałam, tak jak prosił Salim bej. Oświadczyłam nawet, że jestem szczęśliwa, wyrzekając się religii chrześcijańskiej, która od wczesnego dzieciństwa budziła we mnie odrazę.

– Zawsze uważałam Chrystusa za tchórza i mazgaja – stwierdziłam. – I to ma być syn Boży?! Szczerze mówiąc, współczuję Bogu, że ma takiego syna.

Gdy piszę te słowa, ogarnia mnie wstyd, ale nie tak wielki, jak tamtego dnia, którego resztę spędziłam, modląc się na kolanach, a potem chodząc boso po kamieniach, co miało być formą umartwienia i pokuty za wiarołomstwo.

Byłam gotowa na wszystko, byle przeżyć, a mój pan powiedział, że najlepszą ochronę zapewni mi konwersja. Jeśli wierzyć jego słowom, po tym nic już nie miało mi grozić: w przeciwieństwie do chrześcijan, muzułmanie przestrzegali zasady, by nie mordować się między sobą, przynajmniej taki był z tego pożytek.

Chociaż Salim bej ocalił mi życie, czuł się w stosunku do mnie głęboko winny, więc to wykorzystałam. Kiedyś, gdy spytałam, kim jest gruby, wąsaty jednoręki, który zabrał mojego ojca i kazał go zabić, odpowiedział bez wahania:

– Jeżeli jest gruby i nie ma ręki, to może być tylko Ali Recep Ankrun. Nie znoszę go. Jest zdolny do wszystkiego, żeby osiągnąć cel. Zabiłby ojca, matkę, a nawet własne dzieci. Sprawdzę, czy to on był w Kovacie.

Sprawdził i uzyskał potwierdzenie. Próbował się też czegoś dowiedzieć o mojej matce i reszcie rodziny. To było bardzo trudne, musiałam czekać co najmniej sześć tygodni, żeby jego poszukiwania przyniosły jakiś efekt.

Salim bej wyglądał na szczerze zmartwionego, gdy ze spuszczonym wzrokiem i ściśniętym gardłem oświadczył mi pewnego dnia: „Na twoją matkę i rodzeństwo napadli kurdyjscy bandyci, którzy wszystkim poderżnęli gardła. Nie wiem, co się stało z twoją babcią, nikt nie był mi w stanie tego powiedzieć”.

Wybuchnęłam szlochem. Salim bej też płakał i nie robił tego na pokaz, koszulę moczyły mu prawdziwe łzy. Odtąd czekałam na babcię przez wszystkie dni, które dał nam Pan: miałam nadzieję, że zaopiekowali się nią Syryjczycy z Aleppo czy z innych stron, którzy uratowali tak wielu Ormian. Przez całe lata, aż do niedawna, gdy ostatecznie przyszedł czas żałoby, wierzyłam, że w końcu się spotkamy i spędzimy razem starość przy piecu w mojej restauracji. Próbowałam wszystkiego, zatrudniałam detektywów i apelowałam do wspólnoty ormiańskiej, ale na próżno.

Nie mogę myśleć o Salimie beju bez pewnego skrępowania. To, co kazał mi robić, napawało mnie odrazą, ale jednocześnie doceniałam fakt, że nie popierał swoich kolegów z Komitetu Jedności i Postępu: opowiadał mi ze wstrętem o torturach zadawanych Ormianom w katowniach KJP, żeby wyznali, gdzie ukryli oszczędności. O wyrywanych szczypcami paznokciach. O wyszarpywanych pojedynczo brwiach i włosach z brody. O stopach i dłoniach przybijanych do desek i kpinach z ukrzyżowanych: „Widzisz, jesteś jak Chrystus, Bóg cię opuścił”.

Kiedyś opowiedział mi też o marszach śmierci, kolumnach żywych trupów, które tureccy żandarmi prowadzili na pustynię czy w góry, gdzie chodziły w kółko, aż nikt nie został przy życiu. O gwałconych kobietach, porzuconych dziewczynach, porzuconych po drodze niemowlętach,

zostających z tyłu starcach, których strącano w przepaść lub zrzucano z mostów.

Salim bej był bardzo sentymentalny, o czym świadczyła jego miłość do pani Arslanian, o której obszernie mi opowiadał, gdy dawałam mu rozkosz. Szczególnie pięknej i bardzo bogatej kobiety, która – jak sądził – odmieni jego życie i obdarzy go szczęściem. Była wolna, jej mąż, ormiański lekarz, nieszczęśliwie zniknął w trakcie „deportacji”.

Pani Arslanian była uosobieniem elegancji. W dodatku miała obfite piersi, usta stworzone do pocałunków, a biodra do rodzenia dzieci, a także gęste włosy, których nie zdołał okiełznać żaden grzebień ani szczotka. A do tego pełne miłości, głębokie spojrzenie.

Salim bej zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia, rzecz jasna nie była to miłość odwzajemniona, ale nie wątpił, że pani Arslanian w końcu ulegnie jego urokowi. Wiedział, że naraża się na niebezpieczeństwo ze strony przywództwa swojej partii, które nie trawiło Ormian, ale cóż, jeżeli tylko by go o to poprosiła, zostawiłby wszystko i wyjechał do Stanów, żeby tam w pełni przeżywać swoją wielką miłość.

Mimo że pani Arslanian odrzuciła jego awanse, co, zważywszy na okoliczności, nietrudno było zrozumieć, utrzymywała, że jest skłonna z nim uciec, gdy tylko odzyska dzieci. Wybrała nawet miejsce, w którym mieli osiąść: Boston. Marzyła o tym, żeby zamieszkać na wschodnim wybrzeżu.

Ale trzeba było wyzbyć się złudzeń. Budziła zbyt wiele miłości i pożądania. Jej tragiczny los miał udowodnić, że wbrew obiegowym opiniom uroda i pieniądze nigdy nikogo nie uchroniły przed walcem historii.

Panią Arslanian interesowało się zbyt wiele osób, i to w dodatku wysoko postawionych: doktor Ali Saib, jego przyjaciel – zarządca sklepów Imamzad Mustafa, a nawet sam Nail bej, który jako przywódca Komitetu Jedności i Postępu stał się prawdziwym władcą Trapezuntu. Nie mówiąc już o Alim Recepie Ankrunie, mordercy taty. Czterech ohydnych facetów,

których twarze nosiły stygmaty nienawiści i chciwości.

W głowach zawróciła im nie tyle pani Arslanian, co jej majątek, i aby dopiąć swego, szantażowali ją, mówiąc o dwójce jej zaginionych dzieci, dziesięcioletnim synu i siedmioletniej córce; była gotowa na wszystko, by je odnaleźć, choć wszyscy oprócz niej mieli świadomość, że zostały zamordowane.

Bóg jeden wie, czy powiedziała któremuś z kręcących się wokół niej złoczyńców, gdzie ukryła swój skarb w postaci 1200 lirów w złocie, dość na tym, że pewnego dnia Cemal Emzi, gubernator prowincji, postanowił przerwać tę zabawę. Kazał wsadzić panią Arslanian na statek i wysłać na otwarte morze, a tam wyrzucić ją za burtę, zgodnie z techniką „deportacji”, która zdawała się cieszyć szczególnym uznaniem władz Trapezuntu.

Salim bej często mówił mi, że nie rozumie, jak oczyszczanie Turcji mogło do tego stopnia wymknąć się spod kontroli; powtarzał, że nigdy nie chciał, żeby „to poszło aż tak daleko”.

– Bardzo mi przykro – powiedział któregoś dnia, wydawszy okrzyk nieziemskiej rozkoszy, gdy wykazałam się szczególną biegłością – nie przewidzieliśmy tego, co się stało.

– My też nie.

– Wszystkich ogarnęło szaleństwo, rozumiesz. Ludzie mieli tego dość...

– Dość czego?

– Ormian, dobrze o tym wiesz. Tych sklepikarzy, wyzyskiwaczy, którzy od stuleci wysysali z nas krew. Ludzi samolubnych. I nie chodzi tu tylko o kwestie religijne. Nie chcieli się dostosować, myśleli tylko o sobie.

– Ale to przecież nie powód, żeby ich w ten sposób mordować.

– Musisz wiedzieć, księżniczko, że my, młodoturcy, jesteśmy dobrymi muzułmanami i dobrymi masonami, a nie barbarzyńcami czy mordercami, chcieliśmy po prostu zacząć od zera w oparciu o czystą rasę i nowoczesny naród.

– Nie mogliście osiągnąć swoich celów przy użyciu mniej odrażających

metod?

– Zawsze musi się zarznąć barana, jeśli chce się upiec dobre szaszłyki, ale w porządku, zgadzam się, nie trzeba w tym celu wybijać całego stada, sprawy poszły za daleko. To nie wina naszego programu, tylko ludzi.

Kiwnęłam głową. Wiedziałam, kim są prawdziwi winni: zapisałam ich nazwiska na karteczce, z którą nigdy się nie rozstawałam.

Chętnie zostałamby z nim jeszcze przez całe lata, aby kontynuować śledztwo, ale z upływem miesięcy czułam, że moja władza słabnie. Nie wpatrywał się już we mnie, odwracał oczy. Patrzył tchórzliwym wzrokiem mężczyzn, którzy mają kogoś na boku.

Teraz, gdy zajmowałam się nim w trudzie i znoju, Salim bej czytał książkę i zamykał ją dopiero w ostatniej chwili, gdy boskie nasienie tryskało mi w twarz bądź w ustach. Uwijałam się na zmianę pod okładkami Koranu, *Wyspy skarbów* R.L. Stevensona czy *Nędzników* Victora Hugo. Poza tym spieszyło mu się, coraz szybciej dochodził do meritum.

Przestałam go interesować, ale nadal miałam w nim opiekuna. Ponieważ zauważył, że pasjonują mnie jego lektury, z okazji Id al-Fitr w 1916 roku podarował mi *Nędzników*. Potem dał mi *Davidą Copperfielda*, *Huckleberry'ego Finna* i inne książki w tym stylu – czytałam je co wieczór przed zaśnięciem, utożsamiając się ze wszystkimi łowcami przygód znad rzek i strumyków.

Mieszkałam u Salima już prawie od dwóch lat, gdy pewnego ranka Fatima spakowała moje rzeczy, co nie zabrało jej dużo czasu, gdyż było ich niewiele, po czym zaprowadziła mnie do pana, który kończył śniadanie. Udając wesołość, powiedział, że wysyła mnie do przyjaciela, bogatego kupca handlującego herbatą, ryżem, tytoniem i orzechami laskowymi, który odwiedził go poprzedniego dnia i bardzo mu się spodobałam, mimo że widział mnie tylko z daleka.

– Nie jest przystojny, ale za to bardzo miły – oświadczył.

– Nikt nigdy nie będzie taki miły jak ty, mój panie.

– Uznał, że wyglądasz apetycznie, i spytał, czy dotrzymujesz obietnic.
Potwierdziłem.

– Zawsze będę robić to, o co poprosisz, panie.

– Proszę cię, żebyś dawała mu rozkosz, tak jak dawałaś mnie. Ale nie martw się, księżniczko. Pożyczam cię, nie oddaję. Wrócisz.

– Oczywiście, że wrócę – potwierdziłam. – Mam tu dużo do zrobienia.

8

Mrówki i rukwiel nadmorska

Morze Śródziemne 1917. Nazim Enver, mój nowy pan, nie miał w sobie nic z poety. Otyły pięćdziesięciolatek stanowił żywy dowód na to, że człowiek pochodzi nie tyle od małpy, ile od świni. W jego przypadku nie chodziło o byle jaką świnię, ale o knura z cyrku, który chwiejnie stojąc na tylnych nogach, z trudem utrzymuje w pionie swoje galaretowate szynki.

Na jego widok nie ciekła mi ślinka do ust, marzyłam natomiast, by go poćwiartować, posolić albo zrobić z jego głowy pasztet. Obliczyłam, że gdybym musiała go jeść porcjami po 200 gramów dziennie, mięsa starczyłoby mi na ponad rok.

Gdy tylko wsiadłam na jego statek towarowy noszący nazwę Osman, który zawinął do portu w Trapezuncie, zaprowadzono mnie do jego kabiny. Długo siedziałam tam beczynn timer na łóżku, z puszką z Teo w dłoniach oraz tobołkiem z ubraniami i z listą znienawidzonych osób u stóp. Zabijałam czas, prosząc Jezusa w niebie, by się ocknął, zabił kilku młodo Turków i odnalazł moją babcie.

Po godzinie zjawił się zlany potem, dyszący chucią Nazim Enver, poprosił, bym się rozebrała i położyła na łóżku. Rozsunął mi nogi, zmiażdżył mnie pod fałdami sflaczałego mięsa, po czym przeszedł do czynów, nie pytając mnie o zdanie i nie wypowiadając – choćby przez grzeczność – ani jednego słowa.

W chwili, gdy Nazim Enver sobie ulżył, tuż po tym, jak we mnie wszedł, wrzasnął, jakbym go zamordowała. Knury pewnie wydają ten sam kwik, gdy szczytują.

Potem długo leżał na mnie, jakby wyczerpany. Przerazona na myśl o tym, że nie stanęłam na wysokości zadania, spoczywałam bez ruchu w milczeniu pod ciężarem jego tłustej piersi i pewnie bym się udusiła, gdyby wreszcie nie wstał i nie usiadł na łóżku. Odwrócił się, jego wzrok spoczął na mnie, ale mnie nie dostrzegł. Na jego twarzy malowało się

ohydne uniesienie.

Kiedy wyszłam z pościeli, odkryłam, że jest cała zakrwawiona, ale wiedziałam, co to oznacza, tłumaczyła mi to babcia, Fatima też, i mimo obrzydzenia nie mogłam powstrzymać pewnej dumy.

Nazim Enver nie dał mi się ubrać. Zabrał mnie nagą, z zakrwawionymi udami i ubraniami w ręce do małej kabiny, którą zamknął za sobą na klucz, i tam, gdy się już umyłam, spędziłam dzień, a potem kolejne, patrząc przez bulaj na morze, rozpamiętując przeszłość i modląc się o różne rzeczy, ale żadna z moich modlitw nie została wysłuchana, jakby Wszechmocny kazał mi zapłacić za moje zachowanie.

Co wieczór przed pójściem spać mój pan przychodził po mnie i spędzałam każdą noc w jego łóżku przez całą podróż, która miała zaprowadzić nas z Trapezuntu do Barcelony. Nie licząc momentów, gdy mnie dosiadał, nie istniałam dla niego, a odzywał się tylko, co zdarzało się nad wyraz rzadko, by zarzucić mi, że nie dość się staram wzbudzić jego pożądanie: „Skoncentruj się, musisz się bardziej przykładać, nie wystarczy jeden kamień, żeby zbudować mur”.

Gdy w ciągu dnia siedziałam zamknięta w swojej kabinie, mężczyzna z głową wołu, który przynosił mi posiłki, też rzadko otwierał usta i jeżeli w ogóle zechciał na mnie spojrzeć, czynił to z mieszaniną obojętności i znużenia. Myślę, że gdybym była meblem, wyszłoby na to samo.

Dzięki Bogu, była ze mną Teo, więc miałam z kim rozmawiać. Mojej salamandrze nie podobała się podróż przez Morze Śródziemne. Pewnie dlatego, że karmiłam ją wyłącznie muchami i pajakami, które spożywała niechętnie, ale na statku nie było nic innego do jedzenia. Poza tym była zbulwersowana moim losem niewolnicy seksualnej zależnej od woli pana i traktowanej gorzej, niż można sobie wyobrazić. Przez całe dni próbowałam ją uspokoić.

- Nie możesz się dalej na to zgadzać – protestowała Teo.
- Dziękuję ci za troskę, ale co mogę zrobić?
- Musisz się zbuntować.

– Ach, tak, a niby jak?

Teo nie odpowiadała, bo nie było dobrej odpowiedzi. Moralność, choć ignoruje tę prawdę, ma swoje granice, które wyznacza rozsądek.

Obawiałam się, że zajdę w ciążę. Wbrew pozorom Nazim Enver niczego mnie nie pozbawił. Ani godności, ani szacunku, ani niczego innego. Nie wiedziałam, że ponieważ jeszcze nie miesiączkuję, jestem za młoda, żeby mieć dziecko. Ale na wsi widziałam, jak rozmnażają się zwierzęta. Tak samo jak my.

Nie mogłam znieść myśli, że ten tłusty, lubieżny knur zrobi mi dziecko ze świńską głową. Wiedziałam, co w takiej sytuacji należy robić, wytłumaczyła mi to Fatima, gdy byłam w „małym haremie”. Jeżeli się pospieszyć, wystarczy woda z mydłem. Nacieralam nią moją morelkę po każdym stosunku.

Czułam się jak poczwarka, którą jedna kolonia mrówek porwała drugiej, żeby zrobić z niej niewolnicę. My, ludzie, na próżno się puszymy i stroimy w cudze piórka, w ostatecznym rozrachunku jesteśmy jak te mrówki, które obserwowałam w gospodarstwie moich rodziców, gdy ogarnięte obsesją powiększenia swojego terytorium cały czas toczyły ze sobą wojny.

Zawsze były gotowe, by unicestwić sąsiednią kolonię, a kierowało nimi tylko dążenie do wzmocnienia własnej potęgi. W 1915 i 1916 roku zgładzono milion kilkaset tysięcy Ormian, sprawa była prosta: byli mniej liczni i mniej agresywni niż Turcy, przypominali wielkie czarne mrówki, których gniazda zniszczyły maleńkie, działające metodycznie armie czerwonych wojowniczek.

Dowiedziałam się później, że w czasie wielkiej rzezi Ormian dzieci poniżej dwunastego roku życia odbierano nieraz rodzicom i oddawano do „sierocińców”, a tak naprawdę powierzano bandom bardziej lub mniej nieokrzesanych derwiszów, którzy wychowywali je w wierze muzułmańskiej.

Mrówki robią to samo, gdy porywają jaja, larwy i poczwarki, które, gdy

osiągną dojrzałość, zaczną służyć zdobywcom. Poza wyglądem niczym się nie różnimy. Mamy więc prawo sądzić, że mrówki są przyszłością świata. Grabieżcze i wojownicze zwolenniczki niewolnictwa mają wszystkie wymagane cechy, by zastąpić gatunek ludzki, gdy jego niepowstrzymana chciwość sprawi, że zniknie z powierzchni Ziemi.

Nauka dowiodła, że niektóre rośliny świadomie powstrzymują rozrost swoich korzeni, gdy otaczają je przedstawiciele tej samej odmiany: nie chcą sobie przeszkadzać i są gotowe dzielić się wodą i solami mineralnymi. Zaobserwowano to w szczególności u rukwieli nadmorskiej, która rośnie na piaszczystych plażach w zimnych krajach.

Przyznaję, że rukwiel nadmorska to nic wielkiego i nie przyczyniła się do rozwoju myśli ani filozofii. Ale moim skromnym zdaniem, przynajmniej jeśli chodzi o altruizm i braterstwo, jest warta znacznie więcej od nas. Gdyby Ormianie mieli z nią do czynienia, nie zostaliby wymordowani.

Podczas tej podróży odkryłam tak naprawdę sztukę obłudy. Udawałam, że bez pamięci kocham grubego wieprza Nazima Envera. Gdy tylko znalazłam się w jego łóżku, mówiłam, obsypując go pocałunkami i nie szczędząc pieścizot, że nie mogłabym żyć bez niego, bez *hayatima* i umarłabym, gdyby mnie opuścił. Próżność mężczyzn stanowi siłę kobiet. Uległ swoim słabościom.

Dzięki temu pod koniec podróży, gdy płynęliśmy wzdłuż włoskiego wybrzeża, Nazim Enver postanowił, że nie będzie mnie już zamykał na klucz, i pozwolił mi wychodzić z kabiny. Spędzałam całe godziny na pokładzie, wpatrując się w miękką biel horyzontu, wtapiałam się w nią i odpływałam bardzo daleko, ponad światem.

9

Chapacan I

Marsylia 1917. Nie wiem, kiedy dokładnie nasz statek towarowy Osman zawinął do portu w Marsylii, ale było to wiosną, gdy chyłące się ku upadkowi imperium, pod którego banderą płynął, było jeszcze oficjalnie w stanie wojny z Francją.

Zanim Salim bej podarował moją skromną osobkę Nazimowi Enverowi, powiedział mi, że naszym portem docelowym będzie Barcelona, ale podejrzewam, że mój nowy pan postanowił zmienić kurs przed wypłynięciem z Trapezuntu, nie wydawał się bowiem zaniepokojony, gdy statek przybił do Marsylii – a nawet wręcz przeciwnie.

Jak udało mi się ustalić, Nazim Enver był sprytnym kupcem, który pod koniec lat trzydziestych zgromadził wielki majątek, został jednym z najbogatszych ludzi w Turcji, królem tytoniu i orzechów laskowych, a później prasy i ropy naftowej. Ale co do tajemniczej zmiany kursu w 1917 roku, jestem skazana na domysły.

Choć nie mam na to żadnego dowodu, podejrzewam, że przewidując klęskę Niemiec i upadek Imperium Osmańskiego, jeszcze przed końcem działań wojennych postanowił poszukać nowych rynków u przyszłych zwycięzców. Podobnie jak inne statki stanowiące chlubę jego floty, która nieustannie się powiększała, Osman szybko zaczął regularnie zawijać do portu w Marsylii i woził tam towary znad Morza Czarnego.

W pierwszą noc po naszym przybyciu do Marsylii Nazim Enver nie dał znaku życia. O piątej rano, po nieprzespanej nocy, wyszłam na pokład z Teo, którą wyjęłam z puszki, i długo błądziłam wzrokiem po mieście spowitym zapachem soli, rozpuszty i ryb.

Marsylia tchnęła uczuciem wielkości, którą dobrze oddawał łaciński napis widniejący niegdyś, jak dowiedziałam się później, na fasadzie ratusza: „Marsylia – córka Fenicjan, siostra Rzymu, była rywalka Kartaginy otwarła swoje bramy przed Juliuszem Cezarem i zwycięsko

bronila się przed Karolem V”.

To było naprawdę miasto dla mnie. Zbuntowane i niezależne, zawsze stawiało opór wszystkim, w tym Ludwikowi XIV. Legenda głosi, że 6 stycznia 1659 roku Marsylia wysłała do króla dwóch przedstawicieli: Niozellesa i Cugnesa, a oni wbrew wszelkim zwyczajom, ku oburzeniu hrabiego Brienne, nie zgodzili się uklęknąć przed monarchą.

Król Słońce dobrze to zapamiętał. Gdy rok później zdobył miasto, kazał wybudować nad portem, na wapiennym szczycie fort Świętego Mikołaja i jego działa zwrócić w kierunku miasta, aby trzymać ludność w ryzach.

Jakbym to wszystko przeczuwała, ogarnęło mnie wielkie rozgorączkowanie. Otwarta na oścież Marsylia jest miastem, które nie boi się wiatrów i ludzi, tylko wyciąga do nich ramiona. Wystarczy dać jej się porwać. Ujęła mnie i marzyłam wyłącznie o tym, by jak najszybciej tam trafić.

Nie mogłam czekać. Gdybym jednak zeszła po trapie, naraziłabym się na zbyt wielkie ryzyko, marynarze natychmiast by mnie złapali. Wolałam więc otworzyć jedną z setek skrzyń piętrzących się w lukach i wślizgnąć się do niej. Była pełna orzechów laskowych – sporą ich część musiałam wyrzucić, żeby zmieścić się w niej razem ze swoim tobołkiem i puszką z Teo.

Rankiem, gdy dźwigi zaczęły rozładowywać statek, poczułam, że unoszę się w górę i kołyszę w powietrzu, a po chwili znalazłam się na nabrzeżu. Gdy wychodziłam ze skrzyni, zobaczył mnie doker, ale poszedł dalej, obdarzywszy mnie szerokim uśmiechem, któremu towarzyszyło przyjacielskie kiwnięcie głową.

Przez dwa tygodnie żyłam z kradzieży w dzielnicy portowej La Joliette, ale marniałam w oczach. Gdy przekonałam się na własnej skórze, iż wolność nigdy nikogo nie wyżywiła, zdarzało mi się żałować ciastek i rachatlukum, którymi jeszcze niedawno opychałam się w kabinie Nazima Envera na Osmanie.

W końcu przeniosłam się w okolice Starego Portu, gdzie grzebałam

w kubłach po zamknięciu restauracji. Gdy sprzyjało mi szczęście, raczyłam się homarami i krabami, jak również ananasami czy resztkami tart. I oczywiście przyklepkami od chleba. Rosłam w oczach. Teo też.

Ale ta działalność spotyka się zawsze z bezlitosną konkurencją, więc pewnej nocy zostałam zatrzymana przez wewnętrzną policję marsylskich kloszardów i bezceremonialnie zaciągnięta do meliny w dzielnicy Saint-Victor, przed oblicze niskiego, szalenie eleganckiego mężczyzny w lakierkach i z grymasem na twarzy, który najwyraźniej miał coś za złe całemu światu, a mnie w szczególności.

Wyglądał na człowieka sukcesu, ale przepełniała go nienawiść. Gdyby ktoś go ukłuł, wypłynęłaby z niego żółć, czarna, cuchnąca żółć. Miał oczy nabiegłe krwią, a jego ochryply głos zdawał torować sobie drogę przez warstwy żwiru.

Nie rozumiałam nic z tego, co do mnie mówił, ale widziałam wyraźnie, że nie jest zadowolony. Słuchałam go ze spuszczoną głową, przygarbiona, żywe uosobienie całkowitego posłuszeństwa, tak jak się nauczyłam u poprzednich panów. Służalczość to zawód: zgadzałam się ze wszystkim. Gdyby sytuacja tego wymagała, zgodziłabym się nawet go pieścić, chociaż miał nieświeży oddech, a cuchnące usta zawsze napawały mnie wstrętem. Ale najwyraźniej nie byłam w jego guście i nie będę się z tego powodu skarżyć, zawsze to jedno doświadczenie mniej.

Nazywano go Chapacan I. Nie było to miłe: w lokalnej gwarze to słowo oznaczało złodzieja psów. Niemniej jednak przezwisko wymawiano z mieszaniną szacunku i przerażenia.

Na swój sposób był królem, decydował o życiu i śmierci swoich poddanych, do których odtąd się zaliczałam. Ale był także szefem firmy, zwolennikiem zarządzania za pomocą stresu, potrafił motywować swoich pracowników. Utrzymywał się z sześciu filii wyspecjalizowanych w żebractwie, przeszukiwaniu kubłów, kradzieży, prostytutce, grach hazardowych i handlu narkotykami.

Na początku, po przeszkoleniu, zostałam przydzielona do działu

„żebractwa” i wykonywałam swoje obowiązki pod kościołami oraz budynkami użyteczności publicznej.

Zebranie jest męczące. Nie wolno stracić ani na chwilę czujności, często w palącym słońcu, jeśli nie chce się przepuścić żadnej okazji. Kiedy czyjś wzrok na własne nieszczęście trafia na wzrok żebraka, ofiara zwalnia kroku, pojawia się wówczas punkt zaczepienia, by błagając całą sobą, powtórzyć pierwsze zdanie po francusku, które byłam w stanie wymówić:

– Prosię, ja głodna.

Często padałam z nóg, gdy przynosiłam dzienny dochód pomagierom Chapacana I, który przy pomocy wymownych gestów zagroził mi surowymi karami, jeżeli przyszłoby mi do głowy, by zachować część pieniędzy dla siebie: począwszy od obcięcia palca, poprzez wyłupienie oka lub oczu, a skończywszy, w przypadku recydywy, na obcięciu ręki albo dwóch rąk, względnie poderżnięciu gardła w jakichś podziemiach.

Chapacan I nie wydawał się niezadowolony z moich osiągnięć, sądząc po jego miłym uśmiechu, gdy wezwał mnie po kilku miesiącach pracy na coś, co nazwalibyśmy dziś w żargonie biznesowym oceną okresową.

Miałam wikt i opierunek, jeżeli tak to można określić, na strychu w zdewastowanej kamienicy, gdzie mieszkałam z dwoma starszymi paniami, które zawsze poruszały się chyłkiem, jakby się ukrywały. Tak długo nosiły wszystkie nieszczęścia tego świata na swoich wątłych, przygarbionych barkach, że wydawało się pewne, iż któregoś dnia zaczną chodzić z nosem przy ziemi.

Przez długi czas wyobrażałam sobie, że to księżniczki na wygnaniu, bo miały wielką klasę, aż któregoś dnia dowiedziałam się, że obie jednocześnie zostały porzucone przez mężów, jeden był kotlarzem, a drugi sprzedawcą ryb, ponieważ gdy stuknęła im pięćdziesiątka, obaj postanowili, że przyszedł czas, by zmienić nocnego wierzchowca.

Wieczorami uczyły mnie francuskiego i zaczęłam nieźle sobie dawać radę. W miarę postępów czułam się coraz gorzej w tym życiu, które polegało na udawaniu, jęczeniu i popłakiwaniu przez całe dni za dwa

pięćdziesiąt. Chapacan I to zrozumiał. Dlatego zaproponował mi przeniesienie do działu „grzebania w kubłach” w swojej organizacji. Był to awans, który przyjąłam bez wahania.

Idąc za ciosem, Chapacan I, który zawsze bardzo autorytarnie traktował swój personel, nadał mi nowe imię.

- Nie podoba mi się Rouzane.
- A mnie się podoba. To imię mojej babci.
- Źle brzmi. Odtąd będziesz się nazywać Rose.

10

Sztuka grzebania w kubłach

Marsylia 1917. Nie grzebie się w kubłach ot tak. Wymaga to techniki, odpowiedniego sprzętu i umiejętności, które przekazał mi jeden z baronów Chapacana I. Miał otyłą, chciałoby się powiedzieć brzuchatą głowę nasadzoną na wąły korpus, stąd przydomek Opuchlizna, na które w pełni zasługiwał. Pyszałkowaty, wszystko robił z namaszczeniem widocznym w jego gestach i słowach, nawet gdy szedł do kibla.

Opuchlizna wprowadzał mnie przez trzy dni w arkana nowego zawodu. Miałam go wykonywać przy użyciu szpikulca do grzebania w kubłach na śmieci, haka do wyławiania zdobyczy, żeby nie pobrudzić sobie rąk, gdyby w środku były mokre odpadki, wózka dziecięcego, do którego pakowało się łup, oraz noża, by w razie potrzeby bronić znaleziska przed natrętami. Nauczył mnie też kilku zasad, których należało przestrzegać, jeżeli chciało się zostać orłem w grzebaniu w śmietnikach:

– Dyskrecja. Ludzie nie lubią, gdy ktoś grzebie w ich śmieciach, wystarczy spojrzeć na ich ponury wzrok na widok zainteresowanych kręcących się w pobliżu. Szybkość. Jeżeli w kubie na śmieci jest skarb, trzeba go wyjąć jak najszybciej, nie zwracając na siebie uwagi, a potem oddalić się, jakby nigdy nic, cichcem, żeby nie musieć się przed nikim tłumaczyć. Rozsądek. Ważna jest umiejętność wybierania zdobyczy, żeby nie popaść w to, co można by nazwać nieopanowanym gromadzeniem. Żli zbieracze nierozważnie napełniają wózek niepotrzebnymi śmieciami, to strata czasu i energii.

Zbierałam oczywiście złom, ale też zabawki, ubrania czy buty. Pewnego dnia znalazłam w kartonowym pudle kotki, kiedy indziej – starą kurę ze związanymi łapami, przypominającą żywy wrzód, najwyraźniej była zbyt brzydka, by zasłużyć na to, aby ją zabito. Są ludzie, którzy wyrzucają wszystko, począwszy od własnych problemów. Gdybym dalej wykonywała ten zawód, jestem pewna, że trafiłabym w końcu na

dogorywającego starca leżącego na dnie kubła pod wnętrznościami królika i obierkami z ziemniaków.

Wiele zawdzięczam śmietnikom, wykształciły we mnie filozofię życiową. Moją wiarę w przeznaczenie. Zdolność do życia z dnia na dzień. Obsesję utylizacji wszystkiego, moich potraw, odpadów, radości, smutków.

Również dzięki grzebaniu w śmieciach poznałam małżeństwo, które odmieniło moje życie: Bartavelle'ów. Barnabé był wiejskim, rumianym na twarzy olbrzymem z wielkim brzuchem, który, jak się zdawało, miał zaraz pęknąć, pewnie dlatego właśnie tak często, z pewnym niepokojem, kładł na nim ręce. Zjadał słowa i mówił z samych trzewi.

Jego małżonka Honorade wydawała się owocem miłości kamienia żółciowego i butelki octu winnego. Nigdy się nie uśmiechała: wszystko ją denerwowało, słońce, deszcz, zimno, gorąco, i zawsze znajdowała dobry powód do narzekania.

Prowadzili restaurację „Le Galavard” w dzielnicy Panier. Sądzę, że zanim zaczęłam u nich pracować, nigdy nie udało mi się odkryć nic ciekawego w ich kubie, który przecież codziennie sumiennie przegrzebywałam: nigdy niczego nie marnowali, na wczorajszą rybę można było trafić w farszu dwa dni później, a potem, w następne dni, w zupie śródziemnomorskiej.

Pewnego dnia, gdy jeden z ich pracowników się nie pojawił, Barnabé Bartavelle krzyknął przez wychodzące na morze okno kuchenne, gdy przechodziłam z wózkiem, że ma dla mnie pracę:

– Zajmij się czymś pożytecznym, zamiast grzebać w śmieciach.

Zrozumiałam później, że mój poprzednik uciekł, gdy po raz kolejny obił go ciężką ręką Barnabé, tyran w kuchni, który regularnie spuszczał baty swojemu personelowi. Jako pomoc zatrudniona do mycia naczyń, obierania jarzyn i sprzątanania też zbierałam cięgi, ile wlezie, i to bez żadnego powodu, a w dodatku firma nie płaciła za moje usługi, ograniczając się do wynagrodzenia w naturze w postaci trzymanyh w menażce resztek jedzenia.

W całym swoim życiu rzadko spotykałam podobne sknery. Bartavelle'owie wszystko liczyli i bez przerwy sprawdzali, czy w trakcie ich nieobecności nie ubyło płynu w butelkach lub zapasów mąki. Nikomu nie ufali, nawet – jak sądzę – sobie nawzajem.

Nie powinnam się jednak skarżyć. Chwała niech będzie Barnabé Bartavelle'owi za to, że pozwolił mi odkryć powołanie i wprowadził mnie w tajniki przyszłego zawodu. Zawsze powtarzał, że któregoś dnia porachuje się z Teo. „Żadnych zwierząt!”. Zwracał się do mnie po chamsku i kopał po tyłku, gdy się ociagałam, wyzywał mnie też okropnie od „Szmat” czy „Śmierdzieli”, ale coś mi mówiło, że ma do mnie słabość. Od czasu do czasu, gdy ze wszystkim nie nadążał, pozwalał mi gotować. Nauczył mnie nawet, po godzinach, przygotowywać danie, które później stało się jedną z moich specjalności – oberżyny po prowansalsku. I one właśnie – jak się obawiam – stracą palmę pierwszeństwa na rzecz oberżyn tej drugiej Rose z Marsylii, mojej sycylijskiej konkurentki.

Pozwolił mi spać w składziku, na tyłach restauracji. Przypominało to coś w rodzaju schowka na miotły wychodzącego na podwórze. Honorade Bartavelle nie chciała się na to zgodzić: uznawszy, że mąż nie jest wystarczająco stanowczy i pozwala mi się szarogęsić, kazała mi płacić za każdy jego ludzki odruch, zmniejszając mi codzienne racje żywnościowe lub bijąc mnie po twarzy pod pretekstem, że plącę się jej pod nogami.

Robiłam, co mogłam, żeby nie namierzyli mnie bandyci Chapacana I, zmieniałam uczesanie i poruszałam się niemal wyłącznie między składzikiem i kuchnią. Mimo wszystko mnie znaleźli. Pewnego dnia Honorade Bartavelle weszła do kuchni, co w porze wydawania posiłków nigdy się nie zdarzało, bo irytowało to jej męża, stanęła przede mną z uśmiechem, który wtedy jedyny raz w ciągu całego mojego pobytu u nich zagościł na jej twarzy:

– Śmierdzielu, ktoś chce się z tobą widzieć.

Domyślałam się kto, ale mimo wszystko postanowiłam sprawdzić, więc rzuciłam okiem na salę. W progu stał Opuchlizna z wielkim, krótko

ostrzyżonym dryblasem przypominającym boksera. Zdałam się na swój instynkt: wyskoczyłam przez okno i przez dwie godziny biegłam w przypadkowym kierunku, a potem szłam, aż zapadł zmierzch. Miałam tylko pudełko z Teo w jednej ręce i listę katów z Trapezuntu w drugiej.

11

Szczęście w Sainte-Tulle

Górna Prowansja 1918. Ciepły wiaterek muskał pola, biegł przez krzaki i tańczył we włosach drzew. Wszędzie czuł się jak u siebie. Kiedy w końcu wszedł we mnie, zabrał mnie bardzo daleko, do moich bliskich, słyszałam ich głosy na wietrze.

Pobrzmiwała w nim pieśń szczęścia na ziemi, nieskończony szept maleńkich kopulacji i mieszania się nasion oraz cząsteczek, słyszałam w nim dość wyraźnie melodie z innego świata.

Po zjedzeniu robaczywych jabłek na skraju gaju oliwnego zasnęłam w rowie pełnym siana, słysząc w głowie znajome głosy. Lato dobiegało końca i przyroda miała go serdecznie dość. Całymi tygodniami kąsana do krwi słońcem wydawała się znajdować w stanie, który często poprzedza śmierć, gdy po długiej agonii chory wreszcie opuszcza ręce, przestaje się bronić i popada w łagodne otępienie.

Dzięki temu łatwiej odzyska siły, gdy znad horyzontu nadciągną wielkie wrześniowe burze, które wszystko spowiją mrokiem, po czym soczysta ziemia znowu zacznie promienieć szczęściem, aż do Wszystkich Świętych przeżywając coś na kształt powszechnego zmartwychwstania. Na razie drzewa, rośliny i trawy cierpiały każdym swoim włóknem: ich chrzęst rozdzierał mi uszy jak ciche krzyki.

Kiedy się obudziłam, wiatr ustał. Ponownie poczęstowałam się jabłkami z sadu i ruszyłam w dalszą drogę. Wczesnym popołudniem byłam na wysokości Aix, gdy zawołał mnie starzec w wiklinowym kapeluszu, powożący furmanką zaprzęzoną w dużego białego konia:

– Podwieźć panienkę?

Miałam jedenaście lat i nie bałam się ludzi, więc bez namysłu przyjąłam zaproszenie starca. Podał mi rękę, żeby pomóc mi się wspiąć na furmankę. Kiedy spytał, dokąd idę, odpowiedziałam:

– Dalej.

- Skąd jesteś?
- Z Marsylii.
- Ale masz obcy akcent. Z jakiego kraju pochodzisz?
- Z Armenii, ale nie ma już tego kraju i narodu.
- Jeżeli nie masz dokąd pójść, możesz spać u nas.

Uśmiechnął się tak, jak to robią chłopcy, uśmiechem pełnym cierpienia, mrużąc oczy, w których błyskała kpina. Jego głowa była czarna jak pęd winorośli, przypominał gałąź, która straciła życiodajne soki i usycha na drzewie.

Nie odpowiedziałam. Uznałam zaproszenie za pospieszne, ale coś w jego twarzy mówiło mi, że wyszło z głębi serca, bez ukrytych intencji.

Nazywał się Scipion Lempereur. Był rolnikiem z Sainte-Tulle, z okolic Manosque, hodował owce, uprawiał melony i cukinie. Do tej pory mu się szczęściło: udane małżeństwo, dzieci, praca, zbiory. Wszystko było dobrze aż do tego strasznego 1918 roku.

– Szczęście czyni ślepym – powiedział. – Ślepym i głuchym. Niczego nie przewidziałem. Życie to jedno wielkie świństwo, nigdy nie wolno mu ufać. Daje, a potem pewnego dnia bez uprzedzenia zabiera wszystko, absolutnie wszystko.

Scipion Lempereur stracił właśnie trzech synów na wojnie. Czwarty walczył o życie w szpitalu wojskowym w Amiens. W głowie utkwiał mu odłamek pocisku, przeważnie się z tego nie wychodzi, ale Bóg – jak twierdził – nie może mu przecież zabrać wszystkich dzieci jednocześnie, to byłoby zbyt nieludzkie.

– Chociaż jest Bogiem, nie ma prawa mi tego robić – zauważył. – Zawsze starałem się być w porządku. Nie rozumiem, za co chciał mnie ukarać.

Wybuchnął sztucznym, nerwowym śmiechem, który zamienił się w szloch, a ja płakałam razem z nim. Od dawna mi się to nie zdarzyło i przyniosło mi to ulgę: często smutek odchodzi ze łzami, a przynajmniej mniej ciąży, gdy się człowiek wypłaczę. Po raz pierwszy spotykałam kogoś,

kogo śmierć bliskich zamieniła w żywego trupa. Nie potrafił się po tym pozbierać.

A ja potrafiłam. Miałam sobie za złe, że rozpacz nie przybiła mnie tak jak jego, i przepraszałam swoją rodzinę, że przeżyłam jej śmierć z taką łatwością.

– Dlaczego? – spytał Scipion Lempereur, patrząc w niebo.

– Dlaczego? – powtórzyłam.

Potem opowiedziałam mu o swoim życiu. Nie rozwodziłam się szczególnie nad Salimem bejem i Nazimem Enverem, wiele czasu poświęciłam natomiast swoim marsylskim przygodom, a on słuchał z zapartym tchem. Kiedy skończyłam, ponownie zaproponował, abym zatrzymała się przynajmniej na kilka dni u nich w gospodarstwie w Sainte-Tulle.

– Nie będzie nam panienka przeszkadzać – nalegał. – Proszę się zgodzić ze względu na nas, dobrze nam to zrobi, zapewniam, potrzebujemy jakiejś odmiany.

Wtedy przyjąłam zaproszenie. I tak późnym wieczorem znalazłam się w dworku Lempereurów na szczycie stromego wzgórza, skąd widać było nędzną rzeczkę, lepki, żaloszny strumyczek, który czekał na deszcz, aby cokolwiek przypominać. Wszędzie dookoła olbrzymi, żywy, ruchliwy wełniany dywan skubał złotą trawę.

Żona Scipiona, Emma, miała końską szczękę i pasujące do niej zęby, a budową ciała przypominała robotnika rolnego, zaprawionego do pracy w polu. Pozostawało to jednak bez wpływu na jej pełne wyniosłości rysy: poorana zmarszczkami twarz przywodziła na myśl wysuszone wąwozy, którymi wcześniej w porze deszczowej płynęły rwące potoki.

Nigdy nie podróżowała dalej niż do Manosque, ale wiele przeżyła dzięki książkom. To ona pozwoliła mi między innymi odkryć poetę Johna Keatsa, który napisał:

„Rzecz piękna jest radością wieczną”.

Jeśli chodzi o panią Lempereur, to do słowa „radość” należałoby jeszcze

dodać „inteligencję” i „kulturę”. Pod tymi trzema względami była tak piękna, jak rzadko się w życiu zdarza.

Zaakceptowała mnie od pierwszego spojrzenia, potem ucałowała, jakbym była jej córką. Pewnego dnia naprawdę się nią stałam: po długoletnich staraniach wreszcie uzyskałam prawo, by nosić jej nazwisko. Ponieważ ich trzech synów padło na polu chwały w czasie I wojny światowej, Lempereurowie uczynili mnie, po śmierci czwartego, swoją jedyną spadkobierczynią na mocy złożonego u notariusza testamentu.

Emma adoptowała także Teo, która przeżyła w Sainte-Tulle swoje najszczęśliwsze lata. Moja salamandra była szczęśliwa i nie robiła mi już wyrzutów, co często zdarzało się jej w przeszłości.

Ja też byłam szczęśliwa, o ile to słowo ma w ogóle jakiś sens. Scipion i Emma Lempereurowie dali mi wszystko. Rodzinę, wartości i ogromną miłość. W dodatku moja adopcyjna matka nauczyła mnie sztuki gotowania: to ona, na przykład, dała mi przepis na krem karmelowy, któremu w znacznej mierze zawdzięczam sławę.

Swoją renomę zyskałam w równym stopniu dzięki innemu przepisowi. Chodzi o zapiekanekę Mamie Jo, ślicznej kasztelanki z okolicy, która często odwiedzała Lempereurów, przynosząc ugotowane przez siebie potrawy, aż któregoś dnia, na nasze nieszczęście, wyjechała do Stanów Zjednoczonych, zacząć nowe życie z przewoźnikiem morskim.

Poza sezonem, gdy było mniej pracy w polu, Emma Lempereur regularnie wyprawiała wielkie obiady dla setki osób: zapraszała sąsiadów i przyjaciół, którzy przyjeżdżali nieraz z bardzo daleka. Gdy zapytałam kiedyś, dlaczego zadaje sobie tyle trudu, odparła:

„Hojność jest jak prezent dla samego siebie. Nic tak nie pozwala poczuć się lepiej”.

Pozostawiła po sobie masę zdań w tym stylu, które na zawsze wryły mi się w pamięć. Podobnie jak wcześniej Salim bej, Emma Lempereur pozwoliła mi odkryć wiele książek, zwłaszcza dzieła George Sand czy powieści miłosne Colette, jak *Chéri* czy *Zboże w trawie*, co prawda muszę

przyznać, że dzisiaj lecą mi z rąk, ale nie siniaczą nóg. Są takie lekkie...

Wstydzę się, gdy to piszę. Tak jakbym zdradzała pamięć Emmy Lempereur, która mimo całej swej miłości do męża powtarzała, że któregoś dnia „mężczyźni powinni przestać wycierać sobie nogi w kobiece pośladki”. Dlatego właśnie tak jej się podobała Colette i wszystkie pisarki dumne z tego, że są kobietami.

Była feministką i lubiła z nutką ironii wygłaszać zdania w rodzaju: „To jeszcze bardzo pilnie strzeżona tajemnica, ale co drugi mężczyzna jest kobietą. A więc wszystkie kobiety są mężczyznami, choć, dzięki Bogu, nie wszyscy mężczyźni są kobietami”.

Mieszkałam u Lempereurów od jedenastego do siedemnastego roku życia i spędziłam u nich spokojne, szczęśliwe lata, kiedy mija dzień za dniem i nic nigdy się nie zmienia, wszystko jest zawsze na swoim miejscu, jaskółki na niebie, owce w owczarni, drobinki kurzu na horyzoncie i wystarczy oddychać, by czuć radość i upojenie.

Powiecie, że głupieję, ale szczęście zawsze ogłupia. Ponieważ zaznałam go już w gospodarstwie moich rodziców, byłam ostrożna: całe to odurzenie budziło we mnie lęk. Doświadczenie nauczyło mnie, że nigdy nie trwa długo.

Właśnie gdy wszystko jest w porządku, historia wtrąca swoje trzy grosze.

12

Rozstrzelany

Górna Prowansja 1920. W tym właśnie roku, gdy skończyłam trzynaście lat i pierwszy raz dostałam okres, świat oszalał. Może zapowiadały to jakieś znaki na niebie lub gdzie indziej, ale muszę przyznać, że w Sainte-Tulle nie zauważyłam nic szczególnego.

Moją perspektywę wyznaczał dzień jutrzejszy. Byłam zbyt zajęta robieniem konfitur, zwożeniem siana, kończeniem zadań domowych, bawieniem się z psami, wałkowaniem ciasta, przycinaniem róż, głaskaniem kota, wyrabianiem sera, modlitwą do Boga, gotowaniem, karmieniem kur, zbieraniem pomidorów, stryżeniem owiec czy marzeniami o chłopakach.

Wieczorem, zanim zasnęłam, tuląc kota, tak jak kiedyś u Salima beja czytałam książki, z których największe wrażenie wywarły na mnie *Myśli* Pascala. Zdaniem Emmy Lempereur spośród rozmaitych tego rodzaju dzieł najbardziej zbliżały się do prawdy, bo ich autor zgłębiał wszystkie sprzeczności: Boga, naukę, nicność i zwątpienie.

Przyjaźń okazywana mi przez świat, drzewa, zwierzęta i książki nie pozwoliła mi dostrzec, co dzieje się za horyzontem. O ile historia wykoleiła się w ciągu kilku miesięcy, o tyle ja potrzebowałam sporo czasu, żeby zdać sobie z tego sprawę, a później zrozumieć, że winę za to ponosi kilka osób, w tym w znacznie mierze Georges Clemenceau, genialna menda, wielki człowiek, król zabawnych formułek, w tym tej, która stała się moją dewizą: „Jest się młodym na całe życie”.

W tamtym czasie Clemenceau był premierem. W Sainte-Tulle i w całej Francji uznawano go za bohatera. Pogromcę i wroga Szwabów. Ojca Zwycięstwa. Tygrysa, któremu nic nie było straszne. Wygrał wojnę, ale miał przegrać pokój. „Nie poniżaj nigdy osła, którego okiełznałaś – mawiała moja babcia. – Już lepiej go zabij”.

Traktat wersalski narzucony Niemcom przez Clemenceau i zwycięzców

I wojny światowej wszedł w życie 10 stycznia tamtego właśnie roku: wprowadził powoływał do życia Republikę Armenii, ale co do reszty, a była to niewybaczalna głupota, upokarzał Rzeszę, dzielił ją i wykrwawiał gospodarczo, siejąc ziarno kolejnej wojny.

Miesiąc po ogłoszeniu traktatu osobnik o nieświeżym oddechu i prostokątnych wąsach, Adolf Hitler, przejął w Niemczech kontrolę nad partią robotniczą. Po zmianie jej nazwy na Narodowosocjalistyczną Niemiecką Partię Robotników, dał jej logo w formie swastyki i program przewidujący nacjonalizację karteli, konfiskatę zysków wielkiego przemysłu i odebranie dochodów niepochodzących z pracy. Jednocześnie ludowa armia złożona z kilkudziesięciu tysięcy działaczy komunistycznych zajęła Zagłębie Ruhry, a rządy robotnicze, wspierane przez oddziały proletariackie, przejęły kontrolę nad Turynią.

Zapanował chaos, którego tłem była bieda, podobnie jak w Rosji, gdzie podczas gdy bolszewicy i biali monarchiści wzajemnie się mordowali, wschodziła gwiazda Stalina – w 1922 r. zostanie on sekretarzem generalnym partii komunistycznej.

Bóg jeden wie, jak bardzo byłam od tego daleko. Szczęście nie lubi złych wiadomości i mogło się wydawać, że nie docierały one do nas, do Górnej Prowansji: odpędzały je nasze zapachy kuchenne. Chyba po raz pierwszy usłyszałam o Hitlerze znacznie później, w latach trzydziestych.

Armenia powinna mnie była tego nauczyć, ale nie wiedziałam, że gdy młyny historii zaczną mleć, nie można się przed nimi uchronić. Na nic się zdają wszelkie wysiłki, jesteśmy jak te mrówki, które w burzowe dni uciekają przed przybierającą wodą: wcześniej czy później dosięgnie je przeznaczenie.

Zachowywałam się jak one i prawdę mówiąc, jak wszyscy inni. Nie przyjmowałam niczego do wiadomości i niczego się nie spodziewałam. Dziś nadal, gdy wydaje się, że połowa moich starych kości odeszła już z tego świata, nie słyszę śmierci, która puka do mych drzwi, by zabrać mnie ze sobą. Za dużo mam pracy w kuchni, przy garnkach, żeby jej otworzyć.

*

W tym samym 1920 roku odwiedził nas były żołnierz, który walczył w czasie wojny w oddziale Julesa, trzeciego syna państwa Lempereurów. Wysoki chłopak o bladej twarzy i przerażonym spojrzeniu, na którym zwisał ubłocony, sztruksowy płaszcz. Wyglądał, jakby ciągle przepraszał, że przeszkadza tylko dlatego, że mówi, oddycha i żyje.

Chociaż nie był właściwie brzydki, napawał czymś w rodzaju odrazy. Na jego prawym policzku rozpychały się dwie wielkie włochate brodawki. W kącikach ust i na końcu języka osiadała mu ciągle biała piana. Nie mówiąc o jego wielkich jak łopaty, żylastych i miejscami fioletowych dłoniach, z którymi nie wiedział, co zrobić.

Nazywał się Raymond Bruniol. Był oborowym na północy i właśnie stracił pracę, ale za dwa miesiące miał zacząć nową w sąsiednim gospodarstwie. Na razie postanowił zwiedzić okolicę. Spędził kilka dni w Sainte-Tulle. Dobry chłopak, z sercem na dłoni, zawsze starał się pomagać. Szybko zrozumiałam, że chciał coś powiedzieć rodzicom, ale nie mógł się na to zdobyć.

Godzinę po jego przybyciu, gdy mieliśmy siadać do kolacji, wyjął z kieszeni zegarek Julesa i położył go na kuchennym stole. Emma się rozpląkała, a Scipion powiedział:

– Myśleliśmy, że ktoś go ukradł.

– Dał mi go, żebym państwu oddał – odpowiedział mężczyzna. – Nie miał zaufania do armii.

– Trudno się z nim nie zgodzić – podsumował Scipion.

Emma obrzuciła go ponurym wzrokiem, a żołnierz otworzył usta, jakby miał mówić dalej, po czym nagle je zamknął. Drżała mu grdyka.

– Był dzielny aż do końca? – spytał Scipion lekkim tonem, jakby znał odpowiedź.

– Aż do końca.

Gdy Emma spytała, jakie były jego ostatnie słowa, nastąpiła długa cisza. Nalali mu wina, wypił duży łyk, by zyskać na czasie i zebrać się na

odwagę, po czym wyjąkał:

– Mamo.

Wszyscy popatrzyli po sobie, osłupiali, gdy tymczasem Emma łkała w najlepsze.

– Wiecie – zauważył – to właśnie mówi większość żołnierzy, gdy umiera. Nie wolno zapominać, że zabija się dzieciaki. Chłopaczków, którzy ledwie przeszli mutację.

Jakby chcąc to wszystko zrelatywizować, żeby jakoś pocieszyć moją adopcyjną matkę, Raymond Bruniol dodał:

– Powiedział coś jeszcze potem, ale to był bełkot i nic nie zrozumiałem.

W przeddzień jego wyjazdu poszliśmy we dwójkę pozbierać jabłka do skrzynek. Czerwone, okrągłutkie jabłuszka jak pupy dziewczynek, gdy dostaną klapsa.

Wracaliśmy już do dworku, gdy w połowie drogi odwróciłam się i spytałam:

– Co się takiego stało, że nam pan o tym nie powiedział?

Spuścił wzrok, a gdy podniósł oczy, wyglądał na oszołomionego:

– To delikatna sprawa.

– Chcę, żeby mi pan opowiedział – nalegałam.

Zapadła cisza, patrzył na wzgórze, jakby szukał w nim natchnienia, po czym wykrztusił:

– Jules stanął przed sądem wojskowym i został rozstrzelany, nie ma nic więcej do dodania.

– Co takiego zrobił?

– Nic.

– To niemożliwe.

– Możliwe, na wojnie tak było. Można było stanąć przed plutonem egzekucyjnym za nic.

– Za co go skazano?

– Za opieszałość. Rok wcześniej trochę za bardzo darł mordę, gdy prawie doszło do buntu, ale to nieważne, przełożeni mu wybaczyli.

W końcu mieli dość tego, że ciągle wlecze się noga za nogą. A wie pani, generał Pétain, ta gnida działająca na tyłach, wojenny karzeł, nie żartował. Gdy chciał utrzymać wojsko w ryzach, miał na swoje usługi pewnego majora, niejakiego Morliniera, przewodniczącego trybunału wojennego. Kiedy ktoś przed nim stawał, miał pewność, że skończy przed plutonem egzekucyjnym. To właśnie przytrafiło się biednemu Julesowi.

– Więc jego ostatnim słowem nie było „mamo”?

– Skąd mam wiedzieć? Nie było mnie przy jego śmierci. Wymyśliłem to, ale wie pani, wszyscy to mówili na froncie w chwili, gdy wydawali ostatnie tchnienie.

Wieczorem, po kolacji, zapisałam nazwisko „Morlinier” na karteczce, którą przywiozłam z Trapezuntu i nazywałam listą znienawidzonych.

Trzymałam ją w między stronicami *Myśli* Pascala.

Często odczytywałam ją na nowo i za każdym razem czułam wewnątrz to samo drżenie na dźwięk nazwiska jednorękiego szatana, który zabił mojego ojca.

Podobnie jak Raymond Bruniol nigdy nie zdobyłam się na to, by powiedzieć rodzicom Julesa, że ich syn był jednym z sześciuset żołnierzy skazanych na śmierć i rozstrzelanych w imię Francji i zwycięstwa przez przypadek, bez wyraźnego powodu.

Kuchnia miłości

Marsylia 2012. Kilkadziesiąt lat później Emma Lempereur nadal żyje w mej pamięci. W mojej restauracji mam wiele okazji, by o niej myśleć. Nieraz, gdy skwierczy tłuszcz, wydaje mi się, że słyszę, jak wygłasza zasady kulinarne, które bez przerwy mi powtarzała, żeby utkwily mi w głowie, gdy uwijałyśmy się przy piecu, gotując wystawne obiady:

– Nie dodawaj za dużo soli do potraw ani cukru do deserów. Skąp zawsze na oliwie, maśle i sosach. Kuchnia to po pierwsze produkt, po drugie produkt i po trzecie produkt.

Właśnie dzięki niej i mojej babci zostałam kucharką, kucharką, która osiągnęła sukces, choć nigdy nie dostąpiłam zaszczytu otrzymania gwiazdek Michelina. Tyle zawdzięczam Emmie, że na myśl o niej nostalgia ściska mi serce, gdy piszę te słowa na małym blacie, gdzie zwykle przygotowuję rachunki, a obok mnie króluje kasa fiskalna. Ale mój smutek nigdy nie trwa długo, bo jednocześnie ogarnia mnie radość, gdy Mamadou i Leila kończą nakrywać stoły w sali oświetlonej kroplami porannego słońca.

Czuję się bogata, bardzo bogata: wszędzie złoto, na kieliszkach i na sztućcach.

Nie mogę się powstrzymać, by nie zerkać na Mamadou i Leilę, gdy nakrywają stoły. U tego pierwszego podobają mi się zwłaszcza ramiona i nogi, bo przypominają mi jego matkę. U tej drugiej fascynuje mnie najpiękniejszy w Marsylii tyłek, jak jędrny pomidor z naciągniętą skórką. Przekroczyłam już setkę, więc powiecie, że w tym wieku nie powinno mnie to już rajcować, ale mniejsza o to, drzę w środku, patrząc na nich: są żywą zachętą do miłości.

Co do miłości, to znajduję ją jeszcze na portalach randkowych, które odwiedzam w sieci nocą. Chodzi oczywiście o miłość wirtualną, ale dobrze mi to robi. Aż do momentu, gdy połykam haczyk i niechętnie zgadzam się

ujawnić: gdybyście widzieli przestraszone miny tych facetów, gdy wreszcie raczę się z nimi spotkać, każąc im najpierw przez jakiś czas do siebie wzdychać.

Ostatni był opasłym siedemdziesięciolatkiem, rozwiedzionym alkoholikiem, agentem ubezpieczeniowym, ojcem siedmiorga dzieci, poznanym na portalu amatorów oliwy z oliwek. Całkowitym przeciwieństwem romansu. Dobrze nam się rozmawiało w sieci. Mieliśmy te same gusta kulinarne. Mówiliśmy sobie na ty.

Rozczarował mnie. Okłamał co do swojego wieku. Ja go też, to prawda. Kiedy usiadł przede mną w kawiarni, gdzie się umówiliśmy, zmarszczył brwi i zwrócił się do mnie per pani, odgoniwszy z twarzy kilka wymaginowanych much:

– To pani?

– No cóż, to ja.

– Na zdjęciu wyglądała pani inaczej.

– Pan też.

– Ile pani ma dokładnie lat?

– Dokładnie – odparłam spokojnie – nie da się tego określić, bo, wie pan, mój wiek co chwilę się zmienia.

– A tak konkretnie?

– Mam tyle lat, ile mam, i zachowuję tę informację dla siebie.

– Proszę wybaczyć, ale na żywo wygląda pani znacznie starzej.

Nie wytrzymałam:

– Posłuchaj, durniu jeden. Jeżeli mój wygląd ci nie odpowiada, to muszę cię poinformować, o ile tego nie wiesz, że natura cię nie rozpieszczała, co to, to nie! Czy widziałeś się już na żywo, cholerny, głupi, prymitywny kretynie?

Im więcej mam do czynienia z mężczyznami, tym wyżej cenię kobiety. Ale niektóre też potrafiły mnie spuścić po brzytwie jak mój tłusty ubezpieczyciel. Wiem, że lepiej samemu odejść, niż zostać porzuconym. Ale nie mogę się z tym pogodzić. Dlatego nadal poluję w sieci pod

pseudonimem „rozz-sercedowziecia”.

Tłum internautów codziennie odwiedza moje konto, gdzie z lubością się wywnętrzam, komentując najnowsze plotki z życia celebrytów lub skarżąc się na nieszczęsny los samotnej kobiety, przy czym wypisuję same idiotyzmy okraszone wyrażeniami typowymi dla napalonej nastolatki. Starannie dobieram słowa czy gotowe formułki, jakimi posługuje się młode pokolenie, jak „zajebisty” albo „cool”. Idę z duchem czasu.

*

W mojej marsylskiej restauracji La Petite Provence, przy quai des Belges, naprzeciwko Starego Portu, nie ma żadnego zdjęcia Emmy Lempereur ani tych, którzy niegdyś dzielili łożę „rozz-sercedowziecia”. Zakład ten jest jednak odbiciem mojego życia w skrócie. By stanęło mi ono przed oczami, wystarczy, żebym poczuła zapach potraw lub spojrziała w kartę dań, w której figurują, między innymi, *placki* mojej babci, oberżyny po prowansalsku Barnabé Bartavelle’a czy krem karmelowy Emmy Lempereur. W końcu to mojej matce adopcyjnej zawdzięczam znaczną część przepisów, które urozmaicała, co mnie też się zdarza, dodając do potraw rośliny lecznicze.

Czerpała inspirację z osiemnastowiecznej książki zatytułowanej *Petit Albert*, do której często zaglądała, zdradzającej nam rzekomo wszystkie „cudowne tajniki naturalnej i kabalistycznej magii”. Trzymam jeden egzemplarz tej książki w restauracji i korzystam z jej mniej lub bardziej dziwnych wskazówek w zależności od życzeń klientów. Szczególnie w sprawach miłosnych.

W książce poświęcono tym zagadnieniom tyle uwagi, że wydano jej nowszą wersję, *Albert moderne*, jako swoistą przeciwwagę dla dawnego *Alberta*, oskarżanego przez autorów nowej edycji o traktowanie „zbyt swawolnych materii, które kłóć się z przyzwoitością, jaką winno zachować dzieło przeznaczone na użytek publiczny”. Natrzęsali się także z zamiłowania twórców pierwszego wydania do astrologii czy zagmatwanych formułek otwierających bramy miłości.

Aby zdobyć serce ukochanej osoby, dawny *Albert* zaleca podanie jej ekstraktu z chlebka żrebięcego, kawałka mięsa wielkości od dziesięciu do piętnastu centymetrów, który znajduje się w płynie owodniowym klaczy, a nie, jak utrzymywał Arystoteles, na czole żrebaków, nie zapominając o sercach jaskółek lub wróbli, zajęczych jądrach czy wątróbkach synogarlic. Ja zadowolam się roślinami leczniczymi, takimi jak oman wielki, inaczej *enula campana*, który rośnie w rowach i może mieć nawet dwa metry wysokości. Podany w formie proszku albo wywaru skutecznie zwalcza anemię, poprawia apetyt, leczy kłopoty żołądkowe, biegunkę i chroniczny brak szczęścia w miłości.

Dodaję go do potraw na życzenie klienta, podobnie jak rukiew, majeranek, werbenę, korzeń kopru i liście topoli. Za każdym razem wydaje mi się, że ożywiam Emmę Lempereur. „Człowiek jest tym, co je. Dlatego trzeba jeść miłość, kuchnię miłości”.

Często zaglądała też do książki niejakiego Rodina, *Les Plantes médicinales et usuelles*, wydanej nakładem Rothschilda. Znalazłam jej egzemplarz z 1876 roku, w którym autor sławi łagodzące działanie prawoślazu i werbeny czy pobudzające rozmarynu i dzikiej mięty. Chwała niech będzie temu dziełu, które rehabilituje pokrzywę wpływającą zbawiennie na bydło, indyki czy ludzi. Często robię z niej zupę.

Stanowi ona ulubione danie mojego znajomego Jacky'ego Valtamore'a, byłego szefa gangu, który obok prokuratora i przewodniczącego rady regionalnej stał się jednym z filarów mojej restauracji. To przystojny mężczyzna o błękitnym śródziemnomorskim spojrzeniu, który zna i jest w stanie zaśpiewać masę włoskich arii operowych. Romantyk z gatunku takich jak lubię. Idealny kochanek. Wbrew wszelkim oczekiwaniom przeżył próbę zabójstwa, po której uznano go za martwego. Szkoda, że jest dla mnie za stary. Nie pociągają mnie mężczyźni i kobiety po sześćdziesiątce, a on już od jakiegoś czasu należy do osiemdziesięciolatków.

Lubię, kiedy spogląda na mnie opiekuńczym wzrokiem. To moje

ubezpieczenie na życie. Czyni mnie silniejszą. Kiedyś dwóch wypomadowanych gnojków przyszło do mnie do kuchni. Zaproponowali, żebym im płaciła co miesiąc ryczałt, w zamian za coś, co nazywali „ochroną”.

– Ależ to haracz! – zaprotestowałam.

– Nie, oferujemy pani pomoc...

– Przedyskutujcie to z moim pełnomocnikiem. To on się wszystkim zajmuje.

Umówiłam ich z Jackym Valtamore’em. Nie dali więcej znaku życia. Wystarczyła jego obecność, by ugięły się pod nimi nogi.

Pewnego dnia, gdy Jacky powiedział, że ma uczucie, iż zmarnował życie, zapytałam, kim chciałby być. Odpowiedział mi bez wahania:

– Kobieta.

Tego rodzaju odpowiedź w ustach macho spodobałaby się Emmie Lempereur. Gdy byłam nastolatką, przez pewien czas czytałam wyłącznie powieści, których głównymi postaciami były kobiety: *Historię pewnego życia* Maupassanta, *Panią Bovary* Flauberta, *Nêne* Ernesta Pérochona czy *Dom na polanie* Louisa Hémona. Wszystkie bohaterki tych książek były ofiarami mężczyzn i społeczeństwa, które stworzyli na swój wyłączny użytek. Gdy wyznałam kiedyś mojej matce adopcyjnej, że wolałabym być mężczyzną, zaprotestowała z przerażeniem w oczach:

– Nie myśl tak nawet, dziewczyno! Zobacysz, życie cię tego nauczy: kobieta pochodzi od małpy, ale małpa pochodzi od mężczyzny. – Roześmiała się, a potem dodała. – Uwaga, nie mówię o Scipionie. On jest moim mężem. Nie jest takim mężczyzną jak inni.

14

Mistrzynie ukłonów

Górna Prowansja 1924. Któregoś dnia, gdy razem zbierałyśmy morele, Emma Lempereur spadła z drabiny. To był rok, w którym zdawałam maturę i skończyłam siedemnaście lat.

W tym samym roku, po śmierci Lenina, Stalin ruszył po władzę absolutną. Hitler zaczął pisać *Mein Kampf* w więzieniu w Landsbergu, do którego trafił po nieudanym zamachu stanu, tak śmiesznym, że nazwano go „puczem piwiarnianym” przeciwko Republice Weimarskiej.

Moja adopcyjna matka zmarła dwa tygodnie później w szpitalu w Manosque na zapalenie kręgosłupa. Kiedy wróciliśmy z pogrzebu, zanim Scipion Lempereur poszedł do swojego pokoju, powiedział do mnie:

– Umrę.

Zaprotestowałam, a on stwierdził:

– Mógłbym spróbować żyć, nic by to nie zmieniło, coś się we mnie w środku wylewa. Nie wiem co, może to smutek, zmęczenie albo śmierć, ale płynie tak mocnym strumieniem, że nie mogę go powstrzymać: to koniec.

Położył się w ubraniu, w wyplatany kapeluszu na nosie, twarzą do ściany, żeby odgrodzić się od świata. Nie wpadałam w panikę; byłam pewna, że nie można samemu zdecydować, że się umrze, że to Bóg wybiera datę, ale następnego dnia rano na wargach miał suche pęcherzyki powietrza i nie ruszał się; był w śpiączce.

Zanim sprowadziłam lekarza, Scipion Lempereur już nie żył. Nawet nie zadrżał, nie wykonał żadnego ruchu, nie powiedział słowa, nic. Zmarł tak, jak żył: niepostrzeżenie. I tak po raz drugi w życiu zostałam sierotą.

Moi adopcyjni rodzice przewidzieli wszystko, z wyjątkiem tego, że umrą w odstępie kilku dni, zanim osiągnę dorosłość. Narzucano mi więc opiekuna, Justina, kuzyna Scipiona Lempereura. Dwa tygodnie później przyjechał wozem z Barcelonnette ze swoją żoną Anaïs i dwoma wielkimi,

głupimi czarnymi psami.

Poprzedniej zimy Emma Lempereur wprowadziła mnie w tajniki fizjonomiki, sztuki, której uczyli Pitagoras i Arystoteles: pozwala ona jakoby określić charakter danej osoby na podstawie jej rysów twarzy. U nowo przybyłych, których nigdy wcześniej nie widziałam na oczy, natychmiast odkryłam mieszaninę przemocy, zachłanności i obłudy, o czym świadczył nos jak u psa węszącego za truflami, przebiegły wzrok kuny na czatach i tłuszc, który począwszy od dolnych warg rozlewał się na całą głowę. Nie myliłam się.

Pierwszego wieczoru oznajmili, że się za mnie zabiorą, i dali mi instrukcje, które można streścić następująco:

- Koniec z nauką w szkole, do niczego nie jest potrzebna, zwłaszcza dziewczynie.

- Nigdy nie patrz państwu w oczy, jeśli nie chcesz stracić swoich.

- Nie wolno ci używać pańskiego wychodka. Masz się załatwiać za domem, do dziury, którą sama wykopiesz.

- Gdy się do ciebie mówi, stój pochylona, ze spuszczoną głową i z rękami z tyłu. Nie wolno ci się skarżyć i masz zawsze robić, co ci się każe.

- Pyskowanie albo kwestionowanie poleceń zostanie poczytane za bezczelność, za którą czeka cię zasłużona kara.

- Masz się wyprowadzić z pokoju, bo odtąd będą w nim mieszkać psy: zawsze chcą spać blisko nas. Już na tę noc przeniesiesz się do stajni, do koni.

- Koniec ze strojeniem się, sukienkami, butami i całą resztą. Odtąd będziesz chodzić w fartuchu, a włosy obetniemy ci na krótko, żeby nie wpadały do jedzenia, nie znosimy potraw z włosami.

W ten sposób Justin i Anaïs, którzy jedli za czworo i nawet w nocy, po obfitej kolacji, budzili się, żeby jeszcze się posilić, zrobili ze mnie już w dniu swojego przyjazdu dziewczynę do ciężkich robót i traktowali mnie gorzej niż źle, odnosząc się z szacunkiem wyłącznie do swoich psów,

równie wygłodniałych jak oni i niegrzeszących większym rozumem niż muchy plujki.

Justin i Anaïs szczególnie lubili mięso, zwłaszcza krwiste, aczkolwiek nie gardzili mięsem duszonym, pieczenią, potrawką czy podrobami. Ponieważ spędzałam większość czasu w kuchni na gotowaniu, by mieli czym napchać sobie brzuchy, miałam wrażenie, że pływam we krwi.

Po kilku dniach na służbie u nich śmierdziałam smażonym mięsem, martwym, zwęglonym ciałem, krwawiącą, spaloną raną. Nie udawało mi się uwolnić od tego zapachu, podążał za mną wszędzie, czułam go nawet na słomie w stajni nocą.

Justin i Anaïs nie czekali długo, zanim ujawnili swoje zamiary. Nie minęły trzy tygodnie od ich przyjazdu, a już sprzedali konia i część mebli Lempereurów. Skrzynię, stół, zegar, dwie szafy i fotele. Ograbiali mnie z majątku za życia. Gdy podzieliłam się z nimi swoim niepokojem, Justin westchnął:

– Mamy wydatki.

– Jakie wydatki?

– Musimy cię żywić.

– Ja nic nie kosztuję.

– Znacznie więcej, niż ci się wydaje.

– Wiecie, że można się wyżywić na gospodarstwie, po to zresztą jest.

– Mimo wszystko mamy wydatki – nalegała Anaïs. – Myślę, że jesteś za młoda, żeby to zrozumieć.

Po tej wymianie zdań Anaïs kazała mi wyjść i zza drzwi usłyszałam szepty, po czym oznajmili, że postanowili mnie ukarać za pyskowanie: mój kot zostanie oddany na pożarcie ich dwóm psom.

Miałam kota, wielkiego, białego kota angorskiego, który chodził za mną wszędzie jak pies, chyba że uganiał się za kotkami w rui. Ponieważ, jak tylko się zjawili, zrozumiałam, że ich brytany się z nim nie dogadają, ulokowałam go na strychu, skąd wychodził jedynie nocą, gdy wstrętne bydlaki spały w moim dawnym pokoju.

Justin wszedł na strych, chwycił go i rzucił psom, jakby to były resztki kurczaka. Wolę nie opisywać krzyku, który wydał z siebie, gdy go zabijały, krzyk złości i buntu długo jeszcze brzmiał w mojej głowie. Niemal po stu latach zdarza mi się go jeszcze słyszeć.

– To będzie dla ciebie nauczka – powiedział Justin po dokonaniu zbrodni. – Mam nadzieję, że teraz ugryziesz się w język, zanim powiesz coś głupiego.

Poproszono mnie również stanowczo, żebym nie próbowała uciekać: psy, które chodziły za mną wszędzie, gdy byłam na terenie gospodarstwa, nie przepuściłyby takiej okazji: zdaniem Justina natychmiast zawlekłyby mnie do nich za kark. Żywą lub martwą, albo w stanie pośrednim.

Prawdę mówiąc, po pierwszej lekcji spokorniałam. Nie omieszkiałam natychmiast schować Teo wraz z puszką w stodole. Dalej karmiłam swoją salamandrę, ale czuwałam nad tym, by jej nie odkryli. Też by ją wykończyli.

Bardzo się buntowała. Co wieczór, gdy przynosiłam jej dżdżownice i owady na cały dzień, wyrzekała:

– Na co czekasz? Zaczynij działać! Podejmij jakąś inicjatywę, do cholery!

– Nic nie mogę zrobić. Nie ja rozdaję karty.

Jak zwykle, Teo umiała trafić w czuły punkt: obmyślając przeciw moim nowym panom spiski, których nigdy nie wprowadzałam w czyn, zachowywałam się jak potulna, wręcz uniżona służąca. W przypiływie masochistycznej rozkoszy stałam się mistrzynią ukłonów. Może pozostałabym nią jeszcze parę lat, gdyby nagle, pewnego dnia wraz z kroplami deszczu nie spadła na mnie miłość.

Miłosna grypa

Górna Prowansja 1925. Wielka miłość jest jak grypa. Gdy po raz pierwszy zobaczyłam Gabriela, przebiegł mnie od stóp do głów dojmujący dreszcz, przenikając aż do szpiku kości. Mój kręgosłup przeżył prawdziwe trzęsienie ziemi, które pozostawiło po sobie spustoszenie, ledwie trzymałam się na nogach.

Pogoda zresztą sprzyjała grypie. Lało od miesięcy. Chmury rozpostarły się jak ziemia długa i szeroka i nie chciały się od niej oderwać. Świat przypominał mokrą ścierkę pośrodku wzburzonej rzeki; tonął.

Gabriel nie mógł już patrzeć na deszcz. Co prawda zawsze pracował pod dachem, w owczarni, ale ta pogoda wpędzała go w przygnębienie i znacznie wolniej szła mu robota. Odkąd pojawił się na farmie w Sainte-Tulle późnym rankiem, wykastrował jedynie sto dwadzieścia trzy barany. Zwierzęta były wykończone. Do wykastrowania pozostało mu jeszcze drugie tyle.

Justin Lempereur nie chciał pomagać kastratorowi; nie lubił tej pracy, a poza tym źle się czuł. Przejadł się poprzedniego wieczora: nie mógł strawić mojej potrawy z wątróbek drobiowych. Wysłał więc do Gabriela starego pasterza z sąsiedniego gospodarstwa, ludzki wrak zwany Łachmankiem, ale ten poddał się po dwudziestu minutach, utrzymując, że jedna z jego owiec nie może się okocić, co zresztą było prawdą.

– Koci się o tej porze roku? – zdziwił się Gabriel. – Może to jakaś choroba?

– Nie, to jagnię.

Gabriel rzadko chybiał, a tu nagle mały samiec zaczął sikać krwią, becząc jak zarzynany, z jądra, jak z surowego mięsa, ciekła krew. Potem położył się na boku i patrzył wzrokiem zwierząt, którym poderżnięto gardło. Odślaniał zęby, jakby się uśmiechał, tak jak barany, które niedługo umrą.

Potrzebny był sznurek, żeby zatrzymać krwotok, i gdy się okazało, że nie ma go w skrzynce z narzędziami, Gabriel pobiegł do dworku i zaczął walić w drzwi. Kiedy mu otwarłam, żal mi się go zrobiło. Przemoczone ubrania robotnika rolnego wisiały na nim, a czapka z daszkiem sflaczała jak napęczniała od wody gąbka.

Był młodym, niewysokim szatynem, którego loki przywodziły mi później na myśl Apollona Michała Anioła. Oczywiście nie tamtego dnia, z powodu deszczu, który pod czapkami spłaszczył wszystko, nawet czaszki.

Obawiam się, że nie odtworzę wiernie jego rysów, jeśli zacznę je opisywać. Piękna się nie opisuje, je się przeżywa. W każdym razie widać było na pierwszy rzut oka, że jest kimś kochającym, zmysłowym i uprzejmym. Jego wilgotne, rozchylone wargi budziły tak wielką miłość, że natychmiast miałam ochotę go pocałować. Serce chciało mi wybuchnąć, jak prażony słońcem pomidor ogrodowy w środku gorącego lata.

Gdybym była purystką, natychmiast skrytykowałabym jego wielkie stopy albo twarz, która wyglądała tak, jakby w pośpiechu wykroił ją sierpem ślepiec. Ale gdy się przed nim stało, natychmiast wzrok przyciągały jego brązowe, przenikliwe oczy: coś przecięło mnie na pół, zakręciło mi się w głowie, ogarnęło mnie uniesienie i paniczny lęk.

Co o mnie pomyśli? Palłam się cała ze wstydu i czułam się beznadziejnie w spranym fartuchu w czerwoną kratę, w ubłoconych sabotach, z opaloną twarzą wiejskiej dziewczyny. Miłość przychodzi bez ostrzeżenia, nie miałam czasu zrobić się na bóstwo, nie byłam gotowa na to, co właśnie się działo.

– Sznurek! – krzyknął. – Natychmiast potrzebny mi sznurek!

Nie spytałam go, po co, od razu pobiegłam do pralni i wróciłam ze szpulą. Gabriel opowiedział mi później, że w momencie, gdy włożyłam mu ją do ręki, postanowił, że zostanie jego żoną.

Ja jeszcze nie doszłam do tego etapu, nie rozumiałam, co się ze mną dzieje. Nigdy wcześniej nic podobnego nie czułam. Serce podjechało mi do

gardła. Miałam suchość w ustach, a wargi mi drżały, jakby chodziły po nich robaki. Byłam jak Żydzi z Księgi Wyjścia, gdy dosięgła ich siódma plaga egipska, kiedy to „Pan zesłał grzmot i grad i spadł ogień na ziemię”^[2]. Dygotałam z zimna, a jednocześnie było mi tak gorąco, że zaczęłam się pocić wszystkimi porami skóry. Miałam ochotę krzyczeć z radości, a jednocześnie położyć się do łóżka. Zakochałam się.

Gdy już pobiegł z powrotem do barana ze szpulą sznurka w ręce, zawołałam go, żeby zaproponować, że przyniosę mu do owczarni grzane wino.

– Nie odmawiam – krzyknął, nie odwracając się.

Po kilku minutach, gdy baran był uratowany, podałam mu drżącą ręką parujący kubek.

– To pana rozgrzeje.

– Niech pani mówi do mnie Gabriel.

– Ja mam na imię Rose.

Zapadło milczenie. Nie wiedział, co powiedzieć. Ja też nie. Ogarnęła mnie panika, gdy pomyślałam, że na tym może zakończyć się nasza rozmowa i wielka miłość przejdzie mi koło nosa.

– I to ma być niby czerwiec! – stwierdził w końcu. – Nigdy nie widziałem czegoś podobnego!

– To prawda.

– Zostało mi jeszcze sporo roboty, dzisiaj na pewno nie skończę. Zostanę tu na noc.

– W owczarni? Tu śmierdzi!

– Nie, pachnie też ładnie mlekiem i wełną, to zapach dzieciństwa.

– To prawda – powtórzyłam. Byłam żałosna, walcząc z uczuciami, tracąc oddech, patrząc przerażonym wzrokiem. Z olbrzymim wysiłkiem wybąkałam: – Zje pan z nami kolację?

– Tak planowałam.

Byłam szczęśliwa, że zostanie na kolację, a jednocześnie obawiałam się momentu, w którym odkryje, że jestem tylko służącą. Dziewczyną do

obierania jarzyn, rozrzucania gnoju, czyszczenia wychodka, siejącą postrach wśród obierków, dbającą o to, by błyszczały podłogi, meble, buty i ego jej panów.

Nie jadałam przy rodzinnym stole, ale w kuchni, gdy już wszystko podałam.

– Gdzie drugie danie?! – wrzasnął Justin, gdy po przystawce nadeszła kolej na danie główne.

– Kiedy wreszcie dostaniemy jedzenie? – zrzędziła Anaïs, zirytowana moją powolnością.

Ugotowałam kurczaka w sosie czosnkowo-karczochowym. Sama wymyśliłam przepis, nawiasem mówiąc, zwał z nóg. Podałam półmisek Gabrielowi i Lempereurom i z bijącym sercem czekałam na werdykt.

– Nigdy w życiu nie jadłem nic tak dobrego – powiedział Gabriel.

– To prawda, że jest smaczny – przyznał Justin.

– Tylko niedosolony – zauważyła Anaïs.

Aby mnie wynagrodzić, Justin poprosił, abym z nimi została i posłuchała, jak Gabriel opowiada o swojej pracy. Usiadłam na taborecie koło okna i spijałam słowa z jego ust z wyrazem zachwytu na twarzy. Sądzę, że przypominałam świętą Teresę z Ávili w ekstazie, dłuta Berniniego, którą widziałam kiedyś w kaplicy rodziny Cornaro w kościele Santa Maria della Vittoria w Rzymie i która pozostała dla mnie jednym z najpiękniejszych przedstawień najczystszej miłości.

[2] Biblia Tysiąclecia, Wj 9,23.

16

Król kleszczy Burdizzo

Górna Prowansja 1925. Gabriel Beaucaire był zawodowym kastratorem. Zdarzało mu się kastrować nawet czterysta zwierząt dziennie. Zręczny, szybki i mocny, bo ten zawód wymaga siły, szczególnie w rękach.

Był także artystą, bo kastracja jest w równej mierze sztuką, co nauką. Gdy ma się do czynienia ze zwierzętami, trzeba dać dowód stanowczości i łagodności, aby nie wywołać paniki. Gabriel miał pewną i uspokajającą rękę.

Kastrował wszystko. Głównie barany, ale także cielęta, osły, wieprzki, a nawet młode króliki. Opanował najnowocześniejszą metodę polegającą na miażdżeniu nasieniowodu przy użyciu kleszczy Burdizzo.

Była to praca sezonowa, która rozpoczynała się pod koniec zimy i kończyła wraz z jej nadejściem. Gabriel obliczył, że kastrował średnio około osiemdziesięciu tysięcy zwierząt rocznie. Był królem kleszczy Burdizzo, starał się nie ranić zwierząt ani nie przysparzać im zbyt wielu cierpień.

Od najdawniejszych czasów ludzie, którym nie wystarcza, że żywią się martwym ciałem i krwawymi ranami zwierząt, upokarzają je przez całe ich życie. Samicom narzuca się mordercze tempo produkcji mleka, potomstwa i jajek, jądra samców masakruje się bezlitośnie w trakcie permanentnej genitalnej hekatombi.

Przez długi czas kastracja stanowiła zagrożenie dla zwierząt rzeźnych, które nieraz w wyniku tej operacji zdychały. Niemniej przeprowadzano ją regularnie. W przeciwnym razie upodobniłyby się do mężczyzn, stale gonіłyby za własnym fiutem, dosiadały wszystkiego, co się rusza, kopulowały ile wlezie i straszyły samice. Nie rosłyby ani nie obrastały tłuszczem.

Dlatego chłopci przez całe lata obcinali jądra baranów nożem lub

miażdżyli młotkiem unieruchomione między dwoma kijami nasieniowody wołów. Pojawienie się specjalnych kleszczy nadało kastracji bardziej ludzki wymiar, jeśli wolno tak powiedzieć. I Gabriel stał się jednym z bohaterów tych rewolucyjnych dla jąder zmian.

Zapoczątkował je Francuz, Victor Even (1853–1936), który wynalazł pierwsze kleszcze kastracyjne: miażdżenie nasieniowodów samców przez skórę wstrzymywało dopływ krwi do jąder i powodowało ich naturalną atrofię, nie raniąc zwierząt ani nie wywołując ryzyka krwotoku czy zakażenia.

Kilka lat później Włoch Napoleone Burdizzo de La Morra (1868–1951) udoskonalił narzędzie i odesłał kleszcze Evena do lamusa, jako że ich włoska wersja o szerokich uchwytach i krótszych rękojeściach była lżejsza i poręczniejsza. Ale zasada pozostała ta sama: zgniatając na miazgę mały odcinek naczyń krwionośnych, przerywa się obieg krwi, a ta nie dopływa do jąder, co powoduje obumarcie tkanek.

Gabriel macał najpierw moszną zwierzęcia, aby wyczuć jeden z dwóch nasieniowodów ponad jądrami. Gdy go znalazł, chwycił go w palce, ciągnął w bok i umieszczał w kleszczach Burdizzo, które następnie zaciskał, po czym zwalniał ucisk. Tę czynność powtarzał kilkakrotnie. Cała operacja trwała około dziesięciu sekund. Cztery razy pod rząd, bo za każdym razem ścisnął dwa nasieniowody w dwóch miejscach, przy czym drugi miażdżył lekko poniżej pierwszego.

W kolejnych dniach jądra zwierząt puchły, a potem powoli zamieniały się w strzępki wiotkiej, cienkiej skóry. Nie lubił swojej pracy, ale jednocześnie był z niej dumny. Tamtego wieczoru wyjaśnił z dwuznacznym uśmiechem, że ma wrażenie, iż służy sprawie pokoju.

– Im mniej jaj w gospodarstwie, tym mniej przemocy, konfliktów. Wszyscy chłopcy o tym wiedzą.

– Może należałoby rozważyć zastosowanie tej zasady w odniesieniu do ludzi – zasugerowała Anaïs.

– Byłoby mniej wojen – dodał Justin.

– Liczymy na pana, żeby uniknąć kolejnej – zakończyłam.

Wszyscy się roześmiali, a najbardziej śmiał się Gabriel. Przyznał, że pozbawianie życia tylu przyszłych pokoleń wprawiało go w stan upojenia. Dodał, że chętnie wykastrowałby kilku generałów czy marszałków uczestniczących w niedawnej wojnie światowej, a ja natychmiast pomyślałam o majorze Morlinierze, który skazał na śmierć Julesa, ale wydało mi się, że użycie kleszczy nie byłoby wystarczającą karą za jego zbrodnię.

Kiedy wyszedł, Lempereurowie poszli spać na górę z psami, a ja w mgnieniu oka drżącymi rękami umyłam naczynia i posprzątałam kuchnię, niezdolna zebrać myśli. Dygotałam od stóp do głów. Byłam przerażona. Wiedziałam, że odzyskam spokój dopiero w ramionach Gabriela.

Zbyt ryzykowne byłoby spotkanie się z nim, zanim wszystkiego nie skończę: Lempereurowie mogliby się czegoś domyślić i z radością wszystko by zepsuli, bo ich zadanie na tym świecie polegało najwyraźniej na zatruwaniu mi życia aż do śmierci.

Wzrok Gabriela nie pozostawiał żadnych wątpliwości, wiedziałam, co się stanie. Gdy wyszłam z kuchni, w istocie czekał na mnie na zewnątrz.

Nie zobaczyłam go od razu, było zbyt ciemno, ale jak tylko zamknęłam drzwi, zapalił zapałkę. Stał dwa, trzy metry od ganku.

Deszcz przestał padać jakiś czas temu, ale podwórze przypominało rynsztok. Podszedł do mnie z chłupotem, po czym oświadczył:

– Chciałbym spędzić z panią resztę życia.

Gdybym dostała obuchem w głowę, efekt byłby podobny. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Czy jest pani gotowa dzielić ze mną życie przez wszystkie dni, jakie Bóg zechce nam dać?

Otwarłam usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Czułam, że robię z siebie idiotkę, i miałam ochotę uciec z płaczem, ale w końcu skinęłam potakująco głową, czego nie mógł widzieć, bo zapałka zgasła.

Żeby nie uznał mojego milczenia za odmowę, zaczęłam kaszleć, jakby coś mi uwięzło w gardle, po czym wybąkałam zduszonym głosem coś, co można było uznać za tak.

Pomyślałam, że mnie pocałuje albo weźmie za rękę, ale nie, stał przede mną bez ruchu, nie wiedząc, co powiedzieć. Był w takim samym stanie jak ja.

Zaproponował, żebym poszła z nim do owczarni. Wolałabym, żebyśmy się spotkali w stajni. Znacznie ładniej tam pachnie: można by rzec, że konie srają miodem i woń ich kup wywołuje cudowne łaskotanie w płucach, które mnie uskrzydla, ale cóż, nie chciałam grymasić.

Spędziliśmy z Gabrielem znaczną część nocy razem, pośród baranów, wyznając sobie miłość, nie dotykając się, nawet nie muskając palcami, patrząc na siebie i nie widząc się. Nie będę tu przytaczać naszego gędzenia, tak było nudne i banalne.

– Zawsze trzeba szukać w sobie dziecka – mawiała moja babcia. – To w nim odnajdziesz wszystko. Boga, miłość, szczęście.

Ale to jednak dziwne, że miłość czyni człowieka tak głupim i jednocześnie tak szczęśliwym.

Siedemdziesięciopięciodniowy pocałunek

Sisteron 1925. Gabriela czekało wiele pracy przez najbliższe dni: miał trzysta baranów do wykastrowania w owczarni w Sisteron, kolejne w Méés, a następne w La Motte-du-Caire.

Jeśli chodzi o nas, wszystko zaplanował, zanim jeszcze wyjawiał mi swoje uczucia. Był kimś, kto nie wątpił w nic, ani we mnie, ani w siebie, ani w naszą miłość.

Uprzedził moich panów, że opuści gospodarstwo wczesnym rankiem, zanim się obudzą i wypuszczą psy. Nie chciał, żeby nasz wyjazd się skomplikował.

Aby się nie obudzili, gdy będziemy się zwijać, Gabriel zostawił swojego muła i bryczkę dość daleko od dworku, na dole, nad brzegiem rzeki, na polu koniczyny. Mój ukochany zawsze myślał o wszystkim.

Zabrałam ze sobą jedynie puszkę z Teo, *Myśli* Pascala z ukrytą w nich listą znienawidzonych osób, kilka ubrań i nóż kuchenny, żeby w razie potrzeby bronić się przed brytanami.

Po drodze, gdy krążyły nad nami stada wron, całowaliśmy się tak bardzo, że gdy dojechaliśmy na miejsce, nie czułam już ust ani języka i miałam kłopoty z mówieniem. W kółko powtarzaliśmy jedno i to samo. On prosił mnie o rękę, ja przyjmowałam oświadczyzny, on znowu błagał, abym zechciała za niego wyjść, ja po raz kolejny się zgadzałam i tak dalej: bez przerwy musiałam go uspokajać gestem, pocałunkiem, pieszczotą.

Nie ma prawdziwej miłości bez lęku. Lęku, że w każdej chwili wszystko może się skończyć. Że życie nagle odbierze nam to, co dało. Dlatego Gabriel pocił się jak mysz. Ja też. Całe moje ciało było mokre, szczypały mnie oczy, krople potu przesłaniały mi wzrok.

Trwaliśmy w tym stanie przez kilka kolejnych dni, przyklejeni do siebie, z wyjątkiem chwil, gdy przy pomocy kleszczy rozprawiał się

z jądrami baranów, które zawsze wydawały się upokorzone tym doświadczeniem. Odchodziły potem, utykając, ze spuszczoną głową i wzrokiem ukaranych dzieci.

W dniu, w którym przyjechaliśmy do Sisteron, do Aubina, grubego hodowcy owiec, starego znajomego Gabriela, poczułam ukłucie w sercu: obawiałam się, niesłusznie, że nasz nieprzerwany pocałunek właśnie się zakończył.

Aubin był zatwardziałym kawalerem, dobiegał sześćdziesiątki, patrzył małymi żółtawymi oczkami spod tłustych fałd powiek. Kiedy nam otwarł, przez chwilę stał zaintrygowany, a potem powiedział coś, czego nie usłyszeliśmy z powodu wiatru, który odbijał się od gór wznoszących się za nami półkolem. Przyglądał się nam z niechęcią, zaprosił nas gestem do środka, potem mruknął do Gabriela:

– Nie sądziłem, że będziesz miał odwagę się tu zjawić po tym, co zrobiłeś. Gdybym o tym wiedział, zawiadomiłbym policję.

– A co ja takiego zrobiłem? Możesz mi powiedzieć?

Aubin poszedł do kuchni po gazetę i podetknął ją Gabrielowi pod nos. Na pierwszej stronie wczorajszego wydania „Petit Provençal” widniał wielki tytuł: *Dramat w Sainte-Tulle. Nioletnia porwana przez niebezpiecznego zboczeńca.*

W zamieszczonym poniżej artykule obszernie wypowiedali się Justin i Anaïs Lempereurowie. Podkreślali naiwność swojej krewnej, Rose. Osoby niezbyt rozgarniętej i ku rozpacz rodziny, niespełna rozumu. Ich zdaniem nie była to jej pierwsza ucieczka. „Ta dziewczyna to diabeł wcielony”, komentował dziennikarz, który zresztą opisywał Gabriela jako złego człowieka, a w dodatku maniaka seksualnego, skazanego już kilkakrotnie za obrazę moralności. Wykolejeńca, jak określa się w Prowansji szumowiny, których zdawał się najgorszym przykładem.

– To śmieszne – wybuchnął Gabriel, gdy przeczytał artykuł. – Śmieszne i żałosne. Wszystko ci wytłumaczmy, Aubin.

– Nie ma potrzeby – warknął tamten. – Wszystko zrozumiałem.

Gabriel nalegał i opowiedzieliśmy na dwa głosy o naszych przygodach. Gdy skończyliśmy, Aubin stwierdził:

– No dobrze, ale co teraz...

Wyjął z kredensu trzy kieliszki i goryczkę. Nalał nam, a potem rzucił:

– Widzę tylko jedno rozwiązanie, musicie zeznać na policji to samo, co opowiedzieliście mnie.

– To niemożliwe – odparłam. – Moi opiekunowie są takimi kłamcami, że będzie się to ciągnęło dziesięć lat. Wolę zostawić im gospodarstwo i zamknąć ten rozdział.

– W takim razie, jeżeli potrzebny wam dach nad głową, możecie zostać tutaj, dopóki o was nie zapomną.

Powiedział, po czym zaprosił nas do stołu. Były jajka na twardo, zupa z pesto i kozie sery wyhodowane w garnku w oliwie z oliwek. Braliśmy wszystkiego po trochu, zagryzając szerokimi pajdami chleba, które maczaliśmy w sosie lub smarowaliśmy serem. Aubin jadł to codziennie i najwyraźniej mu się nie znudziło.

Pamiętam, że patrzył karcącym wzrokiem na Gabriela, mistrza konwersacji, który bez przerwy podtrzymywał i ożywiał rozmowę, okraszając ją anegdotami i zabawnymi historyjkami.

Kiedy w nocy zapytałam go, skąd to wszystko wie, odpowiedział:

– Z książek. Tu, na ziemi jest tylko życie i książki, które pozwalają nam je lepiej przeżyć. Nauczył mnie tego ojciec. Jest nauczycielem. Matka uprawia warzywa. Mam coś po nich obojgu. Trochę nieba i trochę ziemi.

– Wiesz tyle rzeczy, Gabrielu. Przepraszam, że cię o to pytam, ale dlaczego jesteś kastratorem?

– Nie mogłem zrobić nic innego.

– Mógłbyś zrobić wszystko.

– Wyrzucono mnie z drugiej klasy liceum w Cavillon, bo odgryzłem kawałek ucha profesorowi filozofii; wybuchł skandal i od tamtego czasu ta historia się za mną wlecze.

– Dlaczego go ugryzłeś?

– Bo powiedział, że Spinoza to zdegenerowany filozof.

– Może to prawda.

– To mój ulubiony filozof, który nauczył nas, że Bóg jest wszystkim i odwrotnie. Gdy napisał „Bóg, czyli Natura”, nie było już nic do dodania. To zdanie, które można codziennie zweryfikować, wystarczy popatrzeć na źdźbło trawy wznoszące się ku słońcu.

Teo lubiła Gabriela tak samo jak mnie, co mówi samo za siebie. Za każdym razem, gdy przynosiłam jej jedzenie, moja salamandra powtarzała, pożerając robaki, pająki i ślimaki:

– Wyjdź za niego, Rose, wyjdź za niego natychmiast. Znalazłaś mężczyznę swojego życia, to właśnie on.

Sądzę, że nigdy nie byłam taka szczęśliwa, jak w ciągu tych dwóch miesięcy i dwóch tygodni spędzonych w Sisteron. Nigdy się też tak nie bałam. Robiłam wszystko, aby ukryć swoją radość, także przed Gabrielem, z obawy, że przyciągnę złe duchy, które przy pierwszych oznakach wesołości zlatują się, żeby przynieść rozczarowanie.

Pobyt w Sisteron był długim, niemal nieprzerwanym pocałunkiem. Siedemdziesięciopięciodniowym pocałunkiem. Nie tylko my nie mogliśmy żyć bez siebie: nasze wargi nie znosiły oddalenia, choćby na krótko. Jak ślimaki, które tak się zapętłają, że nie da się ich rozdzielić, całowaliśmy się przez cały czas. Gdy paśliśmy owce na stromych zboczach na skraju Alp. Gdy zaskakiwały nas burze, które, rycząc nad nami, wylewały na nas wiadra wody. Gdy zbieraliśmy w górach zioła do potraw, które gotowałam wieczorem. Gdy pewnego dnia spłodziliśmy dziecko, a ono zaczęło rosnać w moim brzuchu.

Tysiąc brzuchów wuja Alfreda

Cavaillon 1925. Gabriel mieszkał w Cavaillon, w kamiennym domku w cieniu jednego z cudów Prowansji, katedry Saint-Véran ozdobionej obrazami wielkiego siedemnastowiecznego malarza Nicolasa Mignarda, który oszalał na punkcie tej budowli.

Niegdyś miasta się chowały. Przed upałem lub najeźdźcą. Cała dzielnica wokół katedry Saint-Véran żyła w ciemności, nawet w południe, gdy mocno świeciło słońce. Topografia miejsc przedstawiała się tak, że do jednopiętrowych budynków nigdy nie dochodziło światło dzienne.

Kiedy Gabriel przekręcił klucz w zamku, sąsiadka z piętra wyżej, stara, wąsata baba, zeszła pospiesznie na dół, utykając i krzycząc:

– Cieszę się, że cię widzę, mój mały, ale nie siedź tu za długo. Szukają cię żandarmi, zaglądali tu kilka razy, mówią, że popełniłeś straszną zbrodnię.

Uśmiechnęła się bezzębnym uśmiechem i dodała:

– To jest ta mała, którą porwałś? Gratulacje, kotku. Masz niezły gust.

Pocałowała mnie, pozostawiając na mojej twarzy odór uryny, a potem powiedziała z powagą jasnowidzów:

– Czuję, że będziecie się bardzo kochać, i macie rację, zawsze ma się rację, gdy się kocha.

Mieszkanie Gabriela tonęło w książkach. Ich fala wdzierała się nawet do szafek kuchennych. Powieści, opowiadania, dzieła filozoficzne.

– Przeczytałeś je wszystkie? – spytałam.

– Mam nadzieję, że przeczytam je wszystkie, zanim umrę.

– Po co umierać jako człowiek dobrze wykształcony?

– Żeby nie umierać jako idiota.

Poprosił starą, żeby oddała muła i bryczkę jego rodzicom, którzy mieszkali w Cheval-Blanc, w gminie sąsiadującej z Cavaillon, po czym pospiesznie wrzucił parę rzeczy do tekturowej walizki i godzinę później

byliśmy już w pociągu jadącym do Paryża.

Postanowił, że ukryjemy się w stolicy u jego wuja Alfreda, którego pierwszą żoną była nieżyjąca już siostra matki Gabriela; opisywał go jako znanego pisarza, jednego z klasyków XX wieku, autora esejów, powieści, sztuk teatralnych i tomików wierszy.

Kiedy następnego dnia przyjechaliśmy do Paryża, natychmiast udaliśmy się do niego. Alfred Bournissard mieszkał w eleganckiej kamienicy przy rue Fabert, niedaleko Inwalidów. Kończył właśnie śniadanie, błyszczały mu wargi upstrzone okruchami croissanta. Gdy przyprowadziła nas ochmistrzyni, wstał i serdecznie ucałował Gabriela.

Słyszał o naszej historii i natychmiast nazwał nas „Romeem i Julią”. Miał w sobie coś, co robiło wrażenie, żywość umysłu, dar do celnych ripost, jak również życzliwość z odrobiną dziwactwa. W dodatku patrzył jasnym wzrokiem, który napawał zaufaniem; bez wątpienia w młodości był pięknym mężczyzną, co pozwoliło mu poślubić bogatą dziedziczkę, gdy jego pierwsza żona, ciotka Gabriela, zmarła w pólgu.

Ale Alfred Bournissard osiągnął także wiek, w którym, po pięćdziesiątce, ponosi się odpowiedzialność za własną twarz, a jego twarz budziła obawę, że w dniu Sądu Ostatecznego nie uzyska rozgrzeszenia, tak bardzo zdawała się nosić piętno nienawiści, braku woli i chciwości.

Można by sądzić, że słowo brzuchaty wymyślono właśnie z myślą o nim. Jego brzuch widać było wszędzie, miał brzuchaty podbródek, policzki, a nawet nadgarstki. Wyglądał na osobę zadufaną w sobie, co budziło irytację jego wrogów i przeszkodziło mu w wyborze do Akademii Francuskiej, mimo iż dwukrotnie do niej kandydował. Za każdym razem zebrał więcej skreśleń niż głosów poparcia.

Ponieważ w naturze wuja Alfreda leżało szybkie załatwianie spraw, postanowił, nie pytając nas o zdanie, że Gabriel będzie asystentem jego prywatnego sekretarza, a ja zostanę przydzielona do kuchni, początkowo do obierania jarzyn i do zmywania; czekał, żebym się sprawdziła.

*

Wuj Alfred pracował nad wielkim projektem, w którym mieliśmy uczestniczyć w charakterze murzynów. Nazywał go „wydarzeniem ku czci Drumonta”. Składał się na nie esej, wielka biografia i sztuka teatralna, jakie zamierzał wydać jednocześnie w 1927 roku, by upamiętnić dziesiątą rocznicę śmierci tego nawiedzonego grafomana, autora *Żydowskiej Francji*, z którym współpracował do końca jego życia.

Dlatego razem z Gabrielem przeczytaliśmy i opatrzyliśmy uwagami wszystkie dzieła Édouarda Drumonta, dziennikarza, deputowanego, założyciela narodowego komitetu antyżydowskiego, którym tak zafascynowani byli Charles Maurras, Alphonse Daudet czy Georges Bernanos. Nie zapominając o Maurice Barrèsie, zwanym, jakże trafnie, „słowikiem rzezi”.

Czuliśmy się, jakbyśmy tworzyli z Drumontem trójkąt małżeński. Nie jestem w stanie policzyć, ile razy całowaliśmy się czy kochaliśmy z Gabrielem pośród jego książek, które, mimo że staraliśmy się uważać, nieraz mogliśmy pomiać czy poplamić w trakcie naszych igraszek. Moja ciąża wzmacniała jego pożądanie.

W ten sposób nawiązałam bliższy kontakt, w każdym znaczeniu tego słowa, z Édouardem Drumontem, dzieckiem romantyzmu, który w *Żydowskiej Francji*, jednym z wielkich sukcesów wydawniczych końca XIX wieku, chętnie małpował Victora Hugo, pisząc w stylu płynącym jak lawa, albo – miałabym raczej ochotę powiedzieć – jak plwocina.

Był nawiedzony. Przed swoją śmiercią w 1917 roku cierpiący na brak pieniędzy i kataraktę Édouard Drumont spytał Maurice’a Barrès’a, a ten zanotował to w swoich *Cahiers*: „Czy rozumie pan, jak Bóg może to robić mnie, Drumontowi, po tym wszystkim, co dla Niego zrobiłem?”.

W *Żydowskiej Francji* Drumont opisuje w następujący sposób najważniejsze cechy, po których można rozpoznać Żyda: „Słynny haczykowaty nos, mruganie powiekami, zaciśnięte zęby, odstające uszy, paznokcie kwadratowe, a nie zaokrąglone w formie migdała, zbyt wydłużony tors, płaskostopie, okrągłe kolana, mocno wystające kostki

u nóg, miękkie i wiotkie ręce hipokryty i zdrajcy. Często ma jedno ramię krótsze od drugiego”.

Po przeczytaniu tego fragmentu Gabriel się roześmiał: „Rzec by można, że to wypisz, wymaluj ja!”.

W swoim podręczniku antysemity Drumont odnotował też inne cechy: „Żyd posiada znakomitą zdolność przystosowywania się do życia w każdym klimacie”. Albo: „W oparciu o zjawisko zaobserwowane setki razy w średniowieczu, które znalazło potwierdzenie w czasie epidemii cholery, Żyd wydaje się posiadać szczególną odporność na epidemie. Podobno nosi w sobie stałą zarazę, która chroni go przed zwykłą zarazą”.

Zauważył także, że Żyd „brzydko pachnie”: „U najbogatszych z nich wyczuć można pewien zapach, *fetor judaica*, odór – powiedziałby Zola – który określa rasę i pozwala im rozpoznać współziomków (...). Ten fakt odnotowano setki razy: «Każdy Żyd cuchnie», powiedział Victor Hugo”.

Wreszcie, jak utrzymuje Drumont, nerwica jest „nieuchronną chorobą Żydów. U tego długo prześladowanego narodu zawsze żyjącego w nieustannym lęku, od wieków knującego spiski, trawionego później gorączką spekulacji, mającego się wyłącznie zawodów wymagających jedynie aktywności umysłu, zaburzeniu uległ w końcu system nerwowy. W Prusach odsetek obłąkanych jest znacznie wyższy wśród izraelitów niż wśród katolików”.

Po czym Édouard Drumont podaje wstrząsające liczby: na 10 000 Prusaków przypada 24,1 obłąkanych wśród protestantów, 23,7 wśród katolików i 38,9 wśród izraelitów. „We Włoszech – dodaje – jednego obłąkanego odnotowuje się na 384 Żydów i na 778 katolików”.

I tak w każdej kolejnej książce, z coraz większym sukcesem, Édouard Drumont walił w ten sam gwóźdź: żydostwo, które spadło „jak deszcz szarańczy na ten nieszczęsny kraj”, „rujnując go, wykrwawiając, skazując na nędzę”, wprowadzając „najbardziej przerażający wyzysk finansowy, jaki kiedykolwiek widział świat”. Przytaczam tu fragmenty książki *La France juive devant l'opinion*, wydanej w 1886 roku, w której powraca do

entuzjastycznego przyjęcia, z jakim spotkał się jego sławny esej opublikowany w tym samym roku.

Nie mogę nikogo zmuszać do czytania cytatów, jakie zaraz przytoczę. Kojarzą się z późniejszymi wypowiedziami Hitlera, a napisano je piękną francuszczyzną. Trzeba jednak wiedzieć, że dobrze obrazują bełkot ideologiczny, który stał się pożywką dla umysłów wielu patriotów, takich jak wuj Alfred, zanim osiągnął apogeum, jakie stanowiły nazistowskie Niemcy.

„Ponieważ społeczeństwo francuskie było niegdyś chrześcijańskie – pisze Édouard Drumont w *La France juive devant l'opinion* – głosiło dewizę: Praca, Poświęcenie, Oddanie. Ponieważ obecne społeczeństwo jest żydowskie, jego dewiza brzmi: Pasożytnictwo, Lenistwo i Egoizm. Myślą przewodnią ogółu nie jest już, jak niegdyś, praca na rzecz zbiorowości, na rzecz kraju, ale zmuszenie zbiorowości, kraju do pracy dla nich”.

Édouard Drumont nie był konserwatystą. Dowodzi tego fakt, iż przepowiadał, że „cała Francja pójdzie za wodzem, który będzie wymierzał sprawiedliwość, i zamiast, jak w 1871 roku, uderzać w nieszczęsnych robotników francuskich, uderzy w Żydów śpiących na pieniądzech”^[3]. Jules Guesde, jedna z wielkich postaci socjalistycznej lewicy, w pewnym okresie uznał, że może pokazywać się u jego boku na zebraniach publicznych. Bez wątpienia podzielał jego analizę kapitalizmu, który wszędzie na Zachodzie stawiał pierwsze kroki:

„Na samych ruinach Kościoła wyrósł krwiożerczy bożek kapitalizmu, który niczym samozapładniające się straszliwe bóstwo Asztoret bez przerwy się rozmnaża, poniekąd nieświadomie owocuje, gdy śpimy, kochamy się, pracujemy, walczymy i poprzez swoją ohydłą multiplikację dusi wszystko, co nim nie jest”.

Wiele można zarzucić Édouardowi Drumontowi, ale nikt nie odbierze mu niesłychanego daru jasnowidzenia, któremu dał wyraz, proponując, aby skończyć z „systemem żydowskim”. Pisząc poniższe słowa, wyprzedzał o ponad pięćdziesiąt lat straszliwe trzęsienie ziemi, które miało spustoszyć

Stary Kontynent:

„Wielki organizator, który połączy w jedno te urazy, złość i cierpienia, dokona dzieła, które odbije się na ziemi szerokim echem. Da Europie nowe siły na dwieście lat. Skąd wiecie, że nie przystąpił już do działania?”

Adolf Hitler jeszcze się wtedy nie narodził. Trzeba było czekać do 1889 roku, czyli jeszcze trzy lata, aby na świat przyszło to dziecko Édouarda Drumonta, który niczym archanioł zwiastował jego nadejście.

[3] *La France juive.*

19

La Petite Provence

Paryż 1926. Moje stosunki z Teo uległy znacznemu pogorszeniu w trakcie miesiąca, kiedy pracowaliśmy dla wuja Alfreda. Gdy przynosiłam muchy czy pająki mojej salamandrze, która dorobiła się już akwarium, często czyniła mi gorzkie wyrzuty:

– Co się z tobą dzieje, Rose? Gdzie twoja dusza?

– Próbuję jakoś żyć, tak jak wszyscy, Teo.

– Nie mogłabyś robić tego w imię mniej odrażającej sprawy?

– Staram się jak mogę, skończę z tym, zaufaj mi!

– Spójrz na siebie. Przypominasz bezkształtną ścierkę, oto, czym się stałaś. Weź się w garść, zanim skończysz w muszli klozetowej, do której wpadłaś, bo pewnego dnia ktoś spuści na ciebie wodę.

Słyszałam, co mówi Teo, ale nie słuchałam jej. Wuj Alfred był tak zadowolony z naszej pracy nad Édouardem Drumontem, że odwdzieczył się nam pokaźną sumą, dzięki której byłam w stanie kilka miesięcy później otworzyć własną restaurację.

Nie mogłam założyć firmy sama: skończyłam dziewiętnaście lat, a w tamtych czasach osoby w tym wieku uznawane były za nieletnie. Mimo że Gabriel był poszukiwany przez policję od czasu „porwania” w Sainte-Tulle, podjął dla mnie ryzyko otwarcia zakładu na swoje nazwisko.

– Czuję, że razem dokonamy jeszcze rzeczy wielkich – powiedział wuj Alfred, klepiąc się z zadowoleniem po brzuchu. – Macie wszystko. Talent, pasję, przekonania. Brakuje wam tylko sukcesu, a ja wam go zapewnię. Nadejdzie, mili moi, zobaczycie, że nadejdzie.

Poprosił, żebyśmy rozpracowali temat i przygotowali notatki na temat autora *Żydowskiej Francji*. Ale pełni zapału, pracując bez przerwy, napisaliśmy pierwszą wersję sztuki, eseju i biografii, które wykorzystał właściwie bez żadnych zmian. Nie zapomniał przy tym wylewnie nam

podziękować we wstępie do dwóch książek.

– Jesteście żywym dowodem na to, że istnieją inteligentni murzyni – parsknął śmiechem wuj Alfred z odrażającym wyrazem zadufania na twarzy.

Jego tyśiąc brzuchów drżało z podniecenia, zamówił u nas, idąc za ciosem, słownik francuskich Żydów, ale podziękowaliśmy mu za tę propozycję. Pomijając to, że postanowiłam spędzić życie w kuchni, a nie nad książkami, nie podobał mi się ten projekt, podobnie jak Gabrielowi: zrozumiałam to, widząc jego minę, gdy wuj Alfred nam go przedstawił.

Ponieważ Gabriel był urodzonym dyplomata, odmówił z taktem, nie obrażając wujka:

– To tytaniczna praca, czuję, że nie sprostałbym temu wyzwaniu. Poza tym w najbliższych dniach urodzi się nam maleństwo i będziemy mieli mniej czasu, nie chciałbym wujka rozczarować.

– Jak sobie życzyście, moje dzieci.

Wuj Alfred nie nalegał. Miał w zanadrzu też inne pomysły, a wśród nich biografię Karola Wielkiego, esej na temat Napoleona i Żydów, historię mentalności europejskich, atlas ras na świecie.

– Zawsze lubiłem Karola Wielkiego – stwierdził Gabriel.

– Zwróć uwagę, że zatrudniał wielu Żydów – zauważył wuj Alfred. – W jego administracji roilo się od nich, ten właśnie temat trzeba byłoby zgłębić, rozważając jego pochodzenie.

– Czyżby Karol Wielki był Żydem?

– Nie wiem, ale to bardzo możliwe: Żyda rozpoznaje się po tym, że zawsze zatrudnia Żydów, wzajemnie się popierają, mają obsesję na tym punkcie. Jeżeli pozwolimy im robić, co chcą, wezmą wszystko. Dodam, że Karol Wielki był kosmopolitą, kimś w rodzaju walczącego apatrydy, a to jedna z głównych cech charakterystycznych żydowskiej duszy, która nie przynależy do żadnego miejsca i wszędzie – a zwłaszcza u nas, niestety – czuje się jak u siebie!

– Żeby napisać takie dzieło – podsumował Gabriel – trzeba być

historykiem. Obawiam się, że moglibyśmy wuję rozczarować.

Wuj Alfred nigdy się nie poddawał. Tryskał pomysłami i zaproponował nam wtedy, żebyśmy napisali dla niego scenariusz filmu, wymyślił już fabułę, a także tytuł *Moloch*. Wyjął z szuflady biurka czasopismo naukowe „Cosmos” z 30 marca 1885 roku, w którym zamieszczono grafikę niejakiego Sadlera przedstawiającą „męczeństwo dziecka z Monachium, którego śmierć wywołała pogrom Żydów w 1285 roku”.

„Dziecko – jak głosił tekst towarzyszący grafice – zostało odnalezione dzięki wskazówkom kobiety handlującej opłatkami; przeszyta szpikulcami ofiara z wyłupionymi oczami leżała związana na stole w synagodze. Jej krew zebrały dzieci. Podniecony lud okrutnie rozprawił się z Żydami z miasta i potrzebny był autorytet biskupa, żeby uśmierzyć wzburzenie ludzi i położyć kres masakrze”.

– Oto podstawy scenariusza – oznajmił wuj Alfred. – Tego rodzaju film mógłby odnieść wielki sukces, bo wywołałby polemikę na temat rzeczywistości, której wielu nie chce dostrzec: Żydzi kochają krew, taka jest prawda. Édouard Drumont odnalazł wydany w Amsterdamie w 1646 roku Talmud, w którym napisano czarno na białym, że przelanie krwi młodych dziewcząt nie-Żydówek to sposób na pogodzenie się z Bogiem. Moloch, którego nieustannie trzeba żywić krwistym ludzkim ciałem, jest bóstwem semickim *par excellence*. Nic nie zaspokaja jego pragnienia ani głodu. W przeszłości takie ofiary jak ta w Monachium składano wszędzie: w Konstantynopolu, w Ratyzbonie, i pewnie nadal się je składa. Nadszedł czas, aby o tym mówić, a nawet wykrzyzczyć to na dachach: Żydzi uwielbiają ciepłą krew. Gdyby było inaczej, Pięcioksiąg nie zakazywałby im jej picia.

Byłam przerażona, bo jego głos brzmiał jak piła, a jednocześnie rozczulała mnie pełna bólu dobroć, którą emanował. Ten mężczyzna, który pragnął wyłącznie naszego dobra, był ohydny i wzruszający. W jego obecności zawsze czułam się rozdarta i chowałam się za głupim uśmiechem, pozostawiając wolną rękę Gabrielowi, który lepiej niż

ktokolwiek umiał zmylić otoczenie.

Nie jest to dla mnie powód do dumy, ale daliśmy naszemu synowi na imię Édouard z powodu Drumonta, naszego pośmiertnego dobroczyńcy, a także by sprawić przyjemność wujowi Alfredowi, który został zresztą ojcem chrzestnym tego poczętego i urodzonego w grzechu dziecka.

Musieliśmy czekać jeszcze dwa lata, żeby móc się pobrać. Aby zawrzeć związek małżeński przed osiągnięciem pełnoletniości, musiałabym prosić o zgodę moich opiekunów z Sainte-Tulle. Równie dobrze mogłabym od razu zgłosić się na policję.

Narodziny Édouarda były najpiękniejszym dniem w moim życiu. Z całym szacunkiem, Chateaubriand musiał naprawdę być ograniczonym samcem, żeby mieć czelność napisać w *Pamiętnikach z za grobu*: „Po nieszczęściu przyjścia na świat, nie znam większego od dania życia człowiekowi”^[4].

Gdyby Chateaubriand był kobietą, poznałby ogromne szczęście wydania na świat dziecka. To wewnętrzne uniesienie. Krwawa radość, której towarzyszy uczucie religijne. Po porodzie, gdy Édouard spał na moim brzuchu pod okiem Gabriela, płakałam z zachwytem; czułam się tak, jakbym unosiła się nad sobą. Mogłabym tkwić w tej pozycji aż do śmierci.

Ale czekał na mnie świat. Musiałam zarabiać na życie i mieć mleko. Karmiłam Édouarda piersią do szóstego miesiąca, a potem oddałam go do mamki, sąsiadki z szóstego piętra, grubej kobiety, która siedem lat po urodzeniu ostatniego dziecka miała jeszcze litr mleka dziennie.

Pod koniec roku znalazłam garkuchnię przy rue des Saints-Pères, w szóstej dzielnicy Paryża. Sala o powierzchni szesnastu metrów kwadratowych z wąską kuchnią pozwalała mi wydawać nie więcej niż trzydzieści posiłków dziennie. Restauracja nazywała się Le Petit Parisien, a ja zmieniałam szyld na La Petite Provence.

Codziennie podawałam swoje specjalności, *placki*, zapiekankę z parmezanem, krem karmelowy. Do tego doszła jeszcze zupa śródziemnomorska, w której nie brakowało czosnku ani sera. W ciągu

kilku miesięcy zyskałam wspaniałą klientelę złożoną z pisarzy, intelektualistów i zamożnych mieszkańców dzielnicy.

Alfred Bournissard często przychodził do La Petite Provence na kolację lub obiad, żeby przyciągnąć do niej elitę. To dzięki niemu w mojej restauracji zaczęły bywać takie postaci, jak piosenkarka Lucienne Boyer i pisarze Jean Giraudoux czy Marcel Jouhandeau. Nie zapominając o mocno starszym panu, Louis Andrieux, byłym prefekcie policji, w przeszłości także deputowanym, senatorze, ambasadorze, którego synem z nieprawego łoża był Louis Aragon. Całe to grono osób stanowiło chlubę mojej restauracji.

Wuj Alfred dał nam tak wiele, że starałam się go usprawiedliwiać, gdy opowiadał straszne rzeczy. Choć nie broniłam się przed jego hojnością, wprawiała mnie ona w zakłopotanie. Po śmierci pierwszej żony poślubił kobietę, która odziedziczyła w spadku zakłady produkujące wyroby metalowe Plantin. Rozgniół ją na miazgę pociąg, gdy za późno wyszła z samochodu, który rozkraczył się na przejeździe kolejowym. Wuj Alfred został wdowcem po raz drugi. Nigdy nie pogodził się ze śmiercią żony. Łatwo się wzruszał do łez i cierpiał na coś w rodzaju braku miłości, której szukał wszędzie, nawet w oczach swojego jamnika. Miałam sobie za złe, że nie byłam w stanie go nienawidzić ani planować, że któregoś dnia zerwę z nim kontakty.

Pocieszałam się myślą, że zawsze trudniej jest dostawać niż dawać.

[4] Chateaubriand, *Pamiętniki zza grobu*, przeł. Joanna Guze, PIW, Warszawa 1991, s. 52.

Sztuka zemsty

Marsylia 2012. Muszę chwilowo przerwać swoje opowiadanie. Gdy kończyłam poprzedni rozdział, około pierwszej w nocy zadzwonił do moich drzwi Samir Mysz.

– Chyba ci nie przeszkadzam?

Zadał mi to pytanie z bezczelną miną młodych ludzi w ciemnych okularach, których chciałoby się bić po pysku, gdy siedzą w kawiarnianych ogródkach i kpią z nas, swoich przodków, dla których każdy kolejny krok jest nieopisaną męką.

– Miałam się właśnie kłaść spać – odpowiedziałam.

– Mam dla ciebie coś niesamowitego.

Wkurzył mnie dwuznaczny uśmiech, z którym to powiedział.

– To bomba – nalegał. – Znalazłem to w rejestrze urzędowym: Renate Fröll oddano do „Lebensbornu” w 1943 roku. Wiesz, co to był „Lebensborn”?

– Nie do końca – odpowiedziałam obojętnym tonem, po czym zaproponowałam Samirowi Myszy, by usiadł, co zresztą zrobiłby tak czy inaczej, nie pytając mnie o pozwolenie i dając tym po raz kolejny dowód złego wychowania.

Wyjaśnił mi, czym był „Lebensborn”, ale to już wiedziałam: chodziło o ośrodki SS stworzone przez Himmlera w celu „hodowli rasy nadludzi”, gdzie trafiały skradzione lub porzucone dzieci, których rodzice mieli świadectwa aryjskości, niebieskie oczy, blond włosy i tak dalej. Usuwano ich dane z ksiąg stanu cywilnego i dzieci były adoptowane przez wzorowe rodziny niemieckie, w celu odnowienia krwi III Rzeszy.

Gdy przez dłuższą chwilę milczałam, żeby wprawić go w zakłopotanie, w oczach Samira Myszy błysnął niepokój:

– I co, nie pogratulujesz mi?

– Czekam na dalszy ciąg.

– Musimy we dwójkę pojechać do Niemiec i przeprowadzić tam śledztwo, łatwiej się zorientujemy, o co chodzi.

– Wiesz, że nie mogę nigdzie wyjechać – zaprotestowałam. – Nie mogę zostawić restauracji.

– Wystarczy kilka dni.

– Teraz, skoro dowiedziałam się tego, co chciałam wiedzieć, nie mam ochoty drążyć dalej. Dam ci konsolę, którą ci obiecałam w zamian za pracę, i będziemy kwita.

– Nie, chcę się tym zająć.

– Dlaczego?

– Żeby znaleźć biologicznych rodziców Renate Fröll. Poznać jej życie po „Lebensbornie”. Żeby zrozumieć, dlaczego się nią interesujesz.

W jego wzroku dostrzegłam mieszaninę ironii i insynuacji, która napawała mnie wstrętem. Miałam uczucie, że wie więcej, niż chce przyznać.

– Kurde mol, do jasnej cholery – wrzasnęłam nagle. – Co za ściemę mi tu uprawiasz, mały kretynie? Przerwij ten cyrk, bo jak nie, to dostaniesz po ryju. Nie mógłbyś mnie zostawić w spokoju? Wiesz chyba, ile mam lat! Nie sądzisz, że zasługuję na odrobinę szacunku?

Samir Mysz zerwał się na równe nogi i wymierzył we mnie palec wskazujący:

– Przestań, Rose. Obraziłaś mnie, powinnaś mnie przeprosić.

Rozwazałam to przez chwilę. Żałowałam, że mnie poniosło.

– Przepraszam – odpowiedziałam, żeby zakończyć ten incydent. – Rozgrzebuję własną przeszłość, bo piszę książkę o swoim życiu i nie zawsze dobrze to na mnie działa. Dlatego jestem taka nabuzowana, rozumiesz?

– Rozumiem – powiedział – ale niech to się więcej nie powtórzy. Nie mów do mnie już nigdy w ten sposób, dobrze? Nigdy więcej! Bo jak nie, źle się to dla ciebie skończy.

Żeby zatrzeć złe wrażenie, zaproponowałam mu wodę z miętą

i wypiliśmy ją na moim balkonie, patrząc na mrugające, rozgwieżdżone niebo. Była to jedna z tych nocy jasnych jak dzień, kiedy czuje się obecność Boga w przestworzach, w przygaszonym świetle, które sprawia, że wszystko wokół drży.

Samir Mysz był słodki jak cukierek i musiałam się wykazać determinacją, żeby oprzeć się pokusie i nie złapać go, schrupać, ssać. Czuł ogień płonący w moim stuletnim ciele i sądząc po jego rozradowanym wyrazie twarzy, bawiło go to.

– Dziwna z ciebie facetka – powiedział wreszcie. – Sądzę, że przeprowadzę śledztwo na twój temat.

– Nie ma potrzeby. Niedługo będziesz wiedział o mnie wszystko, gdy przeczytasz moje *Pamiętniki*.

– Naprawdę wszystko opowiesz w swoich *Pamiętnikach*?

– Wszystko.

– Napiszesz nawet o ludziach, których zabiłaś?

Przekraczał wszelkie granice. Nic nie odpowiedziałam i wpatrywałam się w niego z pogardą, żeby podkreślić swoją dezaprobatę.

– Wiem, że zabijałaś – ciągnął dalej po chwili. – Widać to w twoich oczach. Często jest w nich tyle agresji, że przysięgam ci, że się ciebie boję.

– Pierwsze słyszę.

Niespecjalnie miałam ochotę kontynuować tę rozmowę, ale nie mogłam zakończyć jej w tym miejscu. Znowu zapadło milczenie, które wreszcie przerwał:

– Zawsze powtarzasz, że nic tak nie poprawia samopoczucia jak zemsta...

– To prawda, że tak mówię. Zemsta jest jedyną formą sprawiedliwości, która ma sens, a ci, którzy twierdzą inaczej, nie znają życia. Poza tym sądzą, że człowiek może naprawdę przebaczyć dopiero, gdy się zemści. Dlatego potem czuje się lepiej. Popatrz, w jakiej jestem formie, w moim wieku. Nie czuję ani żalu, ani wyrzutów sumienia, bo przez całe życie przestrzegałam prawa odwetu i odpowiadałam ciosem na cios.

– Dziękuję za potwierdzenie.

– Nie, niczego nie potwierdzam. Można się mścić, nie zabijając. Zemsta jest sztuką i uprawia się ją z sadyzmem, wolno i podstępnie, często nie przelewając ani kropli krwi.

Potrząsnął dwa, może trzy razy głową, potem westchnął, wzruszając ostentacyjnie ramionami:

– Rose, sama nie wierzysz w ani jedno słowo z tego, co powiedziałaś. Tylko krwią można pomścić krew.

– Nie, jest też inteligencja.

Byłam dumna ze swojej repliki, puenta była trafna, trzeba było na tym zakończyć dyskusję. Żeby udowodnić szczerść własnych słów, zaproponowałam Samirowi Myszy, żebyśmy wrócili do salonu i żeby przeczytał pierwsze rozdziały mojej książki.

Był najczystszy produktem naszej epoki, w której brak jakiegokolwiek znajomości literatury ciągle się pogłębia. Mimo iż zaprzeczał, sędzę, że nigdy w życiu nie przeczytał żadnej książki, nawet przerabianej w szkole lektury – pewnie na jej streszczenie rzucił okiem w Internecie, po czym po prostu najzwyczajniej w świecie je przepisał.

Często miał kłopot z przeczytaniem jakiegoś słowa, ponad godzinę zajęła mu lektura wstępu i paru pierwszych rozdziałów. Gdy skończył, wyglądał jak zamroczony. Nie poraził go mój geniusz, ale zmęczenie, jakby właśnie wykonał nadludzki wysiłek.

Jego komentarz ograniczył się do kilku słów, które rzucił tonem szantażysty, zanim poszedł do domu:

– Musimy o tym kiedyś porozmawiać w cztery oczy.

Nie wiem do końca, co miał na myśli, ale nie mogłam z tego powodu zasnąć.

Omlet z grzybami

Paryż 1930. Wszystko układało się świetnie, ale musiałam przerwać naszą usłaną różami rutynę i zaspokoić niskie instynkty, od których ścisnęło mnie w żołądku.

Chodziło o obietnicę, którą sobie złożyłam. Tylko Teo została poinformowana o moich planach i popierała je z całym entuzjazmem.

Byliśmy z Gabrielem niczym dwie rybki pływające w ciepłej wodzie szczęśliwości. Pobraliśmy się ponad rok wcześniej i nadal podobało mi się w nim wszystko, włącznie z jego rodzicami, których poznałam przy okazji naszego ślubu i którzy mnie urzekli. Przypominali filozofów z Prowansji, jak Emma i Scipion Lempereurowie.

Gdy się na nich patrzyło, odnosiło się wrażenie, że nie doczekają późnej starości, ale zmarli dopiero po wielu latach. Dla nas życie zaledwie się zaczynało. Édouard miał trzy lata, ja dwadzieścia dwa, a Gabriel dwadzieścia sześć, kiedy postanowiłam zamknąć restaurację na okres Świąt Wielkanocnych.

Oświadczyłam, że mam do załatwienia w Prowansji sprawy osobiste, Gabriel nie zapytał jakiego. Z wrodzoną sobie delikatnością nigdy nie kazał mi się spowiadać, nawet w kwestii drobiazgów, ale prawdą jest, że wchodził w moje myśli jak w masło. Zostawiłam mu Teo w formie rękojmi.

Nie miałam wątpliwości, że nasza miłość z Gabrielem trwać będzie przez całe życie. W naszej służbówce na szóstym piętrze przy rue Fabert nigdy nie słyhać było podniesionych głosów, nawet gdy Édouard nie dawał nam spać w nocy, co zdarzało się często, bo zapalenie zatok przeplatało się z zapaleniem gardła i wszystkimi tymi chorobami, jakie dopadają dzieci.

Gabriel wiedział doskonale, co zamierzam zrobić. Znał te przychywy nienawiści, które nieraz nie pozwalały mi oddychać. Odprowadził mnie na Gare de Lyon z Édouardem, a gdy stawiałam prawą stopę na pierwszym stopniu, wsiadając do pociągu, szepnął mi na ucho:

– Bądź ostrożna, kochanie. Myśl o nas.

Ponieważ ostrożność nie była moją mocną stroną, Gabriel sprytnie wywołał we mnie poczucie winy. Nie sprzeciwiał się moim planom: oceniał ich ryzyko i wyznaczał granice. Myślę, że gdyby mi tego nie powiedział, nie zatrzymałabym się w Marsylii, zanim wsiadłam w pociąg do Sainte-Tulle. Po prostu uległabym palącemu pragnieniu zemsty, które zachęcało mnie, bym przyspieszyła kroku i jak najszybciej je zaspokoila.

W Marsylii udałam się do fryzjera i kazałam sobie obciąć włosy na Jeanne d'Arc, potem kupiłam kosz, mięso i męskie przebranie. Spodnie, płaszcz i koszulę, kaszkiet, a także szalik, aby zasłonić nim część twarzy.

Gdy przyjechałam na dworzec w Sainte-Tulle, udałam się w stronę dworku Lempereurów, wybierając drogę na skróty przez dębowy las, gdzie znałam zakątek obfitujący w grzyby – napełniłam nimi kosz. Ułożyłam na wierzchu kilka smardzów, ale skupiłam się na dwóch trujących gatunkach, których zapach i smak od wielu pokoleń wprowadza w błąd ich ofiary. To muchomory sromotnikowe i strzępiaki porysowane – mogłyby zabić pułk wojska.

Gdy w moim kierunku ruszyły dwa brytany, rzuciłam im kawałki mięsa naszpikowane nasionami szaleju. Pożarły je z bezmyślną łapczywością, którą spotyka się jedynie u psów, świń i ludzi. Kiedyś tak właśnie zabijano wilki. Efekt gwarantowany. Po kilku minutach psy runęły na ziemię, wstrząsane drgawkami, z wytrzeszczonymi oczami i pianą na pysku. Wyglądały tak, jakby zdychały z zimna, na wolnym ogniu, jeśli można tak powiedzieć...

– Przykro mi – zwróciłam się do nich – ale nie trzeba było zabijać mojego kota.

Gdy dogorywały na podwórzu, poszłam zapukać do drzwi moich dawnych panów z koszykiem grzybów w jednej ręce i pistoletem w drugiej. Hiszpańską samopowtarzalną astrą 400, którą sprzedał mi przyjaciel, dziennikarz z Dzielnicy Łacińskiej.

Drzwi otwarł mi Justin. Poza tym, że ceglastoczerwony odcień jego

twarży przybrał fioletową barwę, właściwie się nie zmienił. Mimo przebrania natychmiast mnie poznał i ostrożnie, z pełną obawy podejrzliwością, uściskał mi dłoń.

– Co się stało psom? – spytał, zobaczywszy, jak jego brytany drgają w konwulsjach, leżąc na grzbiecie.

– Źle się poczuły.

Udając, że nie widzi mojego pistoletu, powiedział:

– Cieszę się, że cię widzę. Co cię tu sprowadza?

– Przyszłam w sprawie kota.

– Kota? – Mimo suchości w ustach i niepewności w głosie starał się wyglądać na rozbawionego z uwagi na niekorzystny układ sił: wymierzony w niego rewolwer i konające psy za moimi plecami.

– Jeżeli o to chodzi, możemy dać ci innego kota, łatwo go zastąpić nowym, kotów ci u nas dostatek...

– Przyjmowałam od was wszystko z dobrodziejstwem inwentarza, naprawdę wszystko, ale kota nie przyjmę – stwierdziłam, udając się do kuchni. – Zawołaj swoją starą i zjemy coś, zbliża się pora obiadu. Zrobię wam omlet z grzybami, jak za dawnych czasów, pamiętasz?

– Jak mógłbym zapomnieć! Jesteś królową omletów z grzybami...

– ...i wielu innych rzeczy.

Zaintrygowana hałasem Anaïs przywlokła się ciężkim krokiem.

Ponieważ zatrzymywała jej się woda w organizmie, jej kostki u nóg przypominały gąsiorzy. Kiedy zobaczyła mnie w kuchni z astrą 400 w dłoni, wydała okrzyk przerażenia i upadłaby, gdyby mąż jej nie podtrzymał.

– Dlaczego przyszedł z rewolwerem? – spytał Justin jęklwym głosem, świetnie dostosowanym do sytuacji.

– Nie chciałam z wami ryzykować. Zbyt wiele było między nami nieporozumień, bałam się, że nie zrozumiecie celu mojej wizyty, która ma charakter pokojowy i przyjacielski...

– Szkoda, że się nie porozumieliśmy.

Justin był tak dumny z tego zdania, że powtórzył je dwa razy.

– Mamy teraz okazję jak nigdy – stwierdziłam – żeby wszystko nadrobić i zacząć od nowa.

Obrałam grzyby i pokroiłam je na ich oczach, po czym wymieszałam z ubitymi jajkami, których było piętnaście. Kiedy omlet był już gotowy, taki, jak lubili, ledwie ścięty, nałożyłam im po dużym kawałku i poprosiłam, by nie połykali go, jak mieli w zwyczaju, gdy coś jedli, ale żeby dokładnie go pogryźli, aby docenić smak, wspominając stare, dobre czasy. Posłuchali mnie z zawodową żarłocznością tuczonych wieprzy.

– Bardzo kochałam swojego kota – mruknęłam pod nosem, gdy jedli omlet.

– My też, nie inaczej.

– W takim razie dlaczego go zabiliście?

– Nie my, tylko psy – zaprotestował Justin. – Ale pewnie, że nie powinniśmy byli go im dawać, to była głupota z naszej strony, przepraszamy.

Kiedy napełnili sobie brzuchy, zrobiłam im kawę. Właśnie ją pili, gdy widząc, że zaczyna ich oblewać pot, oświadczyłam, że umrą: agonia zacznie się za kilka minut i potrwa wiele godzin.

Wyglądali na zaskoczonych. Domyślali się, że coś knują, ale nie spodziewali się, że przyczyną ich zguby będzie ich największa słabość: żarcie.

– To zemsta za kota – powiedziałam. – Musiałam go pomścić, myślałam o tym cały czas, zatruwało mi to życie.

Justin wstał, ale kazałam mu usiąść z powrotem, grożąc pistoletem. Pozostawiłam ich własnemu losowi, gdy zaczęły się mdłości, wymioty, biegunka, zawroty głowy, ale zanim wystąpiły drgawki i doszło do zniszczenia wątroby. Nie chciałam tego oglądać; nie gustuję w ohydzie.

Przed wyjściem włożyłam resztki jedzenia do misek brytanów, a potem postawiłam patelnię z ćwiartką omletu na kuchennym stole, żeby policja nie miała żadnych wątpliwości co do przyczyn zgonu Lempereurów i ich psów.

Po dwóch tygodniach, już w Paryżu, dostałam wezwanie na komisariat w Manosque. Znowu udałam się do Górnej Prowansji, gdzie zostałam przesłuchana przez podejrzliwego inspektora. Razem z kolegą przez ponad cztery godziny bombardował mnie pytaniami, ale w moich odpowiedziach nie znalazł niczego, co potwierdzałoby mój związek z tą sprawą.

Nazywał się Claude Mespolet, jego nos przypominał szydło, którym w każdej chwili mógł kogoś przebić. Wystawało ono z głowy starej, zgorzkniałej mumii, nasadzonej na drobne ciało pajaca. Miał zaledwie trzydzieści lat, nosił zatłuszczoną marynarkę, która przykrywała wymiętą co prawda, ale ozdobioną złożonymi spinkami do mankietów koszulę. Bardzo sceptycznie zapatrywał się na tę historię z zatruciem grzybami, miał o coś pretensje do całego świata, a w szczególności do mnie.

– Gdy mamy do czynienia z morderstwem – powiedział – trzeba najpierw szukać motywu. A pani ma motyw.

– Może i mam motyw, ale to nie było morderstwo.

– Nic tego nie dowodzi – zaprotestował.

– Nic także nie dowodzi przeciwnego twierdzenia.

– Ależ dowodzi, proszę pani: w ciałach psów znaleziono ślady cykuty. Łatwo sobie wyobrazić, że ktoś po ich śmierci zainscenizował scenę zbrodni i dorzucił do jedzenia w miskach resztki z trującymi grzybami.

Inspektor Mespolet świdrował mnie wzrokiem, aż spuściłam oczy.

– Oczywiście to tylko przypuszczenie z mojej strony – zakończył. – Ale cóż, przyzna pani, że coś jest na rzeczy...

Claude Mespolet nieświadomie dał mi dobrą lekcję. Nie był co prawda policyjnym asem, ale ja nie byłam mistrzynią zbrodni. Odtąd koniec z inscenizacjami: budzą za wiele podejrzeń. Lepiej improwizować.

Po kilku miesiącach dostałam list od notariusza z Manosque, w którym oznajmiał mi, że po „tragicznym zgonie” Justina i Anaïs Lempereurów odziedziczyłam gospodarstwo w Sainte-Tulle. Odpisałam mu, że ponieważ jestem pełnoletnia i chcę się pozbyć tego majątku, proszę, aby jak najszybciej go sprzedał.

Za pieniądze uzyskane ze sprzedaży kupiłam pod koniec roku trzypokojowe mieszkanie w Paryżu przy rue du Faubourg-Poissonnière dla siebie, Gabriela i Édouarda. I tam właśnie byłam przez niemal dziesięć lat najszczęśliwszą kobietą na świecie.

Powrót do Trapezuntu

Paryż 1933. Szczęścia, mawiała Emma Lempereur, nie da się opowiedzieć. Jest jak ciasto z jabłkami, zjada się je do ostatniej okruszyny, podniesionej ze stołu, a potem zlizuje złotawy sok, który brudzi palce.

Ze szczęściem nie należy się też obnosić. Najprostszym sposobem, aby z przyjaciół zrobić sobie wrogów, jest demonstrowanie swojego szczęścia. Ludzie tego nie znoszą. Szczęście jest arcydziełem, które za wszelką cenę trzeba trzymać w tajemnicy, zachować je dla siebie, jeżeli człowiek nie chce narażać się na nieprzyjemności ani kusić losu.

Niczego nie brakowało nam z Gabrielem do szczęścia, gdy daliśmy Édouardowi siostrzyczkę: Garance, niebieskooką blondyneczkę, jak jej matka, ale o znacznie delikatniejszych rysach. Bardzo wcześnie wykazywała zamiłowanie do tańca, widziałam w niej już solistkę paryskiej Opery.

Édouard z kolei chciał zostać policjantem lub maszynistą, ewentualnie dyrygentem. Musiał wszystkiego dotknąć, niczego się nie bał, nie znosił szuflad i etykietek. Bardzo wcześnie wydał mi się tak mało francuski, że się o niego bałam.

Wybaczcie, że nie mogę opowiedzieć wam więcej o Édouardzie i Garance. Na następnych stronach będę się starała nie poruszać tematu moich dzieci. Musicie mnie zrozumieć: gdy tylko kreślę na papierze ich imiona, moja twarz zalewa się łzami, a gardło ściska mi szloch.

Gdy piszę te słowa, atrament miesza się ze łzami, zamieniając zdania w duże niebieskawe plamy w zeszycie. Nie zaczęłam wam przecież opowiadać historii mojego życia, żeby zadać sobie ból. A za każdym razem, gdy wspominam swoje dzieci w myślach czy słowach, wszystko się gmatwa i ziemia usuwa mi się spod nóg. Od tamtej tragedii żyję z nimi w pamięci, ale lepiej, żeby stamtąd nie wychodziły.

Bóg wie dlaczego, łatwiej mi wspominać Gabriela, którego przecież

spotkał ten sam los. W tamtym czasie nie było mu lekko. Przynajmniej w pracy. Jako oficjalny już wtedy sekretarz wuja Alfreda mój mąż pełnił także rolę jego murzyna i zalewał prozą w stylu Bournissarda antysemitką prasę „La Libre Parole”, „L’Ordre national” czy „L’Antijuif”.

Choć nigdy mi tego otwarcie nie powiedział, czułam – co sprawiało mi niejaką przyjemność – że wstydzi się swojej pracy: niemal nigdy o niej nie mówił, a gdy przez przypadek wspominaliśmy o niej, coraz częściej spuszczał wzrok, a jego wargi i uśmiechy wykrzywiała gorycz. Uczestniczył w czymś, czym się brzydziłam, a jednocześnie wiedziałam, że zasługuje na coś więcej. Dlatego mu wybaczałam, tym bardziej że najwyraźniej starał się zmienić pracę, pisując na przykład w zastępstwie kroniki muzyczne do „Le Figaro”.

Gdy wiosną 1933 roku Alfred Bournissard zmarł w wieku pięćdziesięciu dwóch lat na wylew wywołany tworzącymi się już od dawna zakrzepami krwi, Gabriel próbował uwolnić się od beznadziejnej skrajnej prawicy, z którą bratał się jego wuj. Przez jakiś czas pracował dla Jeana Giraudoux, autora *Wariatki z Chaillot*, często oskarżanego o antysemityzm, ale sądzę, że wiele będzie mu wybaczone za to, iż pewnego dnia napisał, że „rasa francuska jest rasą złożoną” i że „można być Francuzem nie tylko z urodzenia. Francuzem można się także stać”. Chociaż nie był do końca w porządku, nigdy nie wsadzałam go do jednego worka z całą resztą.

Po kilku miesiącach szukania stałej pracy Gabriel przyjął posadę sekretarza redakcji „La France réelle”, pisma, na którego sam widok robiło mi się niedobrze. Nie mam prawa potępiać męża. Klientela mojej restauracji składała się głównie z osobników tego pokroju.

Niechęć, jaką nas napawali, mimo że nigdy o tym nie wspominaliśmy, była bez wątpienia tą jedyną kroplą goryczy, zawsze potrzebną, by docenić szczęście. Wiedziałam, że Gabriel nie ma nic wspólnego z tymi krzykaczami, rzekomymi patriotami, od których zaroilo się w latach trzydziestych, i podobało mi się, że chce odkupić winy, pisząc niezwykle

pochlebną biografię Salomona Reinacha, potomka żydowskich bankierów niemieckich, archeologa, humanisty i znawcy historii religii, jednego z najświetlejszych umysłów swoich czasów, który zmarł rok przed wujem Alfredem.

Nic nie mogło zepsuć harmonii naszego związku. Ani miazmaty epoki, ani kłopoty zawodowe Gabriela. Nie musieliśmy nawet ze sobą rozmawiać, żeby się rozumieć.

Czytał w moich myślach, jak wtedy, gdy bez oporów się zgodził, bym zostawiła mu dzieci na dwa pierwsze tygodnie sierpnia, kiedy jak co roku La Petite Provence miała być zamknięta. Uśmiechnął się porozumiewawczo i zrozumiałam, że wie, co mi chodzi po głowie, gdy oznajmiłam mu, że mam zamiar pojechać do Trapezuntu, gdzie spędziłam dzieciństwo, „aby załatwić sprawy osobiste”.

*

Rok 1933 był rokiem narodzin III Rzeszy. Przyszła na świat 30 stycznia, kiedy prezydent Paul von Hindenburg, stary ramol symbolizujący dogorywającą Republikę, namaścił Adolfa Hitlera, czyniąc go kanclerzem. Robak drażył owoc, więc owoc był zgniły.

Kilka tygodni później, po pożarze Reichstagu, Hitler przyznał sobie pełnię władzy, by bronić kraju przed rzekomym wielkim spiskiem komunistycznym, a 20 marca Himmler, szef monachijskiej policji, ogłosił, że dwa dni później w okolicy Dachau zostanie otwarty pierwszy oficjalny obóz koncentracyjny, „mogący przyjąć 5000 osób”, aby odizolować elementy społeczne, które, wywołując zamęt, narażają na szwank swoje życie i zdrowie.

W liceum w Manosque jako pierwszy język obcy wybrałam niemiecki. Emma Lempereur wprowadziła mnie w kulturę niemiecką, którą szalenie się interesowała, dając mi do rąk *Cierpienia młodego Werthera* Goethego.

Potem już jedno poszło za drugim. Bach, Schubert, Mendelssohn i cała reszta.

Mimo zainteresowania kulturą niemiecką, nie zwracałam najmniejszej

uwagi na rozwój nazizmu ani też nie przejmowałam się szczególnie losem pięciu, sześciu czy siedmiu milionów ofiar, które w tym samym roku pochłonął wielki głód w Związku Radzieckim.

Dnia 22 stycznia 1933 roku Stalin, jeden z największych zbrodniarzy w historii ludzkości, podpisał ze swoim współnikiem Mołotowem dekret nakazujący blokadę Ukrainy i Północnego Kaukazu. Mieszkańcy tych ziem zostali skazani na śmierć z wycieńczenia, a dodatkowo wprowadzono całkowity zakaz wyjeżdżania za chlebem, którego im brakowało, podczas gdy Związek Radziecki eksportował osiemnaście milionów kwintali zboża.

Świat ogarniała gorączka ludobójstwa; nic nie mogło jej już powstrzymać. Podsycona przez Hitlera i Stalina miała kolejno, lub jednocześnie, zmieść z powierzchni Ziemi Żydów, Ukraińców, Białorusinów, narody bałtyckie, Polaków i wielu innych.

Gdybym zadała sobie trochę trudu i zainteresowała się tym wszystkim, rok 1933 pozostawiłby w moich ustach smak popiołu. A tymczasem przyniósł mi wielką radość. Zaczęła we mnie wzbierać latem 1933 roku, gdy z pokładu statku zobaczyłam zbliżający się Sztambuł.

Nie opuściła mnie przez trzy dni pobytu w Stambule, dawnym Konstantynopolu, który zmienił nazwę w 1930 roku, gdzie natychmiast poczułam się jak u siebie. Nie wiem, czy to z powodu unoszących się w powietrzu zapachów, czy życzliwych spojrzeń, ale spacerując ulicami, czułam, że odnalazłam część siebie, którą utraciłam, opuszczając Morze Czarne.

Gdzie się podzieli mordercy mojej rodziny? Tu, na tym świecie kaci szybko stali się ofiarami, a ofiary – katami. Tłum wyglądał tak dobrodusznie, że nie byłam sobie w stanie nawet wyobrazić, iż mógł z takim okrucieństwem zabić moich bliskich. Byłam Turczynką pośród Turków, chciałoby się powiedzieć dla Turków: mężczyźni wydawali mi się znacznie przystojniejsi niż w Paryżu, ale oparłam się pokusie.

Właściwie niewiele brakowało, bym jej uległa. Jakiś facet szedł za mną przez wielki bazar w Stambule, gdzie kupowałam prezenty dla rodziny.

Wreszcie zaczepił mnie i zaproponował wspólny spacer, ale mu nie odpowiedziałam.

Poszłam się pomodlić do bazyliki Hagia Sophia, która przez niemal dziesięć stuleci – od roku 537 do 1453 roku, kiedy to została przekształcona w meczet – była najbardziej okazałą budowlą chrześcijaństwa. To był ostatni rok, w którym pełniła funkcję miejsca kultu, potem stała się muzeum. Przeżywałam uniesienie. Wydawało mi się, że widzę coś boskiego w świetlistej bieli, która wdzierała się przez okna i zderzała ze ścianami kopuły.

Po kilku dniach moja radość jeszcze wzrosła, gdy nasz statek przybił do portu w Trapezuncie wznoszącym się na skraju mlecznego morza, z którym mieszało się wiszące nisko, śmietankowe niebo.

Mojej radości towarzyszył jednak lęk, który kobieta odczuwa, gdy po raz pierwszy ma się komuś oddać i otwiera drzwi do sypialni, gdzie czeka na nią łożo rozkoszy. Tylko że w tym wypadku będzie to łożo śmierci.

Wiedziałam, kogo zobaczę, ale nie wiedziałam jeszcze, co mu zrobię.

Przejażdżka statkiem

Trapezunt 1933. Ali Recep Ankrun był równie brzuchaty jak wuj Alfred, z tym że dodatkowo miał wybrzuszony nos, niczym kaukaski pomidor, którym rzucono by mu w twarz.

Miał jedną rękę i należał do osób, które nie chcą przyjąć do wiadomości, że utraciły jakąś część ciała: czasem wywijał łokciem, podkreślając zdania, które uważał za szczególnie ważne. Powstrzymałam, nie bez trudu, przemożną chęć zapytania go, dlaczego odjęto mu ramię.

Bardzo się pocił, zwłaszcza na twarzy, dlatego bez przerwy trzymał przed sobą chusteczkę w kratkę, wielką niczym ścierka, którą wycierał sobie głowę. Ale ładnie pachniał. Rachatłukum, karmelem i mlekiem migdałowym, co sprawiło, że poczułam lekki głód.

Burmistrz Trapezuntu przyjął mnie wylewnie, z prymitywną, głupią euforią cechującą polityków, jakby czekał na moją wizytę od dnia swych narodzin:

– Bardzo słusznie, że interesuje się pani naszym miastem.

– Gdy tylko „Le Figaro” zaproponował, żebym przygotowała duży materiał o Trapezuncie, natychmiast się zgodziłam.

– Co dowodzi, że to inteligentna gazeta, wiedziałem o tym.

Potem, ścisząc głos, spytał z lepkiem uśmiechem:

– Bardzo dobrze mówi pani po turecku. Gdzie się go pani nauczyła?

– W szkole. Mój ojciec był zafascynowany Cesarstwem Bizantyjskim.

– Z pewnością pani wie, że nasze miasto przez ponad dwieście lat było stolicą innego cesarstwa, zwanego Cesarstwem Trapezuntu.

– Tak, wiem także, iż pana miasto założyli Grecy wiele stuleci przed naszą erą.

– Ach! Grecy – westchnął – nie potrafiliśmy się z nimi dogadać. To uparci chrześcijanie, opętani idiotyczną, obsesyjną wiarą w krzyże, chcą je wszędzie wieszać. Teraz, gdy wszyscy wyjechali, czujemy się tu, szczerze

mówiąc, znacznie lepiej.

Ugryzłam się w język i nie powiedziałam, że rząd turecki rozwiązał problem grecki tak samo, jak trochę wcześniej problem ormiański: metodą usunięcia Greków. W latach 1916–1923 w wyniku ludobójstwa zginęło w tym regionie 350 000 Greków. Chrześcijaństwo starto tu z powierzchni Ziemi, dźwięk dzwonów zastąpili muezini.

Nie przyjechałam tu po to, by wieść dysputy z Alim Recepem Ankrunem, ale po coś znacznie ważniejszego. Dlatego zgadzałam się z nim we wszystkim z miną uległej, zafascynowanej dziewczynki.

– Te czystki stanowiły dla pańskiego miasta nowy początek oparty na solidnych podstawach.

– Nowy początek nie jest najwłaściwszym określeniem, raczej mówiłbym tu o odrodzeniu, a nawet rozkwicie gospodarczym. Gotów jestem udzielić pani wywiadu, w którym omówię te wszystkie kwestie, jak również przedstawię liczne projekty w rozmaitych sferach: przemysłowe, edukacyjne i religijne.

Zachwycił się meczetami w Trapezuncie, które powinnam niezwłocznie zwiedzić, a potem opowiadał mi o rybołówstwie, jednym z głównych sektorów gospodarki w mieście, które jego zdaniem było stolicą niemal wszystkiego. Anchois, szprotek, barwen, ale także orzechów laskowych, tytoniu, kukurydzy i ziemniaka.

Minęła godzina, potem druga. Ali Recep Ankrun nie miał ochoty kończyć naszej rozmowy. Co jakiś czas do gabinetu zaglądał strażnik, spoglądając na niego z naganą: delegacja przemysłowców gruzińskich czekająca w przedpokoju zaczynała się niepokoić, goście musieli niebawem jechać do Erzurumu, gdzie byli umówieni.

Zanim burmistrz Trapezuntu zakończył nasze spotkanie, zaprosił mnie na kolację wieczorem, a ja przyjąłam jego zaproszenie, udając coś w rodzaju drżenia pleców, co, sądząc po jego rozszerzających się źrenicach, wywołało u niego podniecenie.

Spędziłam popołudnie, spacerując ulicami Trapezuntu, w szczególności

Uzun Caddesi, z uszami pełnymi krzyku sprzedawców ryb i nozdrzami sycącymi się zapachem lawaszu. Po jakimś czasie tak przeniknął mnie wiatr, aromaty, wonie i kolory, że zapomniałam, po co tu przyjechałam.

Mimo tylu rzezi nic nie zmieniło się w tym leżącym u podnóża góry mieście, w którym jak niegdyś roił się tłum. Życie płynęło dalej i mnie także wciągnął strumień rozgorączkowanych przechodniów. Mimo wszystkich swoich uprzedzeń, poddałam się urokowi Trapezuntu. Jakbym pogodziła się ze sobą.

Wieczorem, jedząc kolację w najlepszej restauracji w mieście na zaproszenie Alego Recepta Ankruna, musiałam z taktem opierać się awansom burmistrza, który najwyraźniej postanowił przelecieć mnie natychmiast po deserze. Nie chcę się chwalić, ale wydaje mi się, że dość dobrze to rozegrałam.

– Nigdy pierwszego dnia – powiedziałam, chwytając jego wilgotną dłoń.
– Proszę mi wybaczyć, ale... zawsze muszę się chwilę zastanowić, zanim się z kimś zwiążę. Jestem taka sentymentalna, rozumie pan, a poza tym jestem mężatką.

Czyli co się odwlecze, to nie uciecze. Gdy Ali Recept Ankrun zaproponował, byśmy nazajutrz zjedli obiad na jego statku, zgodziłam się bez wahania, trzepocząc rzęsami i zwilżając sobie wargi, po czym wydałam z siebie jęk, który może nie był zbyt subtelny, ale za to bardzo obiecujący. O mało nie powiedziałam mu, że będę wówczas gotowa pójść na całość, ale dały mu to do zrozumienia moje lekko drgające łądzwie i pośladki.

– Niech pan nikomu nie zdradza mojego nazwiska – nalegałam. – Zależy mi na mężu, nie chcę skandalu.

– Ja też nie. Niech pani będzie spokojna, zachowam całkowitą dyskrecję. To także leży w moim interesie.

– Chciałabym, żebyśmy na statku byli tylko we dwoje. Żadnych służących, wie pan, jacy oni są. Za dużo gadają.

– To rozumie się samo przez się, a poza tym jestem za bardzo

wstydlivy, bym zgodził się na czyjaś obecność, gdy będę pani wyznawał swoje uczucia.

Mrugnął do mnie, rzucając mi przy tym swawolny uśmiech. Położyłam rękę na jego dłoni i głaskałam ją delikatnie, aby potwierdzić swoje zamiary.

Przeszliśmy na ty.

– Nie mogę się już doczekać chwili, gdy będę mogła dowieść ci swoich uczuć – powiedziałam.

– Kocham cię.

– Myślę, że to początek wielkiej miłości.

Nazajutrz, zanim wsiadłam na jego motorówkę, którą mieliśmy się udać na przejażdżkę, włożyłam na dno torebki pistolet Astra 400, ale nie miałam zamiaru się nim posługiwać. Tak jak już wspominałam, postanowiłam improwizować.

Po pierwsze poprosiłam, by wypłynął na pełne morze. Burmistrz posłuchał i nie zaprotestował, gdy wyjaśniłam mu, że ponieważ jestem osobą niezwykle wstydlivą, powinien jak najbardziej oddalić się od brzegu, zanim przejdzie do czynów.

Potem, gdy byliśmy daleko od lądu, wyłączył silnik i postawił łódź w dryfie, a ja zaspokoiliam jego żądę, inaczej nie wypadało: załatwiłam to szybko, wszystko trwało nie dłużej niż kichnięcie, ale burmistrz był najwyraźniej bardzo wzruszony. Ja też, jednak z innych przyczyn. Byłam równie rozgorączkowana jak przed porodem.

Po szybkim numerku lizał mi sutki z łapczywością noworodka. Czując, że znowu się rozochocił, udałam, że miłość zaostrzyła mi apetyt.

– Zgoda – powiedział – zjemy, potem zaczniemy od nowa i tak bez przerwy.

Ali Recep Ankrun wyjął z koszyka placki tureckie, między innymi *pides* z fetą i szpinakiem, tak smaczne, że aż ślinka cieknie. Kiedy po skończonym posiłku stanął przy burcie, żeby się wysikać, popchnęłam go wiosłem ratunkowym i wpadł do morza. Gdy miotał się w wodzie, dysząc

jak duży pies, oświadczyłam:

– To za śmierć mojego ojca.

– Twojego ojca?

– Rolnika z Kovaty.

– Nie pamiętam.

– Był Ormianinem. Zabiłeś go, tak jak kazałeś zabić moją matkę, babcię i moje rodzeństwo. Musiałeś pewnego dnia za to zapłacić. Za niego i za wszystkich innych.

Przeszkadzał mu brak ręki, a poza tym ledwo umiał pływać. Tracił oddech i wpadał w panikę. Trudno mi powiedzieć, czy bełkotał, piszczał czy rżał, ale po każdym słowie wydawał z siebie straszne krzyki zarzynanego zwierzęcia.

– Czy czuleś rozkosz, gdy wrzucałeś do wody wszystkich tych ludzi, kobiety, dzieci?

– Takie były rozkazy.

Sądząc po wyrazie jego ust, które zakrywała dolna warga, wydawało mi się, że płacze, ale nie mogłabym przysiąc.

– Jeżeli uratujesz mi życie – udało mu się wrzasnąć w ostatnim przyływie energii – dostaniesz tyle pieniędzy, ile...

Coś zbulgotał, szamotał się jeszcze przez kilka sekund, wypluł z siebie okrzyki umierającego królika, przykryła go fala i poszedł na dno.

Żałowałam, że nie spytałam go, czy udało mu się położyć łapę na pieniądzech pani Arslanian. Podobno ludzie zawsze mówią prawdę, gdy wiedzą, że umrą.

Uruchomiłam silnik łodzi i gdy dobiłam do brzegu, pobiegłam do hotelu po swoje rzeczy, po czym wróciłam do portu i wsiadłam na pierwszy odpływający statek.

Wystarczyła okrągła sumka, aby znalazło się dla mnie miejsce w charakterze nielegalnego pasażera. To był statek towarowy, który przewoził rodziny, wełnę i skóry wołowe. Zawinął najpierw do portu w Rumunii, stamtąd pociągiem wyruszyłam do Francji, niewinna jak

jagnię, które właśnie przyszło na świat.

Żyd, którzy nie wiedział, że jest Żydem

Paryż 1938. Ludzie często zdają sobie sprawę poniewczasie, że byli szczęśliwi. Nigdy nie popełniłam tego błędu. Później wykorzystałam, jak najlepiej potrafiłam, pięć kolejnych lat i nie mam o nich nic do powiedzenia, poza tym, że były piękne. Aż nadszedł dramat, który miał odmienić nasze życie, gdy pewna gazeta oskarżyła Gabriela, że jest Żydem.

Jak pisał autor artykułu, Żydzi są wszędzie, nie tylko w bankach i redakcjach gazet, ale także „w tłumie, w który daliśmy się im wtopić”, zmieniając nazwiska.

Wszystko zaczęło się od Austro-Węgier. Aby skończyć z praktykowanym przez Żydów zwyczajem posługiwania się dziedzicznymi przydomkami, nadano im, dobrowolnie bądź pod przymusem, nazwiska niemieckie, które często dobrze brzmiały, jak Morgenstern (gwiazda poranna), Schoenberg (piękna góra), Freudenberg (wzgórze radości), a czasem pochodziły od nazw miast: Bernheim, Brunschwig, Weil czy Worms.

We Francji dekret Napoleona z 20 lipca 1808 roku dał urzędnikom stanu cywilnego prawo do samodzielnego wybierania nazwisk dla żydowskich emigrantów. Niektórych arbitralnie nazwano Anus, co potem przekształcili w Agnus. Innym przypadły w udziale, tak jak po drugiej stronie Renu, nazwy miast czy miasteczek: Caen, Carcassonne, Millau czy Morhange.

I tak nazwisko Picard niekoniecznie ma cokolwiek wspólnego z Pikardią. Często chodzi o wolny przekład Bickert lub Bickhard. To nazwiska z gatunku tych, które podobnie jak Lambert czy Bernard, francuska wersja Baera, mogą być mylące. Jak kiedyś pisał wuj Alfred, „Żydzi chowają się wszędzie, nawet pod nazwiskami francuskimi”.

Pod koniec lat trzydziestych wzorem Henry’ego Costona autorzy na fali

rozpoczęli polowanie na Żydów, tropiąc nawet nazwiska, pod którymi się ukrywali. Z zaciekłością myśliwych wypłaszali z nor Cavaillonów, Lunelów, Bédarridesów czy Beaucaire'ów.

Nasze nieszczęście polegało na tym, że Gabriel nazywał się właśnie Beaucaire. Dnia 8 stycznia 1938 roku niejaki Jean-André Lavissee w artykule opublikowanym w „L'Ami du peuple”, szmatławcu, którego nakład przez długi czas sięgał miliona egzemplarzy, ujawniał na pierwszej stronie, a także na trzech kolumnach w środku, żydowskie korzenie mojego męża. Szczęka mi opadła. Jemu też.

W rubryce „Szukajcie Żyda” równie zjadliwy, co dobrze poinformowany autor artykułu twierdził, że Gabriel pochodzi, od strony ojca, od długiej linii żydowskich przodków: tekst zawierał masę nazwisk i drzewo genealogiczne. Logika wyvodu była niezaprzeczalna, a sięgał on czasów, w których przodkowie Gabriela przybyli do Francji w 1815 roku. Przypominało to kartotekę policyjną.

„L'Ami du peuple” oznajmiał, że Gabriel w tajemnicy przygotowuje hagiografię „Żyda i oszczercy chrześcijaństwa Salomona Reinacha”. Oskarżał go też o to, że „podstępnie” wkradł się do środowiska skrajnej prawicy jako wysłannik LICA, Ligi do Walki z Antysemityzmem, i od dawna potajemnie utrzymuje kontakty z wieloma jej przywódcami.

Zdaniem Jeana-André Lavissee' a Gabriel był „szpiclem”, współpracownikiem służb policyjnych byłego premiera, socjalisty Léona Bluma, „hybrydy etnicznej i hermafrodyty”. Był z nim blisko związany oraz sporządzał dla niego notatki, a także dostarczał wszelkiego rodzaju informacji wrogom rdzennych Francuzów, z LICA na czele.

Dziennik podawał nazwiska i muszę przyznać, że co najmniej jedno z nich znałam. Jean-Pierre Blanchot należał do najbliższych przyjaciół Gabriela, który zawsze przedstawiał mi go jako wykładowcę historii, a nigdy jako główną postać Ligi, mimo że nią był.

W dniu, w którym ukazał się „L'Ami du peuple”, Gabriel pojawił się bez uprzedzenia w La Petite Provence, żeby ze mną porozmawiać. Gdy wszedł

do kuchni, właśnie wbijałam jajka do mleka, bo gotowałam mój słynny krem karmelowy. Na widok jego przygnębionej twarzy od razu zrozumiałam, że sytuacja jest poważna. Gdy wyjaśnił mi całą sprawę, spytałam:

– Wiedziałaś, że jesteś Żydem?

– Oczywiście, że nie. Nikt w rodzinie nie wiedział. Czy sądzisz, że w przeciwnym razie wuj Alfred, antysemita pierwszej wody, przyjąłby nas z otwartymi ramionami?

– Jest coś, co mnie intryguje, nad czym się wcześniej nie zastanawiałam: twoje imię. Czy to nie dziwne, że twoi rodzice dali ci na imię Gabriel?

– Wiele osób, które nie są Żydami, tak się nazywa. To imię archanioła i można je odnaleźć w judaizmie, w chrześcijaństwie i w islamie. Rose, wiedziałem, że cię to nie obchodzi, ale gdybym zdawał sobie z tego sprawę, od razu bym ci powiedział, że jestem Żydem. Co to za problem? Za kogo ty mnie masz?

Gdy zapytałam, czy nie prowadził podwójnej gry ze skrajną prawicą, o co oskarżał go „L’Ami du peuple”, Gabriel zgodnie ze swoim zwyczajem odpowiedział pytaniem, a zdaniem wuja Alfreda była to jedna z najbardziej charakterystycznych dla Żydów cech.

– Sądzisz, że byłbym do czegoś takiego zdolny?

– Szczerze mówiąc, trochę mnie to dziwi... ale cóż, nie ukrywam, iż wolałabym, aby tak było...

Gabriel nic nie odpowiedział; po prostu złożył na mojej twarzy pocałunek, w tradycyjnym miejscu na czole. Miałam nadzieję, że właściwie zinterpretowałam znaczenie tego gestu, ale nie odważyłam się go o to zapytać, bo się bałam, że jego odpowiedź mnie rozczaruje. Poza tym czułam się ogłuszona. Właśnie dostałam od życia jedną z najważniejszych lekcji: nigdy nie można do końca poznać człowieka, nawet jeśli się z nim żyje.

Skoro udało mu się ukryć przede mną swoje prawdziwe poglądy

polityczne, mogły czekać mnie jeszcze inne niespodzianki. Doszło do tego, że zaczęłam sobie wyobrażać, iż Gabriel mnie zdradza. Gdy pracowałam w pocie czoła w kuchni, mógł spokojnie posłużyć się swoim talentem do udawania, by wieść podwójne życie uczuciowe, tym bardziej że czułam, iż po tylu latach jego pożądanie słabnie.

Coraz rzadziej przechodził do czynów, a w dodatku załatwiał to tak szybko, jak się dało. Nocą, gdy spał obok mnie, często snułam fantazje na temat jego domniemanych zrad, a gdy o tym myślałam, widziałam w wyobraźni, jak siedzi okrakiem na jednej z tych łatwych dziewcząt, które na przyjęciach kręciły się wokół niego, spijały słowa z jego warg i nie odrywały od niego oczu.

Udawało mi się jeszcze jakoś znieść to ich podrygiwanie w mojej czaszce, ale nie mogłam ścierpieć ich jęków i krzyków w mojej głowie w chwilach bliskiej agonii rozkoszy. Te nocne tortury pozostawiały we mnie zawsze rodzaj strasznego zachwyty, z którego nie mogłam się otrząsnąć, i za każdym razem, wstając z łóżka, wyglądałam jak z krzyża zdjęta.

Im częściej o tym myślałam, tym mniej wątpiałam, że ma cechy cudzołożnika. Nigdy nie opowiadał o tym, co robił, i wydawało się, że nie ma żadnego ustalonego rozkładu dnia. Dużo pracował, ale tylko wtedy, gdy uznał to za stosowne. Poza tym, w przeciwieństwie do mnie, był zawsze w niezmiennym nastroju i nigdy nie zapominał o drobnych, sprawiających przyjemność gestach, na przykład o bukietach kwiatów, od których oblewałam się rumieńcem, a my, kobiety, wiemy dobrze, iż pozwalają niestałym w uczuciach małżonkom pozbyć się tanim kosztem wyrzutów sumienia. Agencja detektywistyczna Duluc z rue du Louvre poinformowała mnie jednak, po miesięcznym śledztwie, że Gabriel jest czysty jak łąza.

Po rewelacjach „L'Ami du peuple” Gabriel z dnia na dzień został bez pracy: Żydzi mieli go za antysemitę, a antysemita – za Żyda, był spalony na wszystkich frontach. Muszę przyznać, że przede wszystkim żeby mieć

go na oku, przekonałam go wreszcie, nie bez trudu, aby zaczął pracować ze mną.

Sprzedalam lokal przy rue des Saints-Pères i kupiłam nową, znacznie większą restaurację. Otwarłam ją po kilku tygodniach przy place Trocadéro, dalej pod szyldem La Petite Provence. Tam właśnie staliśmy się na jakiś czas z Gabrielem królami Paryża, wraz z naszym kotem Sułtanem, którego kupiłam, by polował na myszy, a on wypełniał to zadanie z doskonałą zręcznością i niezrównanym wyczuciem.

25

Beztraskie dni

Paryż 1938. Kilka dni po ukazaniu się w „L’Ami du peuple” artykułu, który odmienił nasze życie, Adolf Hitler dokonał aneksji Austrii. Wystarczyło, by entuzjastycznie witane przez społeczeństwo oddziały niemieckie weszły do rodzinnego kraju Führera, a już dnia 13 marca ogłoszono Anschluss.

Gdy Hitler wywrzaskiwał do świętującego tłumu z balkonu Hofburga przy wiedeńskim placu Bohaterów słowa o zwycięstwie, Himmler zamykał granice, chwytając w ten sposób w pułapkę szczury, wszy, Żydów i wszystkich wrogów reżimu, których zamierzał zmieść z powierzchni Ziemi.

To wydarzenie nie wywarło na mnie szczególnego wrażenia. Kiedy rozmawialiśmy z Gabrielem o nazizmie, nie potrafiliśmy poważnie się niepokoić. Berlin był jednym wielkim tygłem kultury, a my marzyliśmy, by z niego czerpać. Kultura niemiecka przeżywająca rozkwit twórczy w epoce Thomasa Manna i Bertholda Brechta zdawała się chronić ten kraj od wszelkiego zła.

Jestem pewna, że nawet nie czytałam gazet, w których relacjonowano ostatnie nieczne czyny Hitlera. Ufnie patrzyłam w przyszłość, a w dodatku byłam zapracowana. Przeglądając grubą księgę restauracji, w której wszystko zapisywałam, ustaliłam, że w dniu Anschlussu podejmowałam deputowanego XVI dzielnicy, Édouarda Frédéricica-Duponta, który zarezerwował stół dla czterdziestu osób. O tym wielkim obrońcy dozorców mawiano, że będzie deputowanym aż do śmierci, a potem zostanie senatorem.

Ów osobnik o haczykowatej głowie miał maniery stonogi i wzrok kuny. Bardzo go lubiłam i umiał się za to odwdzięczyć, gorliwie odwiedzając La Petite Provence. Z notatki pod rezerwacją wynika, że zamówił jedno menu dla wszystkich, a jako danie główne moją niedoścignioną *brandade*

z czosnkiem i ziemniakami. Z uwagi na mój wiek sędzę, że nadszedł czas, abym zdradziła wam tajemnicę mojego przepisu: do purée zawsze dodaję papryki.

Dnia 30 września 1938 roku, gdy podpisywano układ monachijski, który umożliwił rozbiór Czechosłowacji na rzecz nazistowskich Niemiec, znowu myślami byłam gdzie indziej; jak co roku obchodziliśmy w restauracji urodziny Garance, racząc się moim niezrównanym sufletem krabowym w sosie z homara, który był jej ulubionym daniem. Pamiętam jeszcze, że przy sąsiednim stole siedziała Yvette Guilbert i jadła kolację z dwiema starszymi paniami, a gdy nasza córka zdmuchnęła świeczki, przyszła nam zaśpiewać *Madame Arthur*:

*Każdy chciał, by go kochała.
Uwodził ją każdy gość,
Mimo że nie zachwycała,
Ale miała w sobie coś.*

Gdy bez wytchnienia obsługiwałam klientów w La Petite Provence, po drugiej stronie Renu wydarzenia toczyły się coraz szybciej. Nie wiem, co robiłam w trakcie nocy kryształowej z 9 na 10 listopada 1938 roku, gdy w całych Niemczech rozpoczęto otwarte polowanie na Żydów. Raczej nie kochałam się z Gabrielem, bo zdarzało się to już rzadko. Najbardziej prawdopodobna wydaje mi się hipoteza, że usiłowałam pokonać bezsenność, wlewając w siebie porto.

Najwyraźniej ten wielki pogrom umknął mojej uwadze. Po pożarach synagog, rabowaniu sklepów i aresztowaniu 30 000 Żydów niemieckich powinien był mnie przynajmniej zaniepokoić los Gabriela. Tym bardziej że idąc za ciosem, zmuszono Żydów niemieckich do sprzedaży za bezcen całego majątku, domów, firm, dzieł sztuki do 1 stycznia następnego roku. Tym bardziej że zakazano im też, *ad vitam aeternam*, wstępu na baseny, do kin, na koncerty, do muzeów, a także uczęszczania do szkół, posiadania telefonu i prawa jazdy.

W naszym życiu panowała beztroska i gdybyśmy mieli za coś z Gabrielem umrzeć, to tylko za naszą dwójkę dzieci albo za restaurację.

Ponieważ cała trójka miała się dobrze, wszystko układało się jak najlepiej w najlepszym z możliwych światów, cytując banalne powiedzonko. Bez przerwy powracało ono w ustach mojego męża, kiedy to widząc, jak wpadam w szal przy piecu, zalecał mi lekturę starożytnych mędrców, takich jak Epikur. Często przytaczał jego następujące zdanie: „Kto uważa, że mu mało, chociaż jest wystarczająco dużo, temu nic nie wystarczy”^[5].

Któregoś dnia zaskoczyłam go, odpowiadając innym cytatem z Epikura – zatkało go na dobrą chwilę: „Spieszmy, by ulec pożądaniu, zanim odejdziesz”.

Koniec końców uległam mu pewnego wieczoru, gdy Gabriel został w domu, by pilnować dzieci. To był jeden z dyrektorów sieci sklepów Félix Potin. Mocny chłop, barczysty jak drwal. Pachniał cygarem i wodą kolońską i mógłby grać w filmie rolę Maupassanta. Zawsze jadł posiłki sam, a ostatnimi czasy zdawał się czekać na moment, gdy przed zamknięciem restauracji będę obchodzić klientów. Zrozumiałam, że się do mnie zaleca, tydzień wcześniej, kiedy położył swoją rękę na mojej i wybelkotał coś. Wydawało mi się, że to zrozumiałam, i wolałam, aby tego nie powtarzał.

Tamtego wieczoru skończyliśmy wcześniej niż zwykle i odprawiłam personel przed północą, gdy na sali został tylko jeden klient. Siedział przy drzwiach rozmarzony nad kieliszkiem armaniaku: Gilbert Jeanson-Brossard, tak nazywała się moja pokusa.

Podeszłam, by wypić z nim kieliszek armaniaku. Skończyłam go w kuchni po tym, jak wziął mnie od tyłu na stojąco przy stole do pracy. Nie był to ktoś, kto przejmowałby się zbyt swoją zdobyczą, ale bardzo mi się podobało i kiedy się odsunął, rzuciłam:

– Dziękuję.

– To nie kobieta powinna dziękować, ale mężczyzna, bo kobieta daje, a mężczyzna zawsze tylko dostaje.

– Wybacz pan, ale obawiam się, że jest odwrotnie.

– Nie. Nawet jeśli tak jest pod względem fizycznym, w rzeczywistości

wygląda to zupełnie inaczej i dobrze pani o tym wie.

Wysokie czoło i regularne rysy sprawiały, że Gilbert Jeanson-Brossard był bardzo przystojnym szatynem. Najlepiej zbudowanym spośród wszystkich, których kiedykolwiek trzymałam w ramionach. Ogromnie podniecały mnie jego wielkie ręce robotnika fizycznego. Wystarczyło, bym poczuła je na sobie, pod fartuchem, a dostawałam gęsiej skórki.

Nie licząc koni, restauracji w Paryżu czy na Lazurowym Wybrzeżu, gdzie jeździł każdego lata, trzech tematów, o których mógł rozprawić bez końca, właściwie nie było z nim o czym rozmawiać. Był przeciwieństwem intelektualisty. Gilbert Jeanson-Brossard miał w sobie coś prymitywnego i zwierzęcego, co stanowiło odmianę po uprzedzającej grzeczności Gabriela. Dwa lub trzy razy pozostawił mi na szyi fioletowe ślady po ugryzieniach, które dowiodły mi, że mąż już na mnie nie patrzy. Nie zwrócił na nie uwagi, chociaż starałam się je zasłaniać chustkami, co wyglądało nieco dziwnie z uwagi na porę roku.

Gilbert Jeanson-Brossard zaczął przychodzić w każdy czwartek, bo mój mąż miał wtedy dzień wolny i poświęcał go na zajmowanie się dziećmi. Brossard też był żonaty, więc choć uważał, że jestem piękna i budzę coraz większe pożądanie, nie prosił o nic więcej poza drobnym cotygodniowym numerkiem, który dodawał mojemu szczęściu rozkoszy.

[5] Epikur, *Listy, maksymy i sentencje*, przeł. Adam Krokiewicz, De Agostini, Warszawa 2003, s. 118.

Wypowiedzenie wojny

Paryż 1938. Przez kilka tygodni Gilbert Jeanson-Brossard nie tylko dodawał pikanterii naszemu związkowi z Gabrielem, ale zacieśniał jeszcze bardziej, o ile to w ogóle możliwe, łączące nas więzy. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Za każdym razem, gdy brał mnie, tak jak miał w zwyczaju, szybko i dziko na zapleczu restauracji, wracałam do sypialni małżeńskiej, czując przypływ miłości do męża, którego natychmiast usiłowałam rozruszać pod kołdrą, co nie zawsze kończyło się sukcesem.

Odkrywałam, że poczucie winy może być najlepszym motorem miłości. W cudzołożnym związku trzyma się uczucia na wodzy, pod warunkiem że kochanka lub kochanek się nie oddaje, tylko się pożycza: to relacja konwencjonalna, której jedynym celem jest dobra zabawa z poszanowaniem wszystkich stron. Generał de Gaulle pisał, że „mężczyzna nie jest stworzony do bycia winnym”. W przeciwieństwie do kobiety. Podobała mi się świadomość, że popełniam wiarołomstwo.

Nie bez przykrości znosiłam ostre wymówki Teo. Jej akwarium królowało na zapleczu restauracji, więc cudzołożyliśmy na oczach mojej salamandry.

– Co ty mi tu wyprawiasz? Nie zdradza się męża, do cholery! W każdym razie nie w wieku trzydziestu lat! Co będzie potem?

Nie miałam nic do powiedzenia na swoją obronę, ale przeniosłam akwarium, żeby oszczędzić Teo widoku naszych miłosnych igraszek. Dalej przywoływała mnie jednak do porządku, nieco łagodniejszym tonem.

Gabriel, jako kierownik sali, dobrze znał Gilberta Jeansona-Brossarda, bo ten stał się jednym ze stałych bywalców La Petite Provence, i często patrzyłam, pełna obaw, jak o czymś wspólnie rozprawiają. Odnosiło się wrażenie, że łączą ich sekretne współnictwo. Bałam się, że odbywa się to moim kosztem, ale nigdy ze strony męża nie padły pod moim adresem

żadne insynuacje bądź aluzje, które pozwoliłyby mi się domyślić, że dotarły do niego jakieś plotki.

Aż do tego pamiętnego czwartku, kiedy oznajmił, że zostanie ze mną na wieczorną zmianę.

– A dzieci? – spytałam.

– Wszystko załatwiłem. Śpią u niani. Chciałbym, żebyśmy mieli czas, aby wszystko sobie wyjaśnić.

– W jakiej kwestii? – spytałam, udając zdziwienie, które nie współgrało z drzeniem warg.

– Wiesz dobrze w jakiej – rzucił zmęczonym tonem.

Sądzę, że tego wieczoru podałam najgorsze dania w swojej karierze zawodowej, a już z pewnością te, które nie były przygotowane wcześniej. Kilku klientów się poskarżyło. Jeden z nich odesłał nawet kurczaka, bo był niemal surowy, udko pływało w kałuży krwi. Poszłam osobiście prosić upierdliwca w muszce o wybaczenie, ale nie przyjął moich przeprosin.

– Przy tej cenie, którą każe nam pani płacić, na usta ciśnie się tylko jedno, to wstyd! Wstyd i hańba!

Wiedziałam, jak postępować z tego rodzaju malkontentami. Uspokoił się, jak tylko oznajmiłam, że stawiam mu kolację, a w formie zadośćuczynienia dostanie też butelkę szampana.

Przed zamknięciem restauracji, gdy obchodziłam salę, zatrzymałam się całkiem naturalnie przed Gilbertem Jeansonem-Brossardem, a on szepnął, zakrywając dłonią usta, jakby się bał, że Gabriel odczyta coś z ruchu jego warg:

– Co on tu robi? Możesz mi to wyjaśnić?

– Nie wiem.

– Dowiedział się o nas?

– Obawiam się najgorszego.

– Chcesz, żebym został?

– Sądzę, że to nie jest dobry pomysł.

Kiedy wszyscy wyszli, Gabriel zamknął drzwi obrotowe i przyszedł do

mnie do kuchni, w której uwijałam się z kieliszkiem pinot noir w dłoni. Podszedł do mnie bez słowa i wziął mnie od tyłu, tak jak Gilbert Jeanson-Brossard.

Po skończonym numerku spytał, patrząc mi prosto w oczy, gdy wkładał spodnie:

- I co?
- Było mi dobrze – szepnęłam, przerażona, udając kochający wzrok.
- Nie masz mi nic więcej do powiedzenia?
- Nie.
- Nie sądzisz, że mam prawo żądać wyjaśnień?
- Chciałabym najpierw usłyszeć, o co mnie oskarżasz.
- Zdradziłaś mnie, Rose.
- Nie wiem, o czym mówisz.
- Nie będę ci tego tłumaczył bardziej szczegółowo.
- Coś sobie wymyśliłaś, Gabrieliu.

Najlepszym sposobem, by wybaczone nam błędy, jest się do nich nie przyznawać. Nie mam pojęcia, skąd to wiem, ale ta zasada bardzo mi pomogła w życiu.

Nalegał:

– Czy możesz mi przysiąc, patrząc mi prosto w oczy, że nigdy mnie nie zdradziłaś?

– Mogę ci to przysiąc.

Kazał mi powtórzyć. Jeszcze raz powiedziałam to samo. Wydawał się zbity z tropu.

– Kłamiesz – rzucił bezbarwnym głosem.

Nie kłamałam. Kochałam tylko jego, nawet gdy robiłam z Gilbertem Jeansonem-Brossardem głupstwa, które w moich oczach nie miały żadnych konsekwencji: uprawianie z nim seksu to nie była miłość.

Skoki w bok nie niszczą miłości. Wręcz przeciwnie, pobudzają ją, żywią, podtrzymują. Gdyby rogacze o tym wiedzieli, byłiby mniej nieszczęśliwi.

To coś, co mężczyźni powinni zrozumieć, zamiast unosić się jak Gabriel z powodu takich błahostek i nieistotnych romansów. Zamiast tego zatruwają życie sobie, a przy okazji nam.

– Zawsze byłam wierna – powiedziałam w dobrej wierze, patrząc na niego niewinnym wzrokiem.

– Tak, wierna mężowi i swoim kochankom.

Nie mam pojęcia, kto mu doniósł, z pewnością kuchcik, którego właśnie zwolniłam, ale Gabriel wiedział, co robiłam w czwartkowe wieczory z Gilbertem Jeansonem-Brossardem. Znał wręcz najbardziej pikantne szczegóły, co właśnie mi udowodnił, ale nigdy mi tego nie powiedział wprost, nawet gdy oznajmił mi z poczuciem urażonej godności, że mnie opuszcza i żąda rozwodu:

– Po tym, co mi zrobiłaś – powiedział – powinnaś przynajmniej zostawić mi dzieci.

– Nie masz prawa – wrzasnęłam. Zaczęłam drzeć.

– To twoja wina, musisz to odpokutować – nalegał.

Drżałam coraz bardziej.

– Nie masz prawa – powtórzyłam.

Dłuższą chwilę patrzył na mnie bez słowa, po czym oznajmił:

– Przez całe życie szłaś na ustępstwa. Nie możesz choć w tym jednym mi ustąpić, skoro to ty zawiniłaś?

Nie udawało mi się już opanować drżenia.

– To kwestia moralności – ciągnął dalej. – Czy jesteś w stanie to zrozumieć?

– Zrobię, co będziesz chciał.

– Zostawię ci restaurację i mieszkanie, ale zabiorę dzieci.

Byłam załamana. Nie pamiętam już dokładnej daty naszego rozstania, ale to było na początku września 1939 roku, więc sami rozumiecie, że miałam kompletnie gdzieś, iż 2 września Francja i Wielka Brytania wypowiedziały wojnę nazistowskiemu Niemcom, które właśnie najechały na Polskę.

Gabriel wszystko zaplanował. Tego samego wieczoru opuścił nasze mieszkanie, a następnego dnia zaczął pracę w jednej z luksusowych restauracji na Montparnassie – Le Dôme. Płakałam bez przerwy przez dwadzieścia cztery godziny, a później, z przerwami, przez następne dni.

Potem robiłam wszystko, żeby się czymś zająć. Zainteresowałam się fitoterapią, nauką o roślinach leczniczych. Wykorzystywałam wiedzę, którą przekazały mi Emma Lempereur i moja babcia, a także czerpałam z Hipokratesa i Galena, lekarza cesarza Marka Aureliusza. Stworzyłam markę Rose i opracowałam własną serię pigułek na wzmocnienie czy bezsenność, z logo w formie kwiatka, które sama zaprojektowałam. Zaczęłam chodzić na lekcje niemieckiego i angielskiego do młodego, szalenie przystojnego doktora, który nie budził we mnie jednak żadnych uczuć. Zajęłam się także nauką włoskiego pod kierunkiem starszego profesora. Spędzałam niezliczone godziny w restauracji i zostawałam tam na noc – spałam, gdzie popadło, często na sali na łóżku polowym.

Nic nie pomagało. Zraniona miłość jest jak śmierć matki lub ojca: nigdy nie można się z niej wyleczyć. Po kilkudziesięciu latach rana nadal się nie zabiłiła.

Dla przykładu

Paryż 1939. Gdy Gabriel odszedł z naszymi dziećmi, w moim brzuchu zaczęła gnić wielka gula. Każdy z nas czuje dwa lub trzy razy w życiu taki ból, który zżera ciało. Nazwałam go rakiem smutku.

Miałam przerzuty wszędzie, najpierw zaatakował mózg – nie chciał przestać pracować ani się skoncentrować, tylko nadal działał, kręcąc się w kółko w próżni. Rak nie ominął też płuc – źle oddychały, ani gardła – niczego nie mogło przełknąć, ani jelit – często skręcały się w strasznych skurczach.

Gdy skończyły się ataki płaczu, gula pozostała i dalej odczuwałam smutek. Po kilkudziesięciu latach wciąż rozrywa mi pierś w bardzo konkretnym miejscu, ponad płucami. Jestem pewna, że tam jest nowotwór. Chwalić Boga, nie rozwinął się. Dzięki mojej radości życia. Dzięki Teo, która pomogła mi przeżyć ten wstrząs. Kiedy oznajmiłam jej, co się stało, salamandra powiedziała:

– Przecież cię uprzedzałam, idiotko.

– Nigdy się po tym nie podniosę.

– Mam nadzieję, że teraz będziesz mnie słuchać. Więc uśmiechaj się, uśmiechaj się przez cały czas, a zobaczysz, że będzie lepiej.

Tak właśnie zrobiłam i trochę podziałało, aczkolwiek aż do dziś odczuwam wewnętrzny świąd, spustoszenie w środku, świerzbienie uczuciowe.

Dwa razy w tygodniu chodziłam z uśmiechem palić świeczki do Notre-Dame, żeby Gabriel wrócił. Na próżno. Za każdym razem, gdy słyszałam hałas na schodach, powtarzałam sobie, że Matka Boska mnie wysłuchała, i czekałam, z bijącym sercem, aż usłyszę zgrzyt klucza w drzwiach, ale nie, to zawsze był sąsiad albo robiłam fałszywy alarm.

Gdy spotykałam się z Gabrielem, aby przyprowadzić lub zabrać dzieci, miał ciało zawsze napięte jak łuk. Nigdy nie podnosił głosu, ale jego twarz

nie wyrażała żadnych uczuć i mówił dziwnym, nieswoim, gardłowym głosem, przez zaciśnięte zęby, jakby był brzuchomówcą. Dlatego trudno mi było go zrozumieć i często prosiłam, by powtórzył to, co powiedział.

Po osiemnastu dniach od naszego zerwania odzyskałam nadzieję. Gdy rzuciłam mu błagalne spojrzenie, przedrzeźnił mnie, krzywiąc się z pogardą:

– Nie wierzę w zmartwychwstanie. Ani ciała, ani miłości.

– Zdarza się odrodzenie.

– Nie. Obumarłe drzewo zapuszcza korzenie, ale nigdy dobrze nie rośnie.

Po raz kolejny Gabriel powiedział to niewyraźnie, więc poprosiłam, aby powtórzył, i użyłam wyrażenia, które już w tamtym czasie było przestarzałe, a teraz niestety zupełnie zniknęło: „Co proszę?”. Uśmiechnął się, gdy to usłyszał, nieokreślonym uśmiechem, w którym dostrzegłam czułość, i pomyślałam sobie, że między nami jeszcze nie wszystko stracone.

Teraz, gdy był dla mnie nieosiągalny, kochałam go bardziej niż kiedykolwiek. Dowodził tego fakt, że całymi dniami czułam suchość w ustach, jak wtedy gdy napiętność osiąga apogeum. Gabriel nie opuszczał mych myśli i na nowo stałam się mu wierna, zrywając z dnia na dzień wszelkie kontakty z Gilbertem Jeansonem-Brossardem. Ten mężczyzna budził we mnie odrazę, więc na moją prośbę przestał przychodzić do mojej restauracji.

Dopóki Gabriel do mnie nie wróci, dopóty koniec z miłością. Jak tylko jakiś mężczyzna zaczynał mi nadskakiwać, czułam wyłącznie niesmak i szeptałam mu tajemniczym tonem:

– Przepraszam, ale mam kogoś.

Przez całe miesiące niemal codziennie pisałam do Gabriela listy z prośbą o wybaczenie, cytując fragmenty Ewangelii, aby nadać większy ciężar gatunkowy swoim słowom. Nigdy mi nie odpowiedział. Aż do tamtego niedzielnego wieczoru w 1940 roku, gdy wziął mnie na bok, kiedy

przyprowadziłam mu dzieci:

– Dlaczego niby miałbym ci wybaczyć, tak jak mnie prosisz?

– Z powodu odkupienia, Gabrielu. Wszyscy mamy obowiązek wybaczenia grzechów.

– Pod warunkiem, że czynimy to z wzajemnością. Piękne słowa Ewangelii nie są wcale wiarygodne, gdy płyną z twych ust, Rose. Jesteś dożarta, pałasz żądzą zemsty, zawsze rzygałaś ideą przebaczenia. Jak mógłbym przebaczyć komuś, kto nigdy nie był zdolny do przebaczenia?

– Nie rozumiem, co masz na myśli.

Zamiast odpowiedzieć, Gabriel ciężko westchnął, po czym zacytował Księgę Powtórnego Prawa: „Twe oko nie będzie miało litości. Życie za życie, oko za oko, ząb za ząb, ręka za rękę, noga za nogę”^[6].

– To twoja filozofia, prawda?

Gabriel za dobrze mnie znał. Wtedy doznałam olśnienia. Zrozumiałam, co powinnam zrobić, żeby poczuć się lepiej. To kwestia najwyżej dwóch, trzech dni. Moje zbawienie nosiło imię, imię majora Morliniera, który zasłużył na poczesne miejsce na liście osób znienawidzonych za to, że zniszczył ostatnie lata Lempereurów, bo skazał ich syna na śmierć.

Wiedziałam, gdzie go szukać i jak dzięki temu na jakiś czas ulżyć swojemu cierpieniu. Od lat zbierałam informacje na temat Charlesa Morliniera. Uzyskanie pełni władzy przez marszałka Pétaina, kolejną cmentarną pijawkę z I wojny światowej, jego towarzysza broni i orgii, nadało nowego tempa karierze Morliniera. Nowy premier mianował go członkiem Rady Stanu i uczynił Komandorem Orderu Legii Honorowej, a ten później postanowił się ubiegać o stanowisko prezesa zarządu Poczty.

Wegetując na podrzędnej posadzie w Zarządzie Wód i Lasów, Charles Morlinier, który w 1925 roku został awansowany do stopnia generała, przez trzy lata pełnił funkcję prezesa Towarzystwa Przyjaciół Édouarda Drumonta i kilkakrotnie miałam okazję go spotkać, gdy przygotowywaliśmy z Gabrielem „upamiętnienie Drumonta”. Trzymał się sztywno, miał żółtawą cerę, nos w kształcie kuchennego noża i odstające

uszy. Kiedy szedł, odnosiło się wrażenie, że uczestniczy w przeglądzie wojska. Zawsze słyszało się go z daleka: jego podkute obcasy tupwały jak końskie kopyta.

Ponieważ generał Morlinier nie był arystokratą, słowo szlachetny nie schodziło mu z ust, ust gbura i degenerata. Szlachetny bój, szlachetność uczuć, szlachetność rasy francuskiej. Mówił brzuchem, zniecierpliwionym tonem, jakby miał w środku gniazdo kłębiących się żmij. Przy tym nieodmiennie przybierał wygląd fałszywego dziewiętnastowiecznego posągu antycznego.

Tę sprawę załatwiłam szybko. Zaplanowałam, że zostawię klucze do restauracji mojemu zastępcy w kuchni, Paulowi Chassagnonowi, wielkiemu, czerwonemu na gębie gościowi. Byłam pewna, że świetnie zajmie się restauracją. Ale wydarzenia potoczyły się szybko, wszystko we mnie wrzało, nie mogłam się pohamować. Wystarczyła mi godzina.

Charles Morlinier mieszkał przy rue Raynouard, w XVI dzielnicy Paryża. Przebrana za starą, grubą babę, w blond peruce, z wszytymi pod płaszczem poduszkami stanęłam, zanim jeszcze zrobiło się jasno, pod jego kamienicą w stylu Haussmana, z zamiarem, przed przystąpieniem do działań, śledzenia jego czynów i ruchów przez dwadzieścia cztery godziny. Na dworze było rześko, ale mnie było gorąco, płonęły mi policzki, jakbym czuła narastające pożądanie.

Wyszedł z domu o 7.30, jak złodziej, i musiałam przyspieszyć kroku, żeby mi nie uciekł. Zmierzał w kierunku rue de Passy. Kiedy doszliśmy do skrzyżowania, podbiegłam do niego i zawołałam, chwytając go za rękaw:

– Pamięta pan, panie generalne, Julesa Lempereura, chłopaka z Sainte-Tulle rozstrzelanego dla przykładu?

Generał Morlinier nie zdążył odpowiedzieć. Nie mogłam się powstrzymać. Jakby nie rozumiał, co mu się przytrafiło, wydał dziwny krzyk, coś jak beczenie, oczy wyszły mu z orbit, a usta pozostały otwarte pod wpływem zaskoczenia lub bólu, a potem naraz runął jak długi na chodnik. Odniosłam wrażenie, że umarł, zanim się wykrwawił. Umarł ze

strachu.

Zastanawiałam się, czy wyjąć nóż, który najpierw wbiłam, a potem obracałam niczym śrubokręt w jego piersi, ale ostatecznie zostawiłam go pośród krwawego bulgotu: nie chciałam się pobrudzić.

Poszłam potem w dół ogrodami Trocadéro i wrzuciłam do Sekwany brudne rękawiczki, popłynęły z prądem do Rouen, po czym dołączyła do nich peruka, płaszcz i poduszki.

Później udałam się do restauracji. Czułam się tak wspaniale, jakbym uwolniła się od zła, że gdy dotarłam po chwili do lokalu, Paul Chassagnon rzucił:

– Nie wiem, co się pani stało, ale miło widzieć panią znowu taką szczęśliwą.

[6] Biblia Tysiąclecia, Pwt 19,21.

Czerwony jak krewetka

Paryż 1940. Dnia 17 czerwca wojska niemieckie defilowały na Polach Elizejskich jak co dzień, odkąd trzy dni wcześniej wkroczyły do Paryża. Powietrze drżało, ulice były puste i mieliśmy nietęgę miny.

Ten właśnie dzień wybrał Heinrich Himmler, aby zjawić się na kolacji w La Petite Provence. Nie wiem, jakim cudem tam wylądował. Niemiecki oficer, którego przysłano, aby zarezerwował stolik i obejrzał restaurację, powiedział, że *Reichsführer-SS* szuka lokalu z widokiem na wieżę Eiffla, co niedokładnie się zgadzało w przypadku mojego zakładu, skąd można ją było dostrzec tylko z jednego stolika w ogródku, i to wyciągając szyję.

Po przybyciu do restauracji około 22.00, a więc po zmroku, Himmler wcale nie starał się zobaczyć wieży Eiffla, która z placu Trocadéro wyglądała jak statek wyłaniający się z morskich ciemności. Najwyraźniej *Reichsführer-SS* nie przyszedł tu w celach turystycznych. W otoczeniu piętnastu żołnierzy i tyluż współpracowników, nie mówiąc o czterech ciężarówkach wojskowych stojących na placu przed moją restauracją, pracował do późnej nocy, rozkładając mapy i bardzo hałasując.

Ponieważ nas, Francuzów, obowiązywał zakaz poruszania się po mieście od 21.00 do 5.00, większość moich dostawców skrewiła. Przygotowałam posiłek z tego, co miałam pod ręką. A konkretnie z odsalanego dorsza i ziemniaków.

Na przystawkę podałam pasztet z gęsich wątróbek w porto z musem cebulowo-figowym, a potem Himmler i jego towarzysze mieli prawo skosztować mojej słynnej *brandade* z dorsza, następnie szarlotki z truskawkami, a wreszcie rozmaitych herbat ziołowych. Dałam z siebie wszystko.

Byłam jednak kompletnie przybita: tego samego dnia o 12.30 wysłuchałam w radiu przemówienia marszałka Pétaina, który utrzymywał, że „złożył siebie w ofierze na ołtarzu Francji, aby złagodzić

jej nieszczęścia”, po czym rzucił głosem cierpiącego na zatwardzenie starca, który stęka w wielkim trudzie, zanim da się słyszeć wiadome chlupnięcie: „Ze ściśniętym sercem mówię wam dziś, że trzeba przerwać walkę”. Ponieważ w ślad za tym przemówieniem liczne oddziały francuskiej armii poddały się Niemcom, minister spraw zagranicznych Paul Baudouin uznał za niezbędne sprostować wieczorem słowa nowego premiera, przypominając, że rząd „nie zaprzestał walki ani nie złożył broni”. W każdym razie jeszcze nie teraz.

Po kolacji Heinrich Himmler kazał mnie zawołać. Pospiesznie się przyczesalam i pomalowałam, po czym, z bijącym sercem i suchością w ustach, podeszłam do jego stolika, drżąc jak liść.

– Brawo – podsumował Himmler, dając sygnał do oklasków swoim współpracownikom, którzy nie spuszczaali z niego wzroku.

– *Danke schön* – odpowiedziałam nieśmiało.

Po raz pierwszy widziałam nazistowskiego dygnitarza. Przed kolacją Paul Chassagnon ostrzegł mnie: dla Hitlera Himmler jest człowiekiem od brudnej roboty, strasznym osobnikiem, który sieje śmierć wszędzie, gdzie tylko się pojawi. Na pierwszy rzut oka *Reichsführer-SS* budził jednak zaufanie. Gdyby nie gruby tyłek, wydawałby się całkiem normalny, miałam powiedzieć ludzki, ale nie mogę użyć tego słowa dzisiaj, gdy wiemy wszystko to, co wiemy. Miałam nawet wrażenie, że dostrzegam w jego wyrazie twarzy mieszaninę szacunku i współczucia dla nas, Francuzów.

Za pośrednictwem tłumacza Himmler spytał mnie o herbaty ziołowe, a potem o rośliny lecznicze. Zbyt słabo znałam niemiecki, aby zaryzykować odpowiedź w jego języku, potrzebowałam jeszcze kilku miesięcy, żeby osiągnąć wystarczający poziom. Na razie robiłam na *Reichsführerze-SS* wrażenie swoją wiedzą na temat fitoterapii.

– Wszystko pani zrozumiała – stwierdził. – Rośliny to przyszłość. Leczą, uspakajają, uśmierzają ból. Mogę już panią poinformować, że w nowej Rzeszy, którą budujemy, powstaną szpitale fitoterapeutyczne.

Czyż nie jest to pani zdaniem dobry pomysł?

Przytaknęłam. Jego wzrok pałał żarliwością, tak bardzo wierzył w to, co mówił, że nikt nie miał ochoty się z nim spierać.

Aby zaskarbić sobie jeszcze większą przychylność *Reichsführera-SS*, powiedziałam mu, że sporo zawdzięczam wielkiej Niemce żyjącej w XII wieku, świętej Hildegardzie z Bingen, autorce licznych ksiąg o roślinach, i mam nawet jej wszystkie dzieła. Żeby udowodnić, iż wiem, o czym mówię, dodałam, że czytam do poduszki *Liber subtilitatum naturarum creatarum* po francusku.

Skrzywił się dziwnie, jakby pogryzł zgniłą krewetkę lub wdepnął czółenkiem w łajno. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że Himmler ma w życiu czterech wrogów, to znaczy, od największego do najmniejszego: Żydów, komunizm, Kościół i Wehrmacht.

– Chrześcijaństwo – powiedział, spoglądając surowo – jest jedną z najgorszych plag ludzkości. Zwłaszcza w formie azjatyckiej. Religia głosząca, iż kobieta jest grzechem, prowadzi nas do grobu. Pozbędziemy się jej. Niczego z niej nie warto zachować, nawet Hildegardy z Bingen, która, była jedynie histeryczną i oziębłą benedyktynką...

Wysłałam jakoś na prośbę, cytując chiński *Pen-ts'aoking*, wykaz roślin leczniczych sporządzony trzy tysiące lat przed Chrystusem, gdzie wychwalano zalety żeń-szenia, który stymulując seksualnie mężczyzn, tak bardzo przyczynił się do pomnożenia gatunku ludzkiego.

Roześmiał się, niczym dobrotliwy ojciec, któremu córka opowiedziała jakąś zabawną historię. Wszyscy współpracownicy poszli w jego ślady, ale ich śmiech był nerwowy i sztuczny, nazwałabym go śmiechem dworskim.

– Ja w każdym razie – oznajmił, biorąc wszystkich obecnych na świadków – nie potrzebuję żeń-szenia!

– Wie pan, to nigdy nie zaszkodzi.

Wysłałam kierownika sali po zestaw około dziesięciu opakowań pigułek. Te na rano, gdy trzeba wzmocnić organizm, zawierały czosnek, żeń-szeń, imbir, bazylię i rozmaryn. Te na wieczór, gdy trzeba się

uspokoić, łączyły w sobie dziurawiec, melisę, wiśnię, werbenę pospolitą i pozłotkę kalifornijską.

Himmler pogratulował mi pięknych pudełeczek z etykietkami w dawnym stylu.

– *Es ist gemütlich* – powiedział i to ostatnie słowo powtórzyła za nim większość oficerów, którzy, otaczając go, zdawali się spijać słowa z jego warg niczym nektar.

Oznajmiwszy mi, że chciałby jeszcze ze mną „w przyszłości porozmawiać”, *Reichsführer-SS* poprosił jednego ze swoich współpracowników, wielkiego tyczkowatego blondyna, aby wziął ode mnie wszystkie dane.

– Wróć tu – powiedział na odchodnym. – Nie lubię wojskowych kolacji w oficjalnych pałacach. Wolę stykać się z narodami takimi jak pani naród, z którymi razem będziemy budować lepszy, bardziej czysty świat, z osobami tak pięknymi jak pani.

Zaczerwieniłam się jak krewetka wrzucona do wrzątku.

Mężczyzna, który nigdy nie mówił nie

Paryż 1942. Heinrich Himmler nie dawał znaku życia przez niemal dwa lata. Aż do pewnego ranka, gdy w restauracji zjawiono się dwóch SS-manów i ogołociło mnie z zapasów pigułek „Rose” na wzmocnienie i na sen. Nalegali, aby za nie zapłacić, i dali mi wielki napiwek.

Wrócili znowu po dwóch miesiącach. Ci sami: jeden przysadzisty, z obwisłymi policzkami, a drugi chudy i kanciasty; nazwałam ich Don Kichot i Sancho Pansa. Wywnioskowałam z tego, że Himmler pięciokrotnie zwiększył dawkę, co nie leżało w jego naturze. Z tego, co wiedziałam o jego charakterze, był człowiekiem zorganizowanym i metodycznym, biorącym wszystko na serio, w tym, byłam tego pewna, dawkowanie leku, którego przepis kazałam wydrukować na pudełkach.

A skoro tak, musiałam przyjąć do wiadomości, że dostarczając pigułki zapewniające energię i odpoczynek jednemu z najwyższych dowódców nazistowskich, pracowałam wbrew sobie na ostateczne zwycięstwo Niemiec.

Nie bardzo wiedziałam, co robić. Oszczędzę wam gromów, jakie sypały się na mnie z ust salamandry: Teo była na mnie wściekła i po raz pierwszy musiałam przyznać jej rację. Przez chwilę rozważałam dodanie do pigułek arszeniku lub cyjanku, ale to byłaby głupota: jak wszyscy mordujący na skalę przemysłową, *Reichsführer-SS* cierpiał na paranoję; najprawdopodobniej ktoś kosztował jego posiłków, co częściowo wyjaśniałoby tak wysokie spożycie pigułek. Aby go zlikwidować, widziałam, prawdę mówiąc, tylko jeden sposób: sidła miłości.

Himmler czuł do mnie miętę, rzucało się to w oczy, przynajmniej mnie: kobiety nigdy się w tych sprawach nie mylą. Ponieważ z miłości traci się rozum, pomyślałam sobie, że wystarczy dać się *Reichsführerowi-SS* do mnie zbliżyć, zwabić go we właściwym momencie w pułapkę i zabrać w zaciszne miejsce, aby zlikwidować, co pozwoli mi odzyskać Gabriela –

padnie w moje ramiona, kiedy powiem mu, zdyszana, gdy wbiegnę na szóste piętro ścigana przez 70 000 SS-manów:

– Kochanie, właśnie zabiłam Himmlera.

Z pewnością nie byłby w stanie mi się oprzeć. Nasze pogodzenie zaczęłoby się od pocałunku, zerwanego niczym owoc z drzewa, a potem godzilibyśmy się dalej, odesławszy dzieci do ich pokoju i zamknąwszy drzwi do jego sypialni na klucz, w szaleńczym uścisku, który zakończyłby się na parkiecie albo na łóżku, przy czym okoliczności skłoniłyby mnie do wyboru tego pierwszego rozwiązania, gdy szepnęłyby mi do ucha, zażenowany moimi cudownie przerażonymi okrzykami:

– Nie rób hałasu. Nie zapominaj, że obok są dzieci.

Próbowałam wszystkiego, żeby odzyskać Gabriela. Płaczu i szlochów. Błagania na kolanach. Gróźb, że targnę się na własne życie. Propozycji wymazania przeszłości, żeby zgodził się zacząć od zera. Bez skutku. Doszło do tego, że zaczęłam myśleć, iż wyłącznie zabójstwo Himmlera pozwoli mi rozpalić w nim na nowo zgasły płomień pożądania.

To było idiotyczne, ale musiałam coś wymyślić. Nie mogłam pogodzić się z myślą, że sprawa jest przegrana, i miałam kilka powodów, by w to nie wierzyć. Na przykład nadal uparcie zwracałam się do niego „najdroższy”, nieraz „kochanie”, a on się nie oburzał. Zaróżowione policzki zdradzały nawet jego uczucia, gdy świadomie się upokarzałam, wyznając mu jęklwym głosem miłość przy każdym spotkaniu.

– Brakuje mi ciebie w każdy boży ranek. Gdy tylko się budzę, moja ręka odruchowo szuka twoich pleców, twojej szyi, twoich ramion. Wraca z niczym i to ściska mi serce.

Pewnej niedzieli postanowiłam postawić wszystko na jedną kartę. Zapropnowałam Gabrielowi, żebyśmy wspólnie z dziećmi spędzili dzień w Jardin des Plantes. Zaczęliśmy od wizyty w zoo. Był piękny jesienny dzień, słońce, zmęczone po całym lecie, złoćło się na miękkim niebie.

Staliśmy w małpiarni, gdzie dzieci nawiązały konwersację ze zwierzętami, gdy odciągnęłam Gabriela na bok i zaproponowałam, byśmy

spróbowali odbudować nasz związek od tamtego momentu, w który się rozstaliśmy. Zaprotestował w sposób, który nawet jemu nie wydawał się przekonywający:

– Nie jestem pewien, czy tak będzie dla nas lepiej, Rose. Nie starajmy się przyspieszać pewnych spraw, dajmy im się toczyć.

– To nie my decydujemy o tym, ile nam jeszcze czasu pozostało, tylko przeznaczenie. Wiesz dobrze, że nie można mu ufać.

Nie powiedział wyraźnie nie. Co prawda Gabriel nigdy nie mówił nie, bo nie chciał nikomu robić przykrości. Sądzę, że nigdy nie słyszałam, by to słowo padło z jego ust.

– Przemyślmy to – mruknął.

– Miłość to nie kwestia myślenia, tylko przeżywania – oburzyłam się.

– Masz rację. Ale też trudno, żeby zaczęła się od nowa na skinienie palcem. Zraniono ją, musi minąć trochę czasu, by znowu nabrała sił.

– Powinniśmy przestać się nawzajem ranić. Jesteśmy dla siebie stworzeni. Wyciągnijmy z tego wnioski.

Chwyciłam go za rękę.

– Masz kogoś? – spytałam.

– Nie, nie mam nikogo.

– Więc chciałabym, żebyś mi dał drugą szansę.

– W życiu nigdy nie ma drugiej szansy, Rose.

– Nie warto byłoby żyć, gdyby nie było drugiej szansy.

– No cóż, zastanawiam się właśnie coraz częściej, czy warto żyć.

– Nie masz prawa tak mówić, kochanie.

Ujęłam jego twarz w dłonie i pocałowałam Gabriela z uniesieniem, które jego wstrzemięźliwość czyniła śmiesznym. Miał suche usta. Pozostawiły mi smak humusu, zapach starych, gnijących liści.

– Dziękuję – powiedziałam, gdy cofnął wargi. – Wybaczyłeś mi?

Pokiwał głową, a ja się rozplakałam. Wyjął z kieszeni chustkę w kratę i wytarł mi twarz z cierpiętniczym uśmiechem.

Nie wyglądałam szczególnie korzystnie. Dzięki Bogu, dzieci były zbyt

zajęte rzucaniem orzeszków ziemnych małpom.

– Jeżeli dalej będę cię tak odtrącał – wymamrotał, kończąc osuszać moje łzy – w końcu zacznę mieć o to pretensje sam do siebie.

– Nie wywracaj kota ogonem, Gabrielu. Kiedy pomyślę o tym, co zrobiłam, budzę w sobie niesmak. Tak bardzo mi wstyd. Cała wina leży po mojej stronie.

– Nie, jeżeli odmówię zamknięcia tego rozdziału, to będzie moja wina. Ale zrobię to, daj mi jeszcze dwa, trzy miesiące i, czuję to, będziemy znowu mogli się kochać tak jak na początku.

Obejmowaliśmy się przez dłuższą chwilę, ale nie spodobało się to dzieciom, które zaczęły nas rozdzielać, ciągnąc za ręce, każde w swoją stronę. Chciały, żebyśmy poszli do pawilonu z krokodyłami.

Tego wieczoru, gdy wracałam do domu sama, wydawało mi się, że powietrze śpiewa.

*

W następnych tygodniach Gabriel nadal stosował wobec mnie uniki, które do niedawna tak mnie irytowały, a teraz rozczulały. Coraz częściej uciekał wzrokiem. Nieraz zamierzał coś powiedzieć, podchodził do mnie, a potem zastygał w milczeniu, z otwartymi ustami, jakby słowa więzły mu w gardle. Gdy chciałam wspólnie z nim i z dziećmi spędzić niedzielę w Lasku Bulońskim czy gdzie indziej, zawsze twierdził, że jest zajęty. Kłamał tak nieudolnie, że był żaloszny.

Wszystkie te znaki świadczyły o tym, że Gabriel przeżywa wewnętrzną przemianę, co zdecydowanie mi się podobało: był na dobrej drodze. Dochodziłam do podobnego wniosku, gdy skarżył się na migreny lub gdy zauważałam, że stracił koło dziesięciu kilogramów. W dniu, w którym oświadczył mi, że cierpi na bóle żołądka, pomyślałam, że złapałam go w sidła. Kilka razy, w kuchni, specjalnie sparzyłam sobie rękę lub przegub, co było najlepszym sposobem, by przyspieszyć jego powrót, zgodnie z wyznawanym przeze mnie przesądem, że trzeba cierpieć, by dostać to, co się chce.

Przez cały jeden dzień chodziłam z kamykiem w skarpetce i gdy wyjęłam go, by skrócić tę mękę, podeszwa stopy była we krwi.

Pewnego wieczoru wbiłam sobie w dłoń widelec, uszkadzając pięć kości śródreçza: wstyd się przyznać, ale wydawało mi się, że słyszę głos, który szeptał mi, że Gabriel wróci, jeżeli to zrobię.

Głos wprowadził mnie w błąd. Którejś niedzieli, gdy przyszłam zabrać na cały dzień dzieci, Gabriel poprosił, by poszły pobawić się w pokoju, i oznajmił mi przyciszonym głosem, że postanowił przeprowadzić się z nimi do Cavaillon.

– Nie możesz mi tego zrobić – zaprotestowałam. – Co się ze mną bez nich stanie?

– Nie mam wyboru, Rose.

– Jeżeli wyjadą do Prowansji, nie będę ich już mogła widywać, wyobrażasz sobie, co to dla mnie znaczy.

– Powtarzam ci, jestem zmuszony wyjechać. Prasa urządziła na mnie nagonkę.

– Jaka prasa?

– Wszystkie gazety, w których szaleją nasi dawni rzekomi przyjaciele. Nie wiedziałaś o tym?

– Nie.

– Rozpisują się na całych kolumnach, nazywając mnie żydłakiem, parchem, świnią i zdrajcą.

Poszedł do pokoju po gazetę i wrócił, deklamując:

– „Édouard Drumont wspominał kiedyś o «fałszywym, przebiegłym wrogu», który zalał, zdemoralizował i ogłupił Francję tak bardzo, że «własnymi rękami zniszczyła wszystko, co czyniło ją niegdyś potężną, godną szacunku i szczęśliwą». Jedną z pierwszych twarzy, która w tym kontekście przychodzi na myśl, gdyż idealnie odpowiada tej definicji, jest twarz Gabriela Beaucaire’a, fałszywego przyjaciela, fałszywego pisarza, fałszywego patrioty i fałszywego *maître d’hôtel*, ale prawdziwego zdrajcy wobec Boga Przedwiecznego. Ma wszystkie cechy charakterystyczne

Semity: chciwość, zamiłowanie do intryg, subtelność i spryt. Bezmierna podłość pozwoliła tej ponurej postaci wśliznąć się w nasze szeregi, aby nas szpiegować, a następnie bezwstydnie sprzedawać rzekome tajemnice naszym najgorszym wrogom. Najwyższy czas skończyć z tego rodzaju osobnikami w ogóle, a w szczególności z tym właśnie, który na nieszczęście swoich sąsiadów mieszka przy rue Rambuteau 23”.

Potrząsał gazetą, jakby to była szmata nasączona kwasem, który palił mu rękę.

– Włączyła się w to cała prasa antysemitka, „Je suis partout” i cała reszta. Trwa to od trzech dni. Prawdziwy ostrzał, dziwię się, że nikt ci o tym nie powiedział.

– Nie czytam tych szmatławców...

– Czy teraz lepiej rozumiesz mój niepokój?

– Oczywiście, że rozumiem, i możesz na mnie liczyć, kochanie.

Drżałam i oblewał mnie pot jak zakochaną przed pierwszym pocałunkiem, ale Gabriel trzymał dystans, na twarzy malował mu się niesmak i gdy tylko zrobiłam krok w jego stronę, cofnął się. Prawdą jest, że dookoła mnie unosił się odór moczu i octu. Zastygłam w miejscu, żeby nie rozsiewać go dalej.

Natychmiast rozpoznałam tę woń: to był zapach mojego strachu, bałam się o niego i o dzieci. Rak smutku na nowo zaczął się rozrastać. Miał się tak wybrzuszać aż do końca wojny.

– W pracy ta kampania prasowa wprowadziła w zakłopotanie moich szefów – powiedział. – Są dla mnie miłsi niż zwykle, czuję ich wsparcie. Ale długo nie wytrzymają. Wolę działać z wyprzedzeniem i wyjechać jak najszybciej. Bardzo mi przykro.

– Dzieci mogłyby zostać ze mną – powiedziałam błagalnym głosem.

– To nie byłby dobry pomysł, Rose. Sąd postanowił inaczej, orzekając o rozwodzie, a poza tym dobrze wiesz, że nie masz czasu się nimi zajmować. Dzieciństwo w Prowansji, na łonie natury, to najlepsze, co możemy im dać.

Udałam, że właśnie doznałam olśnienia:

– Znalazłam rozwiązanie, najdroższy. Możecie zamieszkać i ukryć się u mnie, to znaczy u nas, przy rue du Faubourg-Poissonnière, w oczekiwaniu na lepsze dni, nikt nie będzie o tym wiedział.

– Proponujesz mi powrót do domu?

– Nie bój się. Jeżeli nie masz na mnie ochoty, będę umiała się zachować: nie zgwałcę cię ani cię nie tknę.

– Mam nadzieję. Ale za bardzo bym się bał, że ulegnę pokusie.

Uśmiechnął się, szalenie lubiłam ten jego uśmiech.

– Zresztą i tak kiedyś będziesz musiał wrócić.

– Będę musiał...

Zapadło milczenie. Wydawało się, że w moim sercu szaleje huragan, i czułam, że krew uderzyła mi do głowy. Wreszcie westchnął:

– Zostawać tu to absurd. Paryż to pułapka na myszy.

– Każdy bandyta ci powie, że łatwiej ukryć się w Paryżu niż na prowincji.

– Nie w czasie wojny, Rose. Figuruję w aktach jako Żyd. Jeżeli zostanę w Paryżu, od 7 czerwca będę musiał nosić żółtą gwiazdę.

– Od przyszłego tygodnia?

– Tak, właśnie ogłoszono zarządzenie. Razem z dziećmi znajdziemy się w paszczy wilka, choć nie mam zamiaru nosić opaski.

– Dlaczego nie pójdziesz do merostwa, żeby im wyjaśnić, że nie jesteś Żydem?

– Wiesz dobrze, że to nie takie proste: jeżeli z powodu mojego nazwiska albo wskutek donosów władze zdecydowały, że jestem Żydem, nie mogę udowodnić, że nim nie jestem. Moja gęba i uśmiech nie wystarczą, żeby ich przekonać. W dzisiejszych czasach, gdy jest się Żydem, to już na całe życie.

– Proszę cię tylko o jedno – powiedziałam z wilgotnymi oczami – zostań do moich urodzin.

Skinął głową z tym delikatnym, ujmującym uśmiechem, za którym

przepadałam:

– Kończysz trzydzieści pięć lat, nie może mnie przy tym nie być.

– Masz rację, to zdarza się tylko raz.

– Muszę się tylko niezwłocznie przeprowadzić, żeby wtopić się w tłum.

Kilka dni temu widziałem dwupokojowe mieszkanie do wynajęcia tuż obok ciebie, przy rue La Fayette. Jeżeli nadal jest wolne, wezmę je i zamieszkam tam pod fałszywym nazwiskiem.

Podeszłam do Gabriela, żeby go pocałować, ale pobiegł do pokoju, by odłożyć gazetę na stolik nocny.

Śniadanie na trawie

Marsylia 2012. Gdy Samir Mysz zadzwonił do moich drzwi, było po pierwszej w nocy. Mamadou właśnie odwiózł mnie do domu i przygotowywałam sobie kąpiel. Zanim weszłam do wody, rozebrałam się, słuchając piosenki Patti Smith *People have the power*.

Gdybym mogła zacząć życie od nowa, chciałabym żyć jak ona: była piosenkarką, gitarzystką, malarką, poetką, ćpunką, fotografką, aktywistką, pisarką, matką. Patti Smith robiła w życiu wszystko. Jestem pewna, że jej nazwisko pozostanie na zawsze w historii kobiet, tej, której mężczyźni woleliby, żebyśmy nie pisały.

Kiedyś, gdy Patti Smith występowała w Marsylii, przyszła po koncercie do mojej restauracji i zrobiłam sobie z nią zdjęcie. Uśmiecha się na nim, odsłaniając zepsute zęby. Zajmuje poczesne miejsce w moim Panteonie Wielkich Kobiet.

Samir musiał chwilę poczekać, zanim nie włożyłam szlafroka i nie zakręciłam wody lejącej się do wanny, a gdy mu otwarłam, stał z obrażoną miną. Należy do pokolenia – u niego przybiera to wręcz karykaturalną formę – które wszystko musi mieć natychmiast. Zawsze odnosi się wrażenie, że spieszy się na pociąg lub na samolot, mimo że ma przed sobą cały dzień. Nie potrafi, w przeciwieństwie do mojego pokolenia, rozkoszować się każdą kroplą życia, które daje mu Bóg.

Samir trzymał w jednej ręce tablet i podał mi drugą, patrząc na mnie wzrokiem, który miał być groźny:

– Moje śledztwo posuwa się do przodu. Chcę ci pokazać coś niesamowitego.

– To pokaż.

– Ale wcześniej chciałabym ci opowiedzieć najnowszy dowcip, która krąży na necie.

Wszedł i nieproszony usiadł na fotelu w salonie.

– Co się stanie – kontynuował – gdy podczas konferencji międzynarodowej któremuś z uczestników do filiżanki z kawą wpadnie mucha? – Odczekał chwilę, po czym mówił dalej. – Amerykanin jej nie tknie. Włoch wyrzuci filiżankę z kawą. Chińczyk zje muchę i wyleje kawę. Rosjanin wypije kawę z muchą. Francuz wyrzuci muchę i wypije kawę. Izraelczyk sprzeda kawę Francuzowi, muchę Chińczykowi, a potem za te pieniądze kupi sobie nową filiżankę kawy. Palestyńczyk oskarży Izrael, że wrzucił mu muchę do kawy, poprosi Bank Światowy o pożyczkę i kupi za nią materiały wybuchowe, by wysadzić kawiarnię, w czasie gdy wszyscy pozostali będą prosić Izraelczyka, by kupił Palestyńczykowi nową kawę.

Uśmiechnęłam się:

– To żydowski kawał.

– Dziękuję, zauważyłem to. Śmieszny, nie?

– Nie zaprzeczę.

Patti Smith śpiewała teraz *Because the night*, swój największy przebój ze słowami Bruce’a Springsteena. W jej głosie brzmiało tyle pożądania, że słuchając jej, nie można już było wątpić, że kobiety niczym nie różnią się od mężczyzn.

Samir Mysz wstał, podszedł do mnie i stwierdził z ironią:

– Przypatrz się dobrze, mam dla ciebie prawdziwą bombę. Znalazłem to na stronie ze zdjęciami archiwalnymi z ostatniej wojny.

Podał mi tablet i rozpoznałam się na zdjęciu. Stałam za Himmlerem, który siedział przy stole, trzymając w rękach półmisek. Myślę, że leżał na nim kurczak wiejski z purée z bazylią, jedna z moich specjalności: *Reichsführer-SS* go uwielbiał. Z głową lekko zwróconą w moją stronę, patrzył na mnie niepozobawionym czułości wzrokiem z ledwie dostrzegalnym uśmiechem. W tle kwitnące krzewy, a dalej gęszcz drzew, w tym wiele iglastych. To był wiejski obiad w Gmund, w Bawarii.

Samir Mysz patrzył na mnie wzrokiem policjanta, który w czarnych kryminałach pokazuje scenę zbrodni mordercy, aby ten się załamał, ale ja się nie załamałam:

- Co to ma być?
- To ty.
- Ja? Wybacz, ale byłam znacznie piękniejsza.
- Przestań się wygłupiać, Rose.

Zaległo milczenie, na szczęście wypełnione piosenką Patti Smith, na której skupiałam uwagę.

- A ten gość – spytałam w końcu – to naprawdę Himmler?
- Na to wygląda.
- Co miałabym niby mieć wspólnego z Himmlerem?
- Nad tym się właśnie zastanawiam.
- To groteskowe – zaprotestowałam.
- To mocno niepokojące.
- Myślę, że powinieneś przestać interesować się Renate Fröll.
- Nie mam zamiaru.
- Ta historia – zakończyłam – źle na ciebie działa.

Nie miałam pewności, czy jest na tyle przekupny, by przestać grzebać w mojej przeszłości w zamian za odszkodowanie. Obawiałam się, że wręcz przeciwnie, może go to jeszcze bardziej podniecić. Wolałam się z nim pożegnać i wstałam, aby dać mu sygnał do wyjścia.

– Jest późno, Samir. W moim wieku powinnam już od dawna leżeć w łóżku, a czeka na mnie kąpiel.

Nie ruszył się z miejsca i rzucił:

– Mimo wszystko musisz mi wyjaśnić, co robiłaś od 1942 do 1943 roku. W tym okresie nigdzie nie ma śladu na twój temat, zniknęłaś ze wszystkich radarów, po czym znowu zniknęłaś. To chyba dziwne, nie, te wszystkie zniknięcia?

- To normalne: ukrywałam się w Prowansji.
- Ale przecież policja cię nie szukała.

Usiadłam z powrotem.

– Policja mnie poszukiwała, bo szukała mojego byłego męża, miłości mojego życia, ojca moich dzieci, który był Żydem. Czy to cię zadowala?

– Coś przede mną ukrywasz, Rose, a gdy ktoś coś ukrywa, to znaczy, że to może być interesujące.

– Jestem bardzo starą kobietą, która chce, by zostawiono ją w spokoju, i którą powinienes, o ile cię to nie przerasta, bardziej szanować.

Po wyjściu Samira wzięłam kąpiel. Była wrząca i zgodnie ze swoim zwyczajem regularnie dolewałam ciepłej wody do wanny. Długo się w niej gotowałam, z zamkniętymi oczami, z uszami pod wodą, pozwalając wynurzać się w mej pamięci wspomnieniom, które zmieszane z parą unosiły się nade mną.

Gdy wyszłam z wanny, byłam biała jak mięso gotowanej ryby.

Takie piękne białe zęby

Paryż 1942. Lato zawsze przychodzi za wcześnie. Każdy wie, że nigdy nie zaczyna się 21 czerwca, ale z kilkudniowym wyprzedzeniem. Tamtego roku nadeszło jeszcze szybciej niż zwykle, gdy tylko zazieleniły się dęby, ci wielcy maruderzy Stworzenia.

Zbliżały się moje trzydzieste piąte urodziny, a ja zamknęłam się jak na kłódkę we wstrzemięźliwości, którą zalecała mi Teo, mimo że narastało we mnie coś, co niegdyś nazywano chucią, podsycaną nasilającym się upałem zapowiadającym pogoń za spółkowaniem, w którą wkrótce ruszy przyroda.

Pewnego czerwcowego poranka, prawdopodobnie pod koniec pierwszego tygodnia tego miesiąca, do mojej restauracji weszło dwóch tych samych oficerów SS co zwykle, Don Kichot i Sancho Pansa. Personel kończył nakrywać stoły, a ja pilnowałam czterech dużych tart morelowych, które kończyły się piec. Właśnie posypałam wierzch kawałkami migdałów i bałam się, żeby się nie przypalił, podobnie jak skarmelizowane ciasto na spodzie. W napięciu nie spuszczałam oczu z piekarnika.

Sancho Pansa zażądał nieznoszącym sprzeciwu głosem, bym udała się z nimi. Poprosiłam SS-manów, by poczekali dwie lub trzy minuty, żeby tarty się dopiekły, a gdy wyjęłam je z pieca, poszłam za nimi. Nie miałam pojęcia, gdzie jedziemy, i wahałam się, czy zadać im to pytanie, gdyż wiedziałam, że tego rodzaju wezwania z reguły nie zwiastują nic dobrego.

Gdy w samochodzie spytałam ich po niemiecku o cel naszej podróży, nie odpowiedzieli. Przychodziły mi do głowy jak najgorsze scenariusze, głównie związane z Gabrielem, aż w końcu Sancho Pansa rzucił:

- To jest nic takie, ale ważne.
- Nie może mi pan powiedzieć?
- Militarna tajemnica.

Mówiłam po niemiecku, a on odpowiadał mi po francusku.

Wywnioskowałam z tego, że ma poczucie winy za to, że okupuje Francję. Tym bardziej że w przeciwieństwie do swojego kolegi zawsze patrzył na mnie wzrokiem zbitego psa.

Zawieźli mnie pod numer 49 przy rue de la Faisanderie, w XVI dzielnicy, gdzie ujrzałam Heinricha Himmlera rozpartego za biurkiem Ludwika XIV w wielkim, obitym tkaniną pomieszczeniu w towarzystwie trzech mocno wiekowych już oficerów SS siedzących przed nim z dokumentami na kolanach. Miał czterdzieści jeden lat, a całkowicie nad nimi panował. Równie dobrze mogli być psami do towarzystwa.

Jak tylko Himmler mnie zobaczył, ostrożnie wstał, jakby cierpiał na rwę kulszową, dając tym samym znak oficerom, że spotkanie dobiegło końca. Natychmiast się zmyli, pozostawiając po sobie silną woń potu i tytoniu, która przypominała mi zapach klatek na króliki w Sainte-Tulle. *Reichsführer-SS* uścisnął mi dłoń i poprosił, bym usiadła z nim w kącie salonu.

Miałam nietęgą minę i natychmiast to zauważył. Dlatego na wstępie mnie uspokoił, zwracając się do mnie po niemiecku:

– Przyjechałem do Paryża incognito. Mam kilka pilnych spraw do załatwienia. Chciałem także odbyć z panią całkowicie prywatną rozmowę.
– Nabrał powietrza w płuca i mówił dalej. – Bardzo mi się pani podoba i od naszego pierwszego spotkania przed dwoma laty nie przestaję o pani myśleć. W nocy, w dzień, gdy tylko zamknę oczy, widzę przed sobą pani twarz. Chciałbym dzielić z panią życie.

Kołysałam głową, czując objawy omdlenia wazowagalnego, innymi słowy spowolnienie rytmu serca i spadek ciśnienia tętniczego. Uznał to za moją zgodę.

– Chciałbym dzielić z panią życie aż do końca moich dni – ciągnął dalej.
– Nie jestem uciążliwy, wie pani. Przyjeżdżam, wyjeżdżam, cały czas jestem w drodze. To, czego żąda ode mnie Hitler, jest gorsze od kapłaństwa. Nigdy nie odpoczywam, to szaleństwo, nie wiem, co bym zrobił bez pani pigulek. Ale muszę wiedzieć, że mam panią dla siebie,

całkowicie, w rzadkich momentach wytchnienia, które pozostawia mi praca.

Wbił we mnie szaroniebieskie oczy, czułam na sobie jego wzrok, jakby mnie gryzł. Czekał, aż coś powiem, ale skamieniałam. Wydawało mi się, że już nigdy nie uda mi się oderwać języka od podniebienia.

– Uczciwość nakazuje mi uprzedzić panią, że nigdy nie będę mógł jej poślubić – odezwał się znowu. – Po pierwsze Hitler jest wrogiem rozwodów, zabrania nam się rozwodzić, robił problemy całej masie ludzi, którzy jak Hans Frank chcieli na nowo ułożyć sobie życie. Po drugie, sądząc po pani niebieskich oczach i blond włosach, ma pani aryjskie korzenie, ale jestem pewien, że nie jest pani czystej krwi.

– Jestem Ormianką – powiedziałam po niemiecku, który znacznie udoskonaliłam od czasu naszego ostatniego spotkania.

– Wiem o tym. Ma pani zatem dobrą podstawę, z której wyrosły najczystsze gałęzie rasy aryjskiej. Dramat polega na tym, że tak jak wszystkie narody kaukaskie Ormianie często mieszały się z Mongołami i ludami tureckimi, które ich najeżdżały, gwałciły i zniewalały.

Reichsführer-SS zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, długo mi się przyglądał, po czym rzucił:

– Nie starcza mi czasu na czytanie książek czy zwiedzanie wystaw, ale jestem bardzo wrażliwy na piękno. Podobnie jak poeta John Keats wierzę, że „Piękno jest prawdą, prawda pięknem!”^[7].

– Moja matka adopcyjna uwielbiała Keatsa.

– Tak jak ja. Musi pani wiedzieć, że uważam, iż jest pani bardzo piękna, cudownie piękna. Ale jak zawsze, by uroda objawiła się w całej pełni, potrzebne są skazy. Pani skazy są oczywiste, powiem to pani otwarcie: chodzi o pewne rysy charakterystyczne dla Mongołów. Wysokie kości policzkowe, skośne oczy, wąskie brwi, ciemną karnację.

Zaczerwieniłam się.

– Jestem pewien, że ma pani plamę mongolską – dodał. – Szaroniebieską plamę często znajdującą się ponad pośladkami, koło kości

ogonowej. Czyż nie mam racji?

– Tak, ma pan rację.

– No cóż, widzi pani, przeczucie mnie nie myliło.

Himmler uśmiechnął się obłudnie:

– Mnie osobiście pani rysy mongolskie nie przeszkadzają. Śmiem nawet twierdzić, że mi się podobają, tym bardziej że, jak powtarzam, ma pani aryjskie korzenie, co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

Byłam przerażona jego wzrokiem, spojrzeniem rzeźnika oglądającego antrykot albo polędwicę gorszego gatunku na zakrwawionej ladzie, a jednocześnie podobało mi się poniekąd to, że jego oczy sprowadzają mnie do zdanej na jego łaskę materii. Po raz pierwszy coś do niego poczułam, jakąś przewrotną chęć poniżenia się i ukarania za wszystkie grzechy, z których do najłżejszych nie można było zaliczyć moich igraszek z Gilbertem Jeansonem-Brossardem.

Cofnięty podbródek Himmlera nie przeszkadzał mi w niczym. Bóg wie dlaczego, zawsze szalałam za cofniętymi podbródkami. Podniecają mnie, mają w sobie coś seksualnego.

Jak ludzie nieśmiali, którzy próbują dodać sobie odwagi, Himmler odkaszlnął, po czym zdjął okulary, przez co nagle zrobił się bardziej ludzki. Jego oczy, zazwyczaj przesłonięte szklami, były wilgotne i zdawało mi się, że widzę w nich błaganie, rodzaj nieokreślonego cierpienia. Minęło pół minuty grobowej ciszy, pożądanie i strach sięgnęły paroksyzmu.

Himmler na powrót założył okulary i mówił dalej:

– Mam też trzeci powód, by pani nie poślubić: pani były mąż jest Żydem.

– Mój były mąż nigdy nie był Żydem!

– Z moich informacji wynika co innego. To Żyd, choć starał się wszystkich wprowadzić w błąd.

– Proszę sprawdzić, ale to nieprawda...

– Sprawdzę. Ale to nic nie zmienia. Proponuję pani, aby została pani towarzyszką mojego życia...

– Bardzo trudno mi coś odpowiedzieć – powiedziałam pełnym wahania głosem, ze ściśniętym gardłem. – Ledwie się znamy...

– Niech pani przyjedzie wypróbować mnie do Niemiec – zażartował. – Nie rozczaruje się pani...

– Muszę się zastanowić.

– Niech się pani szybko zastanowi. W przeciwnym razie będę cierpiał.

Wręczył mi wizytówkę, na której widniał numer telefonu jego sekretariatu w Berlinie. Gdyby mnie pocałował, muszę ze wstydem przyznać, że prawdopodobnie bym mu się oddała, tym bardziej że jego piękne, olśniewająco białe zęby pozwalały sądzić, że jego oddech będzie znośny, aczkolwiek białe zęby nie zapobiegają nieraz przykrym niespodziankom.

Ale na zakończenie naszego spotkania *Reichsführer-SS* zadowolił się uściśnięciem ręki, miał miękką dłoń, co wzbudziło mój niesmak, który starałam się zabić po powrocie do restauracji, wypijając z bijącym sercem trzy czwarte butelki Saint-Julien.

Tamtego wieczoru na kolację do restauracji przyszła bardzo sympatyczna para: Simone de Beauvoir, piękna kobieta, która pracowała w rozgłośni państwowej Radio Vichy, i Jean-Paul Sartre, którego *Mdłości* czytałam przed wojną i bardzo mi się ta powieść podobała. Palili i dużo rozmawiali.

Sartre'owi tak bardzo smakowały moje dania, że zaproponował, iż napisze artykuł o restauracji dla kolaboranckiego tygodnika „Comoedia”, któremu co jakiś czas dawał teksty. Nadal czekam, aż się ukaze.

[7] *Oda do urny greckiej*, przeł. Zenon Przesmycki (Miriam).

Ciężar mojego ciała wyrażony we łzach

Paryż 1942. Nazajutrz po moim spotkaniu z Heinrichem Himmlerem o szóstej rano usłyszałam walenie w drzwi. Ktoś wrzeszczał dyszkantem na klatce: „Otwierać! Policja!”.

Głos należał do niskiego człowieczka obdarzonego olbrzymim nosem i wielkimi stopami, co dobrze wróżyło, jeżeli prawdą jest, iż są one proporcjonalne do rozmiarów organu płciowego. Mimo że z trudem znosiłam długotrwałą wstrzemięźliwość seksualną, jaką narzuciłam sobie w formie pokuty, nie poczułam najmniejszego drżenia pożądania.

Mężczyzna spiorunował mnie wzrokiem, po czym wrzasnął:

– Komisarz Mespolet!

W ten sposób miał zwyczaj się przedstawiać.

– Czy my się znamy? – spytałam.

– Sądzę, że miałem zaszczyt panią poznać.

Niewiele się zmienił od naszego ostatniego spotkania w Manosque. Ta sama głowa mumii nasadzona na ciało pajaca i krzywy uśmiech na twarzy. Nie zapominając o nosie w kształcie rękojeści młotka.

Do mieszkania weszło czterech policjantów, żeby je gruntownie przeszukać. Miałam zaprotestować, ale komisarz pokazał mi nakaz rewizji, a potem zapytał zgryźliwie:

– Nie wie pani, gdzie znajdziemy pani byłego męża?

– Nie mamy ze sobą kontaktu.

– Ale macie ze sobą dzieci.

– Nie mam od nich żadnych wieści.

– Wybaczy pani, ale nie wierzę. Pani mąż jest ścigany listem gończym, szukają go wszystkie francuskie służby. Jeżeli odmówi pani współpracy, będę miał prawo oskarżyć panią o współnictwo.

– Nie wiem, z jakich powodów miałabym nie chcieć z panem współpracować. Musi pan wiedzieć, że Gabriel nie zachował się wobec

mnie przyzwoicie.

Zdażyłam zrobić sobie kawę i jemu też zaproponowałam filiżankę. Usiedliśmy w kuchni, podczas gdy policjanci opróżniali szuflady oraz przesuwali szafy i komody, aby – jak sobie wyobrażam – odkryć za nimi tajne przejścia czy podziemne otwory prowadzące do piwnic Syjonu.

– Co ten kretyn znowu zrobił? – spytałam, udając irytację.

Wrzucał nas z Gabrielem do jednego worka, sądząc po oskarżycielskim wzroku, jakim spoglądał na mnie, kiedy wymieniał zarzuty.

– To agent obcego państwa, który zawsze chciał uchodzić za dobrego francuskiego obywatela. A poza tym szantażysta, przywłaszczył sobie też cudzą tożsamość, zawodowy oszczerca, który podłymi pamfletami wyrządził krzywdę osobom ważnym dla naszego kraju.

– Komu w szczególności?

– Lista jest długa... – Komisarz Mespolet wydawał się załamany. Westchnął i jednym haustem wypił filiżankę kawy. Gdy mu jej dolewałam, postarałam się, aby kosmyk moich długich wówczas włosów opadł na jego bark, mój oddech pieścił mu szyję, a ramię muskało jego ramię. Kiedy ponownie spytałam o nazwiska oskarżycieli, nagle zrobił się bardziej rozmowny.

– Pierwszym z nich jest Jean-André Lavissee, wielki pisarz i wielki dziennikarz, wspaniały człowiek, nie skrzywdziłby nawet muchy. Mówi się, że wkrótce zostanie członkiem Akademii Francuskiej. No cóż, proszę mi wierzyć, już dawno zasłużył na fotel akademika. Spotkałem go parokrotnie, wywarł na mnie olbrzymie wrażenie. Gdyby wszyscy Francuzi byli tacy jak on, nasz kraj nie upadłby tak nisko, nie ugięlibyśmy się przed niemiecką armią. To człowiek niezwyklej kultury, prawości, energii. Z pewnością czytała pani jego książkę *Myśli o miłości...*

Potrząsnęłam głową z odrazą. Właśnie ten osobnik rozpoczął kampanię prasową przeciwko Gabrielowi w „L’Ami du peuple”.

– To błąd, bo to bardzo wartościowa książka – kontynuował Claude Mespolet. – W każdym razie wielka uczciwość Jeana-André Lavissee’a nie

przeszkodziła pani byłemu mężowi oskarżyć go o nielegalne przejęcie majątku żydowskiego. Te rzekome szemrane transakcje istniały tylko w jego pełnym nienawiści żydowskim umyśle. Chodzi o najzwyklejszą, najczystsza potwarz, droga pani. Jego żona, Germaine, nie zniosła fali oszczerstw rzuconych na jej męża. Próbowwała popełnić samobójstwo, zatruć się gazem i nie pozostało to bez uszczerbku dla jej zdrowia. Mówi się, że długo już nie pożyje.

– To straszne! – wykrzyknęłam.

– Straszne – potwierdził. – A proszę sobie wyobrazić, że najgorsze jeszcze przed panią. Pani Lavisse jest bratanicą Louis Darquiera de Pellepoix, potomka słynnego astronoma, który właśnie zastąpił tego – nie bójmy się nazywać rzeczy po imieniu – niezgułę Xaviera Vallata na stanowisku Komisarza Generalnego do spraw Żydowskich. Nowy komisarz, wspaniały człowiek wywodzący się ze znakomitej rodziny francuskiej, jest kolejną ofiarą pani byłego męża, który napisał na jego temat ohydną broszurę. Stek kłamstw i pomówień. Wypowiada się w niej o znanych osobistościach z naszego kraju w słowach, których przytaczać nie pozwala mi przyzwoitość, a gdy o tym myślę, ciarki przebiegają mi po plecach. Tego rodzaju dzieła stanowią nie tylko obrazę dobrych obyczajów, ale także godzą w bezpieczeństwo państwa.

Od czasu do czasu przesuwalam językiem po rozchylonych wargach, wpatrując się w niego pełnym podziwu wzrokiem. Mało jest mężczyzn, którzy potrafią oprzeć się kobiecemu uwielbieniu.

– Pani byłemu mężowi zarzuca się jeszcze poważniejsze sprawy – kontynuował komisarz. – Wiemy z wiarygodnego źródła, że pisze właśnie książkę w podobnym stylu o Marszałku, który tak wiele dał Francji.

– To przerażające! – wykrzyknęłam. – Dlaczego, u licha, to robi?

– To osobnik zdeprawowany, zdeprawowany Żyd, którym kierują wrodzone podłe instynkty. Trzeba uniemożliwić mu szkodzenie innym, to leży w jego własnym interesie. Dlatego powinna mi pani pomóc go zlokalizować.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, obiecuję panu.

Wyciągnął prawą dłoń.

– Niech mi pani pomoże. To sprawa doniosłej wagi. Dla Marszałka. Dla Francji.

Poczułam, że jego ręka niedługo sięgnie po moją dłoń, więc wyprostowałam ramię na stole, gdy do kuchni wszedł jeden z policjantów.

– Nic nie znaleźliśmy, panie komisarzu.

Claude Mespolet wolno wstał, a potem z powrotem usiadł.

– Czy zostawiliście wszystko w należyтым porządku, tak jak było wcześniej?

– To znaczy, nie... wie pan, nie myśli się o tym, gdy przeprowadza się rewizję.

– Chcę, żebyście zostawili to mieszkanie w takim stanie, w jakim je zastaliście. Zrozumiano?

– Nie musi pan nam tego powtarzać dwa razy, panie komisarzu.

Choć komisarz Mespolet lubił się guzdrać, udało mi się osiągnąć cel: wreszcie położył swoją rękę na mojej i zaprosił mnie na następny dzień na kolację.

– O 18.30 w mojej restauracji – odpowiedziałam – tak będzie praktycznie. Przykro mi, ale nigdy nie mam czasu ani wcześniej, ani później: jestem w kuchni.

– Zgodzę się z radością na każdą godzinę, którą pani wskaże.

Zaczynał mnie naprawdę pociągać. Podobała mi się perspektywa upodlenia, gdy będę się z nim tarzać w błocie. Na progu szepnęłam mu do ucha:

– Nasze spotkanie jest największym szczęściem, jakie spotkało mnie od bardzo dawna.

Nie zaczerwienił się, ale zamrugął oczami.

Kiedy wyszli, pospiesznie się ubrałam i sprawdzając, czy nikt mnie nie śledzi, poszłam uprzedzić Gabriela o czyhającym niebezpieczeństwie. Za drzwiami jego nowego mieszkania pod numerem 68 przy rue La Fayette

dzieci śmiały się w głos: odgrywał dla nich spektakl marionetkowy.

Gdy streściłam mu rozmowę z komisarzem Mespoletem, Gabriel powiedział, że nie ma powodu do paniki. Ponieważ zorganizował już swój wyjazd z dziećmi do strefy nieokupowanej, nie zmieni ani na jotę swoich planów, zostanie w Paryżu do moich urodzin i opuści go nazajutrz.

Kiedy się z nimi żegnałam, dzieci nie chciały mnie puścić. Z wielkim trudem zapanowałam nad sobą, gdy Édouard krzyknął:

– Mamusiu, zostań z nami jeszcze chwilę, nie chcemy, żebyś wychodziła!

Ale gdy tylko zamknęłam drzwi, wybuchłam szlochem. Wydaje mi się, że tego dnia wylałam tyle łez, ile ważyłam.

Strategia Johnny'ego

Paryż 1942. Nazajutrz wieczorem komisarz Mespolet zjawił się w La Petite Provence z zaciętym wyrazem twarzy, suchymi wargami, niewidzącym wzrokiem. Wzięłam to za oznaki miłości i już od aperitifów robiłam wszystko, żeby go uspokoić.

– Za wszystko to, co razem zrobimy – powiedziałam, stukając się z nim kieliszkiem szampana.

– Za nas – wymamrotał ze spuszczoną głową.

– Uwaga, musi mi pan patrzeć prosto w oczy. W przeciwnym razie czeka pana siedem lat seksualnej mizarii.

– Naprawdę pani w to wierzy?

– Jestem przesądna.

Musieliśmy zacząć od nowa.

– *Prost* – powiedziałam z prowokującą miną, podnosząc kieliszek.

Nawet się nie uśmiechnął. Komisarz Mespolet nie był tym samym człowiekiem co wczoraj. Wyglądał jak ktoś, kto traci czas. Najwyraźniej czuł mrowienie w nogach, bo bez przerwy ruszał nimi pod stołem. Miał także tiki, na przykład ciągle ukradkiem rzucał okiem dookoła.

Gdy kończyliśmy zapiekankę z parmezanem, którą podałam w charakterze przystawki, zapadło tak krępujące milczenie, że w końcu zapytałam go, o co chodzi.

– To proste – odpowiedział bez wahania. – Rozczarowała mnie pani...

– Dlaczego?

– Zdradziła pani moje zaufanie.

– Ale co ja takiego zrobiłam?

– Ledwie wyszliśmy, pobięła pani do byłego męża...

Udałam osłupienie:

– Przepraszam, ale to wymysły chorej wyobraźni!

Nazywam to strategią Johnny'ego, strategią, którą Johnny Hallyday –

jak sam mi wyznał – posłużył się raz, gdy wszystko przemawiało przeciwko niemu. Kłamstwo tak ordynarne, że kompletnie zbija z tropu drugą stronę. Prymitywne wypieranie się, całkowite zaprzeczanie.

Jakieś dziesięć lat temu po koncercie piosenkarz przyszedł na niekończącą się kolację do mojej obecnej restauracji w Marsylii. Natychmiast go polubiłam. Zraniony mężczyzna, który od kilkadziesiąt lat stara się bezskutecznie zabić przy użyciu alkoholu. Był zalany w trupa, co w jego przypadku jest eufemizmem. Chyba że śpiewa.

Bełkotliwym głosem, a więc szczerze, Johnny Hallyday opowiedział mi pyszną historię, która przypomniała mi moje zachowanie wobec komisarza Mespoleta przed wieloma laty. Pewnej nocy, gdy zaczynał swoją karierę muzyczną, wrócił do domu późno, kompletnie zalany, z młodą dziewczyną, którą zgarnął Bóg wie gdzie. Wpadli do sypialni małżeńskiej i zaczęli się we dwójkę w ciemności rozbierać, gdy nagle zapaliło się światło. Włączyła je żona Johnny'ego. Wykrzyknęła oburzona pod adresem półgołej panienki:

– Co pani tu robi?

Wtedy Johnny, równie oburzony, obrócił się do niej:

– No właśnie. Co pani tu robi?

Pamiętam, że nagle zaniepokoiły mnie oczy komisarza Mespoleta. Widziałam w nich błyski noża, z jego bladej twarzy biła nieubłagana nienawiść.

Serce zaczęło mi szybciej bić. Nie mogłam nad nim zapanować.

– Jeżeli zna pan adres Gabriela i dzieci – spytałam komisarza – to znaczy, że ich pan aresztował?

– Tajemnica zawodowa.

– Nie może mi pan odpowiedzieć i okazać odrobinę ludzkich uczuć? – ryknęłam, drżąc.

Wstał i pożegnał się lekkim skinieniem głowy, które ledwie zdążyłam dostrzec. Już biegłam i gdy tylko opuściłam restaurację, zatrzymałam na placu Trocadéro taksówkę, a ta zawiozła mnie pod numer 68 przy rue La Fayette.

Po drodze minęliśmy wiele torpedo ciężarówek przykrytych plandeką, czarnych furgonetek i zatłoczonych autobusów. Nie rozumiałam, co się dzieje, czułam wielkie zmęczenie, a jednocześnie coś we mnie krzychało...

Gdy dotarłam do kamienicy, wbiegłam na górę, przeskakując po cztery stopnie. Z drżeniem nacisnęłam dzwonek na piątym piętrze. Cisza. Zbiegłam na dół, bez tchu, zapytać dozorczyńni, co się stało, a ona odpowiedziała ze współczuciem:

– Niestety, proszę pani, przyszła policja i ich zabrała. Komisarz powiedział mi, że to dzień wywożenia Żydów, wszystkich Żydów.

– Dzieci też?

– Dzieci też, a co pani myśli? Policja zabiera u Żydów wszystko. Młodych, starych i biżuterię, wszystko oprócz kotów. Zawsze zostawia koty. To jest problem. Wzięłam ich już pięć, razem z moimi będzie siedem, nie mogę przygarnąć ich więcej. Całe szczęście, że ten pan od pani nie miał kota, bo miałabym kłopot.

Westchnęła ciężko i zapytała:

– Nie chce pani kota?

– Mam już jednego.

– Lepiej mieć dwa, a jeszcze lepiej trzy.

Gdy spytałam, czy po Gabriela i dzieci przyszła policja, czy milicja, nie była w stanie mi odpowiedzieć.

– Na jedno wychodzi – stwierdziła – i efekt jest zawsze ten sam, droga pani, zostawiają koty.

Wyglądała jak kot bez wąsów, więc mówiła z pasją o swoich pobratymcach, co nie przeszkadzało jej dzielić mojego nieszczęścia.

Spuściła oczy:

– Niech sobie pani nie robi złudzeń, wyjechali na długo. Mieli bagaże i policja poprosiła tego pana, żeby zamknął liczniki wody, gazu i prądu.

Zaprosiła mnie do służbówki, żebym usiadła i napiła się grogu. Odpowiedziałam, że jest mi już dostatecznie gorąco, i pobiegłam na komisariat IX dzielnicy.

Gdy po trzech godzinach oczekiwania nie udało mi się zdobyć żadnej informacji, udałam się do prefektury policji, gdzie zastałam zamknięte drzwi, po czym wróciłam do restauracji, żeby zadzwonić do Heinricha Himmlera do jego sztabu generalnego w Berlinie.

Po zakończeniu zmiany Paul Chassagnon, mój zastępca, czekał na mnie pod La Petite Provence na ławce, której dziś już nie ma, paląc papierosa.

– Coś się stało dzieciom? – spytał.

– Skąd wiesz?

– Powiedziano mi, że nagle wybiegłaś. Pomyślałem, że chodzi o dzieci.

– Łapanka. Zadzwonię do Himmlera.

Gdy z wściekłością wymówiłam nazwisko *Reichsführera-SS*, jakby musiał się przede mną tłumaczyć, nie zdawałam sobie sprawy ze śmieszności własnego zachowania. Ale nie byłam wtedy sobą: przeżywając koszmar swojego dzieciństwa, traciłam rozum, zamieniłam się w jeden wielki dygot.

Heinrich Himmler przebywał poza biurem, to było ostatnie miejsce na świecie, w którym można go było zastać. Z pewnością wyjechał na inspekcję do Rosji, Czech, na Morawy albo na Pomorze, nadzorować masowe egzekucje. Telefon odebrał jeden z adiutantów, niejaki Hans. Gdy przedstawiłam mu sytuację, rzucił równie oburzonym tonem:

– To skandaliczny błąd. Porozmawiam o tym z *Reichsführerem-SS*, jak tylko się z nim połączę. Władze francuskie mają dobre intencje, ale trzeba przyznać, że robią same głupstwa. Mylą kartoteki, mieszają nazwiska, powinny zdać się na nas...

Kiedy odłożyłam słuchawkę, wpadłam w ramiona Paula Chassagnona, który powiedział mi, że wieczorna zmiana w restauracji przebiegła w miarę dobrze, choć brakowało właściwie wszystkiego. W szczególności chleba:

– Mam to gdzieś! – wrzasnęłam, po czym przeprosiłam go i wybuchnęłam płaczem.

Umierałam. Długo umierałam. Wszyscy, którzy stracili dzieci, wiedzą, że jest jeszcze życie po śmierci. Wczepiłam się w to życie, by próbować je odnaleźć.

Obawiając się, że Himmler zadzwoni, gdy będę w drodze do domu, a potem nie podejmie drugiej próby, wolałam czekać na jego telefon w restauracji. Gdy Paul Chassagnon zaproponował, że ze mną zostanie, zgodziłam się: chciałam czuć blisko siebie jego mocne, owłosione ramiona. Zwłaszcza że z jego strony nie miałam się czego obawiać. Był homoseksualistą.

Położyliśmy się u stóp kasy, koło telefonu, na złożonych obrusach. Jego ręka spoczęła na moim brzuchu, co dobrze mi zrobiło, ale nie zmrużyłam oka przez całą noc. Zbyt wiele osób mnie odwiedzało: pod spuchniętymi od łez powiekami przesuwali się aż do świtu Garance, Édouard, Gabriel, moja matka, ojciec, babcia, rodzeństwo, wszyscy wciągnięci w wir podłości XX wieku.

Nadszedł świt, a Himmler nie oddzwonił.

Ofiary łapanki

Paryż 1942. Dnia 17 lipca, nazajutrz po obławie Vel d'Hiv, wróciłam otumaniona do domu, żeby się umyć, i przeraziłam się w łazience na widok swojej twarzy w lustrze nad umywalką. Przypominałam starą sowę z papier *mâché* z wielkimi fioletowymi worami pod oczami. Nie jestem zwolenniczką makijażu. Dotąd zadowalałam się odrobiną pudru ryżowego na policzkach.

Tym razem, gdy wypiliśmy kawę, zużyłam go całe tony. Trzymałam w szafce okrągłe pudełko podkładu Bourjois sprzed wojny, którego nigdy wcześniej nie otwierałam. Nałożyłam tak grubą warstwę pudru, iż odnosiłam wrażenie, że mam na twarzy maskę. Potem namalowałam sobie karminowe usta szminką, nie żałowałam też tuszu, którym pociągnęłam rzęsy, choć wiedziałam, że wkrótce spłynie pod wpływem letnich upałów.

Wiecie, jak bardzo jestem przesądna. Nie chciałam ryzykować: zanim odważyłam się zadzwonić do Himmlera, musiałam zrobić się na bóstwo, odmówić *Pater Noster*, założyć kolczyki w kształcie muszelek, które nazywa się w Prowansji „uszami Madonny”, i skropić sobie pierś wodą święconą, w której moczyła się gałązka werbeny.

Gdy połączyłam się z kwaterą główną Himmlera, adiutant powiedział mi, że *Reichsführer-SS* przeprosza, iż jeszcze nie oddzwonił, ale miał „bardzo ciężki wieczór”, a teraz jest na „bardzo ważnym spotkaniu” i skontaktuje się ze mną koło południa. Podałam Hansowi numer do La Petite Provence, obawiając się, że mógł go zgubić.

– Niech pani będzie spokojna – powiedział Hans z ironią w głosie. – Pani numery telefonu leżą na samym wierzchu na biurku *Reichsführera-SS*. Sam sobie je też zapisałem.

Gdy jechałam do pracy na rowerze, jak miałam w zwyczaju, wydawało mi się, że Paryż jest w żałobie. Na ulicach panował nastrój wielkiego

smutku. Im dłużej oddychałam, tym bardziej czułam się przybita. Potem, po aresztowaniu 12 884 Żydów, z których jedną trzecią stanowiły dzieci, w raporcie paryskiej prefektury policji opisywano osłupienie, jakie w tamtym dniu malowało się na wszystkich twarzach:

„Mimo że społeczeństwo francuskie jako takie przejawia raczej skłonności antysemickie, niemniej jednak surowo ocenia te działania, które uważa za nieludzkie”.

„Nie mogło pogodzić się z faktem – dodawano w raporcie – że matkom odebrano dzieci. Ci, którzy tego dnia słyszeli ich płacz, nigdy nie będą w stanie go zapomnieć”.

Gdy tylko przyszedłam do restauracji, Paul Chassagnon podbiegł do mnie i oznajmił, że najprawdopodobniej Gabriel jest z dziećmi w Vel d’Hiv, gdzie zawieziono bardzo wielu Żydów. Postanowiłam udać się tam z nim natychmiast po rozmowie z *Reichsführerem-SS*.

Z punktualnością, która stanowiła kolejny dowód dobrego wychowania, Himmler zadzwonił do mnie w samo południe.

– Może pani na mnie liczyć – powiedział, gdy przedstawiłam mu sytuację.

– Bardzo pana proszę – błagałam.

– Gdy pozna mnie pani lepiej, Rose, zrozumie pani, że należę do tych, którzy mówią, co robią, i robią to, co mówią. Niebawem do pani zadzwonię.

Zamknęłam restaurację i poprosiłam Paula, by poszedł na Vel d’Hiv, a ja siedziałam przy telefonie.

Heinrich Himmler zadzwonił koło szóstej po południu. Niczego nie udało mu się ustalić.

– Coś mi tu umyka – zaczął – a nie podoba mi się, gdy czegoś nie rozumiem: nazwisk pani byłego męża i dzieci nie ma w protokołach zatrzymania Żydów zagranicznych sporządzonych przez władze francuskie.

– Jaki stąd wyciąga pan wniosek?

– Żaden. Najwyraźniej zostali zatrzymani w ramach operacji „Wiosenny wiatr” prowadzonej w naszym imieniu przez Francuzów. Ponieważ są Żydami, należą do nas.

– Ale oni nie są Żydami!

– Uważa się ich za Żydów. Gdy ktoś miał przynajmniej dwoje żydowskich dziadków, a tak jest w ich przypadku, jest mischlingiem, to znaczy pół-Żydem, a więc Żydem. A zatem w normalnej sytuacji powinni podlegać naszej kompetencji.

– To w takim razie dlaczego nie może pan ich znaleźć?

– Byłbym skłonny winić za to słabą organizację służb francuskich. Nie wynika to z ich złej woli, ale ze zbytniego rozgorączkowania, zbyt dużego podniecenia, rozumie pani? Także zbyt pewności siebie. Mamy tu do czynienia z amatorami, a nie zawodowcami. Ciągłe są z nimi problemy.

– Sądzi pan, że ich aresztowano?

– Po Francuzach można się spodziewać wszystkiego, głównie najgorszego. Przy ich kompleksie wyższości uważają się za genialnych. Zawsze jako pierwsi rwą się do głosu. Ale jak trzeba przejść do czynów, nikt się nie kwapi. Nie potrafią się skoncentrować, działają na chybcika, tego nie da się zmienić. Czy pani były mąż i dzieci nosiły gwiazdę Dawida?

– Nie.

– Czy mieli pieczątkę „Żyd” wbity do dokumentów tożsamości?

– Też nie.

– Jeżeli są Żydami, którzy nie zarejestrowali się jako Żydzi, to może dlatego zgubiliśmy ich ślad...

Powtórzyłam Himmlerowi swoją rozmowę z komisarzem Mespoletem. Trzeba go przesłuchać: jeśli ktoś może wiedzieć, gdzie odnaleźć Gabriela i dzieci, to właśnie on.

– Pociągniemy go za język – powiedział – ale obawiam się, że to nic nie da: sedno tej sprawy tkwi bez wątplenia w błędach w nazwiskach i kartotekach. W takim przypadku odnalezienie ich może zająć trochę czasu. Zajmę się tym osobiście.

Ponieważ bałam się, że Himmler zadzwoni podczas mojej nieobecności, znowu spałam w restauracji z Paulem Chassagnonem, który przez kilka godzin kręcił się w okolicy Vel d'Hiv, starając się czegoś dowiedzieć o Gabrielu i dzieciach. Opowiedział mi o skargach, szlochach i śmiechu, po czym wybuchnął płaczem. Aby go pocieszyć, objęłam go, a potem pocałowałam. Gdy nasze wargi się złączyły, odurzył mnie smak gałki muszkatołowej w jego ustach. Ponieważ twierdził, że jest homoseksualistą, byłam pewna, że nie pociągnie to za sobą żadnych konsekwencji, ale wszystko potoczyło się niezależnie od naszej woli.

Zachwyił mnie sposób, w jaki mnie wziął, delikatnie i ostrożnie. Artysta gry wstępnej, umiejętnie pieścił i nie próbował robić niczego, nie pytając mnie o zgodę. Miał delikatność Gabriela, której potem nigdy nie odnalazłam już u nikogo. Właśnie z powodu Paula Chassagnona później tak często pociągali mnie homoseksualiści, miałam nadzieję, że zaznam z nimi tyle rozkoszy, ile on mi dał. Ale z żadnym mi się nie udało. Do tego potrzebna jest wojna lub wielkie nieszczęście.

Himmler zadzwonił nazajutrz wczesnym popołudniem. Zgodnie z jego informacjami, które – jak sprecyzował – wymagały jeszcze sprawdzenia, Gabriel i dzieci zostali wywiezieni ze stacji w Drancy. Twierdził, że przechwyci ich po drodze i oddawał do mojej dyspozycji samolot, abym przyjechała do Berlina, by razem z nim nadzorować poszukiwania.

Aby poczuć się pewniej, zabrałam ze sobą salamandrę w wielkim pudełku po herbatnikach, w którym mogła wyprostować ogon. Dobiegająca co najmniej ćwierćwiecza Teo zrobiła się olbrzymia. Dzięki Bogu, mogła liczyć, że pożyje jeszcze wiele lat. Potrzebowałam jej jak nigdy dotąd: stanowiła teraz całą moją rodzinę.

Wesz w stogu siana

Berlin 1942. Przy wyjściu z samolotu czekał na mnie Hans. Stał sztywny jak trup w mundurze SS. Dowiedziałam się później, że walczył na froncie rosyjskim w *Panzerdivision Wiking*, gdzie wykazał się walecznością i znalazł się pośród pięćdziesięciu pięciu żołnierzy odznaczonych Krzyżem Rycerskim Krzyża Żelaznego.

Gdyby nie straszna blizna przecinająca prawy policzek, Hans uchodziłby za przystojnego mężczyznę. Nadal nim był, ale tylko z lewej strony. Z drugiej wyglądał przerażająco: miotacz ognia zmasakrował mu całą twarz, policzek i ucho.

Kiedy zapytał, co mnie interesuje, odpowiedziałam:

- Bóg, miłość, kuchnia i literatura.
- A sport?
- Chciałabym zająć się nim bliżej.

Doradził mi, abym dbała o formę, uprawiając wschodnie sztuki walki, był gotów udzielić mi pierwszych lekcji. Zgodziłam się i pewnie dlatego, że coś mu dolegało, nie odezwał się już więcej, dopóki samochód nie zatrzymał się przed pięknym domem z szarego kamienia w centrum Berlina. To było służbowe mieszkanie *Reichsführera-SS*.

Nie wiedziałam wtedy jeszcze, że Himmler ma też inne domy. Mieszkanie w dzielnicy Berlina – Grunewaldzie, gdzie ulokował swoją kochankę Hedwig Potthast, którą potem, korzystając z funduszy partyjnych, przeniósł z ich dwójką dzieci w okolice Schönau, nad brzeg Königssee, gdy tymczasem jego ślubna żona kursowała między mieszkaniem w Berlinie a ich posiadłością w Gmund w Bawarii, gdzie żyła ich córka Püppi.

Hans oprowadził mnie po domu i pokazał mi mój pokój, po czym zaproponował przekąskę. Szampana i gravlax z plastrami wędzonego lub peklowanego łososia, z blinami i ze śmietaną.

– Wolałabym poczekać z jedzeniem na *Reichsführera-SS* – zaprotestowałam.

– Z *Reichsführerem-SS* nikt nie zna dnia ani godziny. To tytan pracy, nie wie, kiedy przestać. Może przyjść bardzo późno.

– Grzeczniej będzie poczekać – nalegałam.

– Poprosił, abym nakarmił panią natychmiast po przyjeździe. Jest bardzo prostym człowiekiem, zobaczy pani. Nie robi ceregieli, ale lubi, gdy się go słucha.

Przekąsiłam coś dla formy i zajęłam się Teo, a konkretnie poszłam do ogrodu, by z pomocą Hansa znaleźć dla niej kilka wołków zbożowych. Moja salamandra zjadła tylko jednego.

– Co się dzieje? – zapytałam Teo. – Jesteś obrażona?

– Nie podoba mi się to miejsce.

– To nie powód, żeby się głodzić.

– Szczerze mówiąc, naziści odbierają mi apetyt.

– A ja kocham życie, Teo, i nic nigdy nie przeszkodzi mi go kochać: ani mężczyźni, ani nawet naziści!

Zamknęłam pudełko i zasnęłam na łóżku.

– Jak minęła podróż?

Po trzech godzinach obudził mnie piękny męski głos Himmlera. Pochylał się nade mną i moje nozdrza łaskotał jego kwaśny oddech.

– Cieszę się, że panią widzę – szepnął.

– Ja też. Czy dowiedział się pan czegoś nowego?

– Tak – powiedział, prostując się. – Chyba wiemy, gdzie są pani dzieci: w pociągu, który skierowaliśmy na boczny tor niedaleko Stuttgartu. O tej porze nasze służby powinny go przeszukiwać. – Spojrzał mi prosto w oczy. – Ale, uwaga, proszę się jeszcze nie cieszyć. To tylko pewien trop.

– A Gabriel?

– Szukamy go.

Oświadczył, że jest głodny i idzie do kuchni sprawdzić, czy w lodówce jest coś do jedzenia. Poszłam z nim i zaproponowałam, że zrobię mu

makaron z wędzonym łososiem.

Spytałam, czy będę mogła pojechać do Stuttgartu. Himmler odpowiedział mi z nutą irytacji w głosie:

– Jak tylko odnajdziemy pani dzieci.

Wiedziałam, że lepiej zmienić temat, ale nie mogłam się powstrzymać, by nie zadać mu kolejnego pytania:

– Jest pan optymistą?

– Pesymizm do niczego nie prowadzi, to choroba ludzi zbędnych i pasożytów. Wykazujemy wolę, to najważniejsze. A więc uda się nam.

– A Gabriel?

– Nie mogę zrobić więcej, niż już zrobiłem.

Zaczynałam go irytować. Zaproponował mi piwo, po czym wypił dwie butelki i wydał dziwny dźwięk: jakby kota napastowały psy bądź podobne zwierzęta. Z tym że jego twarz jaśniała szczęściem.

– Czy pamiętała pani o swoich magicznych pigułkach? – spytał.

– Przywiozłam zapas na kilka miesięcy.

– Dziękuję, Rose. Jest pani niezawodna.

Reichsführer-SS zbliżył się do mnie. Sądząc, że mnie pocałuje, zadrżałam jak owca na widok noża, ale poklepał mnie tylko po przyjacielsku po policzku. Dygotałam ze strachu, a jednocześnie przepełniała mnie wdzięczność.

Wiedziałam, czego chce, ale należał do mężczyzn, którym się nie spieszy. Nie opierał się niczemu, z wyjątkiem pokusy. Gdy rosła, usztywniał się: słowa i gesty przychodziły z opóźnieniem. Tym lepiej.

Inicjatywa należała do mnie, a ja rzecz jasna nie miałam zamiaru nic robić. Hans powiedział mi, że będziemy spać w dwóch sąsiadujących pokojach na pierwszym piętrze. Wiedziałam teraz, że mogę spać spokojnie: nie miałam się czego obawiać ze strony Himmlera.

Odkaszlnął, po czym zapytał, gdy krzątałam się przy garnkach, czy po rozwodzie miałam romanse. Zapominając o Paulu Chassagnonie, skłamałam zdecydowanym głosem:

– Nie, to budziłoby mój niesmak...

– Jest pani prawdziwą kobietą. Goethe powiedział na ten temat wszystko, gdy stwierdził, że mężczyzna jest z natury poligamistą, a kobieta monogamistką.

Podkradł mi trzy kawałeczki łososia i delektował się nimi w równej mierze jak swoim cytatem.

– Dla nas, mężczyzn – mówił dalej – sensem życia są podboje. A dla was, kobiet, obrona. Rodzina, dzieci, oszczędności.

Gdy powiedziałam, że przywiozłam mu niespodziewanego gościa, moją jaszczurkę Teo, Himmler się uśmiechnął:

– Uwielbiam zwierzaki. Proszę mi ją pokazać.

Kiedy mu ją przyniosłam, oznajmił:

– To zwierzę potrzebuje wody.

– Czuwam nad tym. Teo korzysta z kąpieli kilka razy dziennie.

– Jutro podaruję jej akwarium. To piękne zwierzę. Franciszek I umieścił ją w swoim herbie. Szkoda, że tak często jest kojarzona z narodem żydowskim z uwagi na swoją lepkość.

Trzymał Teo w ręce, a ja wróciłam do garnków. Gdy makaron się ugotował, odcedziłam go, a potem zaczęłam podgrzewać w garnku z pokrojonym w kostkę wędzonym łososiem, sokiem z cytryny, oliwą z oliwek, łyżką musztardy, łyżką śmietany, tartym serem gruyère i zgniecionym ząbkiem czosnku, który poddusiłam na patelni. Dodałam soli i pieprzu, po czym zaserwowałam danie z kilkoma świeżymi gałązkami kopru znalezionymi w lodówce w pojemniku na warzywa.

Po pierwszym kęsie Himmler westchnął z zadowoleniem, przypominało to miłosny jęk kochanka. Przy drugim, a potem przy trzecim zrobił to samo.

Przy czwartym zaproponował, patrząc mi prosto w oczy:

– Mam pewien pomysł. Może zostałyby pani tutaj w charakterze kucharki? To będzie dobra przykrywka: przecież to pani zawód i dzięki temu unikniemy plotek w trakcie naszych poszukiwań, które mogą okazać

się długie, z powodu olbrzymich przemieszczeń ludności w całej Europie.

– Ale powiedział pan przed chwilą, że sądzi, iż zlokalizował moje dzieci.

– Powtarzam pani, że to tylko pewien trop i dotyczy jedynie dzieci.

Nasze polowanie może trwać długo. To tak jakby szukać wszy w stogu siana.

Dlaczego powiedział wszy, a nie igły?

Człowiek, który jadł zupę z diabłem bez długiej łyżki

Berlin 1942. Następnego ranka zeszłam do kuchni bardzo wczesnie, żeby zrobić śniadanie. Poprzedniego dnia Himmler powiedział mi, że lubi pływające naleśniki z rumem. Wszystko było gotowe, ciasto i butelka, gdy pojawił się w kuchni mniej więcej za kwadrans szósta, ubrany i ogolony, zachwycony, oszołomiony jak krowa, która się cieli.

Znałam odpowiedź, ale mimo wszystko zadałam mu pytanie:

– Czy dobrze pan spał?

– Wcale nie spałem, ale to bez znaczenia. Czytałem i pracowałem. Będę miał masę czasu, by się wyspać, gdy wygramy wojnę. W nocy kilka razy dzwonił telefon, czy to pani nie przeszkadzało?

– Spałam jak suseł – skłamałam.

Czytając w moich myślach, oświadczył:

– Nadal nie mam żadnych wiadomości o pani rodzinie.

Po czym *Reichsführer-SS* zaczął skarżyć się na żołądek, który strasznie go bolał w nocy. Cierpiał na skurcze i stale leczył się u estońskiego masażysty, „z pochodzenia Niemca”, ucznia wielkiego tybetańskiego mistrza, doktora Kô. Nazywał się Felix Kersten i wcześniej opiekował się kilkoma członkami holenderskiej rodziny królewskiej: „wspaniały człowiek”.

– Przychodzi dziś wieczorem na kolację – powiedział Himmler. – Jestem pewien, że zostaniecie przyjaciółmi. Oboje należycie do coraz rzadszego gatunku prawdziwych ludzi.

Gdy spytałam, czy to rozsądne, by jadł naleśniki, które właśnie przygotowywałam, skoro cierpi na bóle brzucha, *Reichsführer-SS* ironicznie zaprotestował:

– Nieludzkim byłoby ich sobie odmawiać.

Zanurzył palec w cieście naleśnikowym, oblizał go, a potem oświadczył:

– Jeżeli nie uda mi się strawić naleśników, poproszę Felixa, żeby naprawił szkody. Jego ręce potrafią uśmierzyć straszne bóle, na które nie pomaga nawet morfina. Nieraz ataki są tak silne, że mdleję: przypomina to raka w najbardziej rozwiniętym stadium, na przykład raka ślinianek, na którego cierpiał mój ojciec. Czy pani sądzi, że też może mi pomóc za pomocą roślin leczniczych?

Pokiwałam głową: ulgę mogła mu przynieść cała masa roślin. Na przykład anyż, koper ogrodowy, kolendra i koper włoski, bardzo skuteczne na gromadzenie się gazów.

– Nie mam gazów – stwierdził.

– Wszyscy mają. Ale jeśli to bóle żołądkowe czy jelitowe...

– Z tym właśnie mam problem.

– No więc w takich przypadkach ulgę może przynieść melisa i mięta pieprzowa. Przygotuję panu pigułki.

Idąc za ciosem, zaleciłam mu, by zmienił dietę i usunął z niej tłuszcze, surowe warzywa, owoce i sery.

– Co w takim razie będę jadł? – spytał z rozpaczą.

– Ryż, makaron, purée.

– Żeby naśladować Führera, mówię, że jestem wegetarianinem, ale sama pani widzi, jak to na niego wpływa: w jego diecie jest coś, co bardzo go osłabia, nie może już tego znieść, przykro na niego patrzeć. Żeby dobrze się czuć, człowiek potrzebuje żelaza, a żelazo jest w mięsie. Czasami je jem, ale dyskretnie.

– Mięso nie służy zdrowiu. Przynajmniej na początku radzę panu ograniczyć się do chudych ryb i gotowanych jarzyn.

– A grochówka? Uwielbiam grochówkę!

– Będzie pan musiał unikać suszonego grochu.

Po wyjściu Himmlera spędziłam resztę dnia, przygotowując kolację. Nie miałam zresztą nic innego do roboty, z wyjątkiem zamartwiania się o Gabriela i o dzieci.

Gdy ułożyłam menu, poszłam na zakupy z trzema żołnierzami SS,

którzy pilnowali domu. Ulice i sklepy w Berlinie przeżywały atak roju podekscytowanych bzyzcących much, które robiły wrażenie wygłodniałych i zadowolonych się wszystkim, nawet potem oblewającym mi twarz.

– Nigdy nie widzieliśmy czegoś podobnego – westchnął jeden z żołnierzy.

– Może to znak – zasugerowałam. – Albo kara.

Nie zareagował. W południe weszłam do kuchni i opuściłam ją dopiero późnym popołudniem, gdy kolacja, poza głównym daniem, była gotowa.

Na początek kilka przystawek: ciasto oberżynowe, faszerowane karczochy, duże krewetki z bazylią.

Potem danie główne: dorsz z czosnkiem, mlekiem i anyżem.

Wreszcie seria deserów: tarta jabłkowa bez ciasta, suflet lukrowany z Grand Marnier, płonące brzoskwinie z wiśniówką.

Muszę przyznać, że na widok moich dań na kuchennym stole zalała mnie fala szczęścia, którego nic nie uzasadniało, bo przecież dwadzieścia cztery godziny po przyjeździe do Berlina nadal nie miałam żadnych informacji o Gabrielu i dzieciach. Gdy nic się nie układa, nie ma lepszego lekarstwa na smutek niż gotowanie, każda kobieta o tym wie.

*

Felix Kersten przyszedł o 20.00. Na wstępie przeprosił, że zjawił się punktualnie. Był człowiekiem, który czuł potrzebę, by wybaczano mu błędy, których nie popełnił.

Tak jak poprzedniego wieczora Himmler wrócił bardzo późno i czekając na niego, mieliśmy czas porozmawiać. Doktor Kersten był gruby i ciągle się pocił, a jednak ubrania zdawały się na nim wisieć. Dyszał jak wół i bez przerwy drapał się po twarzy, brzuchu i udach, jakby coś go swędziało, albo wkładał ręce do kieszeni i macał bądź miętosił papiery, które w nich trzymał.

Jeżeli dodać do tego, że przepędzał z wściekłością muchy, masażysta *Reichsführera-SS* cały czas był w ruchu.

– Jest pani nazistką? – spytał, gdy tylko się przedstawił.

– Nie, przyjechałam w poszukiwaniu dzieci i byłego męża, którzy zostali wywiezieni.

– Bardzo miło mi panią poznać – powiedział, ściskając mi dłoń. – Ja też nie jestem nazistą. Ale proszę pamiętać, że o ile Himmler jest wręcz zaciekłym nazistą, o tyle można mu zaufać, gdy chodzi o sprawy osobiste. Doświadczyłem tego. – Ściszył głos, po czym dodał: – Sądzę, że zawsze jest skłonny podzielać zdanie ostatniej osoby, którą słyszał. Jeżeli wychodzi z gabinetu Hitlera, może to stanowić pewien problem. Ale gdy widzi się ze mną, wówczas sytuacja się zmienia...

Wuj Alfred Bournissard często mawiał, że „bohatera trudno odróżnić od zera”. Felix Kersten był żywym ucieleśnieniem tej zasady. Gdy go po raz pierwszy zobaczyłam, sprawiał wrażenie roztrzepanego i chaotycznego, nigdy nie sądziłabym, że będzie później uważany za jedną z najbardziej niezwykłych postaci II wojny światowej, a jeden z najwybitniejszych historyków tego okresu, H.R. Trevor-Roper, uznał go wręcz za świętego.

Doktor Kersten był w istocie kimś w rodzaju świeckiego świętego, zdolnego jeść zupę z diabłem bez długiej łyżki, aby wyciągać od niego ludzkie życia. Dzięki dłoniom masażysta zawładnął umysłem Himmlera i uzyskał od swojego pacjenta wiele rzeczy, zwłaszcza gdy ten cierpiał. Po wojnie, po zaciekłych dyskusjach ustalono, że w 1941 r. oszczędził trzem milionom Holendrów zwanych „nieprzejechanymi” deportacji do Galicji i na Ukrainę. Poza tym Światowy Kongres Żydów uznał oficjalnie, że ocalał 60 000 Żydów. Nie mówiąc o wszystkich więźniach czy skazanych na śmierć, których zdołał wydobyć ze szponów III Rzeszy.

Doradził mi, żebym nie ufała nikomu poza nim i Rudolfem Brandtem, sekretarzem Himmlera, „człowiekiem bez osobowości, ale porządnym facetem”.

– Właściwie – powiedział – aby to wszystko znieść, nie pozostaje nic innego jak pić.

Po czym poprosił o aquavit. Podałam mu go w dużym kieliszku, zanim wyruszyłam z packą na muchy.

Rozwalony w fotelu prawil mi słodkim głosem komplementy, patrząc na mnie zakochanym wzrokiem. Był przyciężki, ale działało to na mnie kojąco.

Wypił jeszcze trzy lub cztery kieliszki i gdy koło 23.00 zjawił się *Reichsführer-SS*, doktor był już podchmielony. Nie stanowiło to jednak żadnego problemu. Himmler nie oczekiwał, że będziemy bawić go rozmową: zawsze mówił on sam. W czasie kolacji wygłosił nam wykład o poświęceniu i honorze, posługując się budującym przykładem Fryderyka Wilhelma I, króla pruskiego w latach 1713–1740, który po drastycznym obcięciu wydatków dworu żył skromnie w dwóch wiejskich rezydencjach.

„Monarcha-żołnierz” zreformował Prusy, zreorganizował państwo i rozwinął armię, dwukrotnie zwiększając jej liczebność. Gdy jego syn, przyszły Fryderyk II, zwany potem Wielkim, człowiek odcytany, którego odstręczał brak encyklopedycznej wiedzy ojca, próbował uciec do Anglii, bez wahania uwięził go w fortecy i kazał ściąć na jego oczach jego przyjaciela Hansa Hermanna von Katte’ego. „Gdy chodzi o bliskich – zakończył Himmler z ustami pełnymi sufletu z Grand Marnier – należy karać rzadko, ale sprawiedliwie i surowo”.

*

Mijały dni, a potem tygodnie. Nadal nie miałam informacji o Gabrielu ani o dzieciach. Heinrich Himmler zdawał się zmartwiony, sądzę, że czuł się głównie upokorzony tym, że on, książę policji, nie może załatwić mojej sprawy.

Od czasu do czasu do domu wpadał adiutant Hans i zgodnie z obietnicą zaznajamiał mnie z technikami samoobrony, zwanymi dzisiaj krav maga, jakich w młodości nauczył go żydowski przyjaciel, kolega z uniwersytetu pochodzący z Bratysławy, od którego dawno nie miał żadnych wieści.

Chodziło o metody samoobrony opracowane przez słowackich Żydów, którzy posługiwali się nimi w latach trzydziestych, żeby bronić się przed ligami faszystowskimi i antysemitkami. Polegały one na bardzo szybkim zaatakowaniu ręką bądź jakimkolwiek przedmiotem w jej zasięgu

najbardziej wrażliwych części ciała wroga: oczu, karku, gardła, kolan i genitaliów, nie narażając się na żadne ryzyko.

– Tak jak w życiu – powtarzał Hans. – Wszelkie ciosy są dozwolone.

Przyzwyczałam się do jego podwójnej twarzy, z jednej strony Adonisa, z drugiej – Frankensteina. Fascynowała mnie rana, która pozbawiła go sporej części ramienia, w okolicy łokcia. Coś mnie w nim pociągało.

Któregoś dnia, pewnie z powodu zakazu Himmlera, Hans przestał przychodzić do domu. Byłam tym zasmucona i gdy spytałam, co stało się z moim zalotnikiem o pokiereszowanej twarzy, *Reichsführer-SS* wydał się speszony:

– Wyjechał z misją – odpowiedział.

Zdawałam sobie sprawę, że *Reichsführer-SS* czuje do mnie słabość, ale nie zdradzał swoich uczuć. Kiedyś na kolację przyszedł jego brat, Gebhard. Himmler najwyraźniej bardzo się cieszył, że go widzi, a ja w kuchni dałam z siebie wszystko: przedmiotem niemilknących zachwytyłów stało się w szczególności ciasto oberżynowe.

Przed pójściem spać *Reichsführer-SS* zaproponował mi, żebyśmy przeszli się razem po ogrodzie; zrozumiałam, że ma mi coś ważnego do powiedzenia.

Niedawno w Berlinie padało i wszystko się zazieleniło. W powietrzu czuło się zapach ciepłej trawy. Lubiłam tę woń; napełniała mnie szczęściem, ale także nostalgią: tę samą czuło się w Sainte-Tulle, gdy ulewy odświeżyły ziemię, a ona na nowo zaczynała żyć.

Himmler poprosił, bym usiadła na kamiennej ławeczce, a potem powiedział natchnionym tonem, błędząc wzrokiem po rozgwieżdżonym niebie:

– Bardzo mi przykro, że nasze poszukiwania tak się przedłużają. Gdybym miał złożyć samokrytykę, powiedziałbym, że chcąc wytyczyć na nowo demograficzną mapę Europy, działaliśmy z Adolfem Hitlerem zbyt szybko i na zbyt dużą skalę. To, czego dokonaliśmy, jest wyczynem nadludzkim, ale niedostatecznie przygotowaliśmy przemieszczenia

ludności.

– Ale mimo wszystko jest jakaś szansa na odnalezienie mojej rodziny?

– Mam nadzieję.

Siedząc po mojej lewej stronie, Himmler ujął moją prawą dłoń i pogłaskał jej środek palcem wskazującym. To była pierwsza poważna próba od mojego przyjazdu: moje ciało drżało jak truchło świeżo zabitego zwierzęcia.

– Jak pani to robi, że jest pani tak zachwycająca? – szepnął, przybliżając odrobinę swoją twarz. – Gdy jestem z panią, nie wiem, co się ze mną dzieje, ale...

Nie skończył zdania. Wolałam zmienić temat rozmowy:

– Nie ma pan nowych tropów?

Czułam, że go drażnię, jednak dalej pieścił mi dłoń, nucąc piosenkę, której nie znałam. Drżąca i zrezygnowana, pomyślałam sobie, że nadszedł moment, którego tak się obawiałam, ale podniósł moją dłoń do warg i złożył na niej delikatny pocałunek, po czym uwolnił ją z uścisku.

– Cały czas zadaje pani to samo pytanie. Odpowiem na nie, gdy dowiem się czegoś więcej. Pani były mąż i dzieci są siłą rzeczy gdzieś na naszym kontynencie, który w wyniku sytuacji ogólnej zamienił się w jeden wielki burdel. Proszę wziąć pod uwagę, że w ciągu kilku miesięcy przenieśliśmy masy ludzi pochodzenia niemieckiego do Rumunii, Besarabii, Rosji, na Litwę i do wielu innych krajów. To samo dotyczy Żydów. Mamy z nimi naprawdę krzyż pański. Ach, ci Żydzi...

– Nic nie usprawiedliwia tego, co z nimi robicie – odważyłam się mruknąć, myśląc o Teo, która, gdyby mnie słyszała, byłaby ze mnie dumna.

Himmler znowu chwycił mnie za rękę, ścisnął ją bardzo mocno, po czym stwierdził:

– Mówi pani jak Felix, daje się pani otumaniać ich propagandzie. Proszę nas zrozumieć. Zamiast pozwalać Żydom zatruwać duszę europejską, postanowiliśmy rozwiązać ten problem. Wie pani, nie ma

sensu próbować germanizować Żydów. To oni nas zażydzają. Nie zmienimy ich, zawsze będą na zółdzie żydowskiego imperium, swojej jedynej prawdziwej ojczyzny, która przystąpiła do likwidacji naszej cywilizacji. Wiem, że nasza polityka jest okrutna, ale chodzi o ocalenie rasy niemieckiej. Wolałbym, żebyśmy pozwolili im utworzyć własne państwo, daleko stąd, ale pod naciskiem Goebbelsa Führer postanowił inaczej, a – mówię to bez ironii – Führer ma zawsze rację...

Himmler wydawał się coraz bardziej rozgorączkowany. Może ten stan wywoływała po części miłość, a po części rozkosz mówienia, z którą nic nie mogło się równać. Nawet martwy, zamknięty w trumnie, nadal by perorował. Syn dyrektora słynnego Gimnazjum Wittelsbachów w Monachium zaczynał jako hodowca kur, ale w głębi duszy był nauczycielem i żeby sprawić mu przyjemność, zachowywałam się jak gorliwa uczennica. Był mordercą, ale także pedagogiem. Tego wieczoru wygłosił mi wykład z historii o Karolu Wielkim:

– Z punktu widzenia patrioty mam wszelkie podstawy, żeby go potępić. Wyróżnął Sasów, którzy byli przecież najczystszyimi przedstawicielami rasy niemieckiej. Ale dzięki temu mógł zbudować imperium, które stawiało opór azjatyckim hordom. Proszę nigdy o tym nie zapominać, Rose: często w historii Zło tworzy Dobro.

Pocałunek Himmlera

Bawaria 1942. W Gmund Himmler pocałował mnie po raz pierwszy, był to pocałunek lekki jak motyl, ledwie zarysowany, a już zakończony.

Ze wszystkich miast, które odwiedziłam, Gmund jest bez wątpienia jednym z najbardziej czystych, chciałoby się wręcz powiedzieć odpicowanych. Za czasów nazistów, tak zresztą jak zawsze, przypominało z daleka skupisko lśniących domków dla lalek, starannie poukładanych nad Tegernsee, jeziorem u stóp gór porośniętych świerkami.

Spędziliśmy sześć dni w willi Himmlera z częścią jego rodziny, a w szczególności z jego ślubną żoną, Margą, starą, kwaśną jak ocet klepą, która miała za złe całemu światu, że mąż ją zdradza, oraz ich trzynastoletnią córką, Gudrun, zwaną Püppi, nazistowską zarazą z warkoczami blond, która tak jak jej ojciec cierpiała na bóle brzucha.

Czarny strażnik w mundurze SS i w kasku nie chodził za mną jedynie wtedy, gdy spacerowałam w towarzystwie Himmlera. *Reichsführerowi-SS* zależało na naszej intymności, jak mawiał z porozumiewawczym uśmiechem. Ciągle miał jedno w głowie, ale bez przerwy odkładał to do jutra.

Tamtego wieczoru, gdy Püppi poszła spać, Himmler zaprowadził mnie do lasu i przez całą naszą długą przechadzkę w świetle księżyca opowiadał mi o Fryderyku II, zwanym Wielkim, „królu-filozofie”, synu Fryderyka Wilhelma I, „monarchy-żołnierza”, nad którym rozwodził się już wcześniej.

W czasie bardzo długiego panowania (1740–1786) Fryderyk Wielki uczynił małe, rozdrobnione królestwo wielką potęgą, anektując Śląsk i kawałek Polski. Mimo że był człowiekiem wykształconym, umiał mówić do żołnierzy, na przykład pewnego dnia, gdy w popłochu uciekali, spytał ich: „Psy, czy chcecie żyć wiecznie?”.

– Fryderyk Wielki – powiedział Himmler, biorąc mnie pod ramię – miał

tę stanowczość i stałość, której nam później tak bardzo brakowało. Tak jak ja nigdy nie zdawał się na przypadek i osobiście zajmował się wszystkim, nawet kwestiami drugorzędnymi. To są właśnie Prusy.

– Tak Prusy stały się Prusami – usłużnie się zgodziłam.

– Ale Prusy ciągną za sobą kulę u nogi: Bawarię. Prusacy i Sasi zawsze będą górować nad Bawarczykami, wie pani, mówię to jako Bawarczyk.

– Dlaczego?

– Bo mają jasne oczy i blond włosy, a nasze są niestety czarne jak śmierć. To rodzaj przekleństwa, wiem, co mówię. Nakłada ono na nas, Bawarczyków, bezwzględny obowiązek, by bardziej się starać i nie wahać się w obliczu poświęceń w imię germańskiego ideału. Tak bardzo chciałbym być w typie nordyckim jak pani. Czy ktoś już pani mówił, że nie można się pani oprzeć?

Nagle *Reichsführer-SS* mocno ujął moją głowę dwoma rękami i pocałował mnie, jakby musnął wargami, po czym wziął głęboki oddech i wycisnął na moich ustach drugi pocałunek, który wydał mi się bardzo długi. Pogodziłam się z losem i oczami wyobraźni widziałam już, jak na ściółce, na łożu z liści i mchu bierze mnie jedna z kluczowych postaci tamtych czasów, która może uratuje moje dzieci, ale Himmler nagle cofnął wargi:

– Wybacz pani, ale sądzę, że jesteśmy nierozsądni.

– To prawda.

Postanowiłam zawsze się z nim zgadzać, ale tym razem zgadzałam się naprawdę...

– Żyję teraz w ciągłym stresie – przeprosił.

W drodze powrotnej chwycił moją dłoń, a ja ścisnęłam jego rękę. Po sześćdziesięciu latach, gdy sprawa uległa przedawnieniu, mogę wyznać, że miałam ochotę krzyknąć mu w twarz:

– Niech pan bierze, korzystaj, to nic nie kosztuje, to głupota, absurd: to tylko miłość.

Opętana myślą o losie Gabriela i dzieci byłam gotowa całkowicie się

upodlić, byle mi ich odnalazł. Choćby nie wiadomo jak bardzo był obrzydliwy, nie mogłam zmarnować tej szansy.

*

Bez wątpienia Himmler wiedział, co się stało z Gabrielem i dziećmi, ale udawał, że czeka jeszcze na wyniki poszukiwań, gdy z drzew opadły pierwsze liście, zapowiadając jesień.

Kiedy po raz ostatni poruszyłam z nim ten temat, trochę się zdenerwował. Od tamtej pory unikałam takich rozmów. Wreszcie zrozumiałam powód: gdyby powiedział mi prawdę, wróciłabym do Paryża. A z jego punktu widzenia nie mogło być mowy o moim wyjeździe. Nie był już w stanie się beze mnie obejść: dzięki mojej diecie i pigułkom czuł się znacznie lepiej, ale nadal korzystał z usług doktora Kerstena.

Któregoś wieczoru Himmler powiedział mi, że zanim pojawiłam się w jego życiu, myślał, iż skurcze żołądka mają u niego charakter psychosomatyczny, ale ja udowodniłam mu coś wręcz przeciwnego. Była to częściowo kwestia diety, aczkolwiek nie przeczył, że jego kłopoty zawsze odbijają się w ten czy w inny sposób na żołądku – jego słabym punkcie.

– Jest pani moją drugą podporą – powiedział – obok doktora Kerstena. Nie wiem, co bym bez pani zrobił.

Nie wystarczały mi jego komplementy. Himmler wiedział, że nie zadowolę się już długo przygotowywaniem kolacji w domu, w którym sypiał zaledwie dwa, trzy razy w tygodniu. W grę wchodziło moje zdrowie psychiczne.

Dlatego mianował mnie doradcą w swoim sztabie, powierzył mi koordynację prac prowadzonych w centrum badań nad żywieniem w okolicach Salzburga oraz w laboratorium kosmetyków i higieny ciała niedaleko Dachau. Dzięki temu miałam prawo podróżować – rzecz jasna pod eskortą.

Za jednym zamachem Himmler wcisnął mnie także *Standartenführerowi* Ernstowi-Güntherowi Schenckowi, inspektorowi do spraw żywienia Waffen SS, i poprosił, abym czuwała nad przestrzeganiem

noty dotyczącej sposobu żywienia żołnierzy, którą wysłał zarówno do niego, jak i do szefa administracji, *Obergruppenführera* Oswalda Pohla.

Dobrze znałam tę notę, i to nie bez powodu. Zredagowałam ją z Himmlerem w nocy z 11 na 12 sierpnia 1942 roku. Zalecano w niej między innymi:

- grillowanie chleba dla żołnierzy, by łatwiej go było strawić,
- zwiększenie przydziału orzechów, owoców pestkowych i płatków owsianych,
- „stopniowe, dyskretne i rozsądne” ograniczanie spożycia mięsa, aby odzwyczaić od niego przyszłe pokolenia.

Właściwie napisał ją pod moje dyktando, choć kwestionował konieczność jedzenia owoców pestkowych, które jemu osobiście szkodziły. Ale Himmler, reżyser ostatecznego rozwiązania, był człowiekiem bez charakteru. Tracił fason przy najdrobniejszej lekceważącej uwadze Hitlera i rzadko kwestionował opinię doktora Kerstena czy moją.

Dlatego, przykro mi, ale nie zgadzam się z Hannah Arendt, filozofką, której dzieła czytam do poduszki, gdy określiwszy Himmlera mianem nieuka i filistra, stwierdza, że był „najbardziej normalny” spośród wszystkich nazistowskich dowódców. Bez wątpienia *Reichsführer-SS* wyróżniał się na tle paranoików, podejrzanych gości, histeryków, sadystów, od których roiło się w wyższych sferach nazistowskiego państwa, ale był cherlawym nieborakiem, chucherkiem, słabym na ciele i umyśle, jakich mało spotkałam w swoim ponadstuletnim życiu. Czy to miał być normalny mężczyzna?

Akta Gabriela

Berlin 1942. Któregoś wieczoru Heinrich Himmler wrócił z grubą teczką, którą bez słowa wręczył mi uroczyście, gdy przygotowywałam w kuchni *fondant au chocolat*. Umyłam ręce i przeczytałam z bijącym sercem notatki, które zawierała, zaczynając od najdłuższej, podpisanej przez Claude'a Mespoleta.

Raport dla Prefekta Policji

„Gabriel Beaucaire jest podejrzanym osobnikiem, który przez ponad piętnaście lat skutecznie udawał patriotę przywiązanego do wartości naszej cywilizacji, podczas gdy potajemnie pracował dla kapłanów Dwunastu Plemion i diabelskiej Ligi do Walki z Antysemityzmem. Jako siostrzeniec żony nieodżałowanego Alfreda Bournissarda potrafił wykorzystać kontakty wuja, aby przeniknąć do środowisk narodowych.

Dnia 11 maja 1941 roku uczestniczył na przykład w inauguracji Instytutu Badań nad Kwestiami Żydowskimi, przy rue de La Boétie 21, gdzie nie miał nic do roboty, podobnie jak wydawca Gilbert Baudinière, którego ostro zaatakował przyszły prezes Instytutu, kapitan Paul Sézille, z uwagi na jego co najmniej podejrzaną haczykowatą nos.

Dnia 5 września 1941 Gabriel Beaucaire wśliznął się między osobistości zaproszone na inaugurację wystawy „Żyd i Francja” zorganizowanej przez Instytut Badań nad Kwestiami Żydowskimi w Palais Berlitz. Warto w tym miejscu jeszcze raz przypomnieć, że wystawę tę odwiedziło 250 000 osób w Paryżu i około 100 000 w Bordeaux i w Nancy. Pod pseudonimem Francis Aicard pisze szalenie pochlebną recenzję z wystawy dla pisma «La Gerbe», z którym regularnie współpracuje, utrzymując, że naprawdę nazywa się Frémicourt, co pozwala mu uchodzić za krewnego pierwszego ministra sprawiedliwości Marszałka.

Choć cieszy się niezrozumiałym poparciem niektórych kręgów związanych z rewolucją narodową, jest bezsprzecznie izraelickim

agentem, o czym świadczą jego relacje z czcicielami Adonai, z którymi utrzymywał lub nadal utrzymuje kontakty w środowisku dziennikarskim przechodzącym wreszcie proces aryżacji: należy tu w szczególności wymienić Żydów takich jak Offenstadt, Boris, Berl, Cotnaréanu i Schreiber.

Korzenie żydowskie Gabriela Beaucaire' a nie budzą wątpliwości, ponieważ zgodnie z załączonym dokumentem jego dziadkowie ze strony matki należeli do gminy żydowskiej w Cavailon. Ten zawodowy szalbierz kwestionuje jednak bezczelnie wiarygodność wszystkich dowodów potwierdzających jego żydostwo. Wielki dziennikarz Jean-André Lavisie jako pierwszy zdemaskował go w artykule w piśmie «L'Ami du peuple», na który ten bezwstydnny osobnik śmiał zareagować, wnosząc sprawę do sądu.

W ramach postępowania, które niemożebnie się wlecze, zwróciłem się o pogłębioną ekspertyzę do profesora antropologii George'a Montandona, który – nawiasem mówiąc – wspaniałomyślnie odmówił przyjęcia wynagrodzenia. Przekazuję ją Panu w aktach sprawy, przekona się Pan, że jest bezapelacyjna.

Po długim śledztwie udało nam się wreszcie zlokalizować tego niebezpiecznego osobnika. Czekam na Pana instrukcje. Jeżeli ich nie otrzymam, każę go aresztować jutro wczesnym rankiem”.

Ekspertyza doktora George'a Montandona, profesora w Szkole Antropologii

„Po zbadaniu Gabriela Beaucaire' a potwierdzam, że należy do typu żydowatego i ma jego najbardziej charakterystyczne cechy:

- silnie wypukły nos z powiększoną przegrodą nosową u dołu,
- usta z wydatną dolną wargą,
- wilgotne, głęboko osadzone oczy,
- dość wyraźny obrzęk miękkich części twarzy, w szczególności policzków.

Dodaję inne cechy, które wymieniłem w swoim dziele *Jak rozpoznać Żyda*:

- lekko zgarbione ramiona,
- szerokie, otłuszczone biodra,
- szponiaste gesty,
- niedbały krok.

Z antropologicznego punktu widzenia osobnik ten jest więc w 100% Żydem”.

Co rozumiał profesor Montandon przez słowo „żydowaty”? Czy to błąd maszynowy? Nowe określenie? Zastanawiałam się nad tym, podczas gdy stojący za mną *Reichsführer-SS* czytał mi przez ramię i czułam na karku jego oddech. Od czasu do czasu wzdychał na znak współczucia.

Pozostałe dokumenty nie były szczególnie interesujące. Notatki ze śledztwa. Protokoły z podsłuchów telefonicznych. Raporty policyjne. Przeglądałam to wszystko nerwowo, a później, gdy łyzy przesłoniły mi wzrok, odłożyłam akta na stół kuchenny i opadłam na krzesło, wybuchając płaczem, po czym spytałam:

– Co to oznacza? Myśli pan, że już nigdy nie odnajdzie Gabriela?

– Wiem tyle samo co pani. Nie mogłem nic wyciągnąć od głupiej francuskiej policji.

– A dzieci? – łkałam.

– Tak samo. Zrobiłem, co się dało, Rose. Straciliśmy ich ślad.

Też usiadł i położył swoją rękę na mojej:

– Proszę pamiętać, że jestem z panią. Całym swoim sercem.

Łkałam w najlepsze, kaszlałam, a potem wyjąkałam:

– Niech pan mi wybaczy, Heinrichu. Ciężko mi się z tym pogodzić. – Zwróciłam się do niego po imieniu. Dotąd wymieniliśmy tylko dwa pocałunki, pierwszy pospieszny i drugi, którego smak utrzymał się nieco dłużej w ustach. Ale czułam, że wkrótce będziemy się kochać: przyciągała mnie do niego jakaś siła, siła pełna negatywnej energii, jak czarna dziura.

Rzecz jasna w tamtym okresie nie wiedziałam, jaką jest ohydną postacią, gdy tymczasem pod jego nadzorem zapowiedziane na konferencji

w Wannsee dnia 20 stycznia 1942 roku ostateczne rozwiązanie nabierało tempa. Ale muszę przyznać, choć wstydzę się, pisząc te linijki, że wzruszała mnie jego nieśmiałość, a także pewne znużenie, które sprawiało, że podobnie jak wielu ludzi słabych, często biadolił: gdy nie skarżył się na przeciążenie pracą, narzekał na upokorzenia, które każe mu znosić Hitler niewidzący świata poza Goebbelsem.

Właśnie tamtego wieczoru miałam prawo do trzeciego, ostentacyjnego pocałunku, w którym mieszały się smarki i łzy zalewające moją obrzmiałą twarz, pokrytą czerwonymi i fioletowymi plamami. Chciał mi udowodnić, że kocha mnie na przekór wszystkiemu. Nawet brzydką. Nawet oszpeconą przez smutek.

Potem Heinrich poszedł do piwnicy po butelkę Château Latour 1934 i z dumą pokazał mi ją przed otwarciem:

– To najlepszy znany mi rocznik, obok 1928 i 1929. Dość mocne wino, z nutą świeżych orzechów, bardzo zrównoważone.

Gdy stuknęliśmy się kieliszkami, patrząc sobie w oczy, by uniknąć kary w postaci siedmiu lat abstynencji seksualnej dla tych, którzy tego nie zrobią, Heinrich westchnął:

– Jedyna kwestia, w której zgadzam się z Biblią, to gdy zaleca picie wina.

Gdy włączyliśmy w siebie trzy czwarte butelki, znowu zszedł do piwnicy i wrócił tym razem z białym winem chassagne-montrachet, które pasowało do dania głównego, krabowego *hachis parmentier* z truflami i ząbkiem czosnku według mojego własnego przepisu.

– Heinrichu, zapewniam pana, że do krabów tak samo jak do ryby można pić czerwone wino – nalegałam.

– Nie w moim towarzystwie. W życiu obowiązują pewne zasady i trzeba ich przestrzegać. W przeciwnym razie nie będziemy wiele więcej warci od zwierząt.

Przełknął pierwszy kęs zapiekanki z pomrukiem zadowolenia.

– W przyszłym tygodniu – oznajmił – wyruszam na dwanaście dni na

objazd frontu wschodniego.

– Nigdy nie ma pana w domu, Heinrichu! – zaprotestowałam.

– Muszę tam dopilnować pewnych rzeczy. Bardzo ważnych rzeczy. Ale sądzę, że nie powinna pani siedzieć tu i na mnie czekać. To pani nie służy. Proponuję więc, żeby wyjechała pani z misją do Bawarii. Zapozna się tam pani ze wszystkimi pracami w dziedzinie farmakologii, które zainicjowałem, aby dać więcej energii moim żołnierzom SS i ukoić lęki naszych więźniów.

– Zgoda – mruknęłam po chwili wahania.

– A poza tym mam dla pani wielką nowinę: Führer zaprasza nas na dwa dni do siebie, do Berchtesgaden, pod koniec tygodnia. Słyszał o pani wyczynach kulinarnych.

Po kolacji Heinrich znowu mnie pocałował, po czym nagle gwałtownie cofnął wargi i ręce i udał się do swojego pokoju pod pretekstem nieprzeparanej potrzeby snu. Wchodząc po schodach, zatrzymał się na czwartym czy piątym stopniu i powtórzył natchnionym tonem zdanie, które – jak twierdził – usłyszał przed kilkoma dniami z ust Führera i które lepiej pozwalało mi zrozumieć jego zachowanie: „Obawiam się, że przyniosę kobietom nieszczęście – boję się, że się do nich przywiążę”.

Oddech diabła

Berchtesgaden 1942. Krajobraz zapierał dech, i to nie tylko w przenośni: miałam kłopoty z oddychaniem. Jadąc bawarską drogą wiodącą z lądowiska w Ainring, gdzie wylądował nasz trójmotorowy samolot Ju 52, do ustronia Hitlera w Berchtesgaden, czułam się jak na pompierskim obrazie namalowanym przez Gustave'a Doré za namową Richarda Wagnera. Zdawało mi się, że pośród wiatru chłoszczącego szyby samochodu wyławiam fragmenty uwertury do *Tannhäusera*.

Nazistowscy hierarchowie musieli być kompletnie ślepi, skoro pozostali ateistami wobec piękna przyrody w „orlim gnieździe” Hitlera nad Königssee. Zielonoszmaragdowe odbłyски jeziora wślizgiwały się między górskie szczyty, z których najwyższym był Watzmann, pośród stromych zboczy, lasów, pastwisk, wodospadów i lodowców.

W tego rodzaju miejscu człowiek myśli sobie, że nie ma potrzeby szukać Boga w niebie, by go znaleźć. Jest wszędzie. Prześwitujące przez chmury światło, rozdzierająca horyzont burza czy złota poświata w rozgwieżdżoną noc mówią o nim więcej niż święte księgi; wystarczy rozejrzeć się wokół siebie. Zabawnie było znaleźć się w tym boskim miejscu u boku Heinricha, zacieklego antyklerykała i mordercy księży, którego nie trzeba by szczególnie zachęcać, by przyznał, że świat stworzył Hitler, a nie Bóg.

Zabrano nasze bagaże i podczas gdy Himmler udał się do wielkiej sali w Berghof, rezydencji Hitlera, z oknem o wymiarach osiem metrów na cztery, mnie zaprowadzono do kuchni, gdzie brygada w mundurach, złożona przede wszystkim z młodych kobiet, przygotowywała obiad. Ukłoniły mi się z szacunkiem, robiąc coś w rodzaju dygu, po czym pokornie wróciły do garnków. Wbrew moim obawom, zostałam bardzo serdecznie powitana przez szefa kuchni, pulchną panienkę – jej nazwiska nie pamiętam, ale nie była to ani Marlene von Exner, ani Constanze

Manziarzy, które później pracowały dla Führera w charakterze dietetyczek. Nie przysięgłabym, ale wydaje mi się, że nazywała się Traudl.

Przypominała karmelitankę. Ani w jej wzroku, ani w wyrazie twarzy nie było śladu zepsucia. Mężczyźni tracą głowy dla takich kobiet: wyobrażają sobie, często niesłusznie, że pod płaszczkiem pozornej niewinności kryje się obiecująca skłonność do perwersji. Mimo że nie należałam do płci przeciwnej, muszę przyznać, nie bez pewnego zakłopotania, że Traudl podniecała mnie, tak jak podniecała także, o czym dowiedziałam się później, Martina Bormanna: talenty pochlebcy wyniosły go znacznie wyżej w hierarchii Rzeszy, niż zasługiwały na to jego kompetencje, i bez umiaru korzystał z prawa pierwszej nocy w sypialniach Berghofu pod bokiem swojej żony.

Gdy zapytałam o gusta kulinarne Hitlera, Traudl wzięła mnie na bok:

– Uwielbia słodczyce. Co do reszty, sprawa jest bardzo skomplikowana, żywienie go to prawdziwy zgryz...

Gdy spytałam, czy Hitler przestrzega jakiejś diety, szepnęła:

– Ciągłe cierpi na wzdęcia i skurcze żołądka. Często tuż po posiłku nagle zaczyna się zwijać z bólu. To straszne widzieć, jak ktoś tak cierpi.

– Straszne – przytaknęłam.

– Tak jakby ktoś trafił go strzałą w brzuch. I zaczyna się przy tym straszliwie pocić. Biedny, przeżywa koszmar, wie pani.

Bardzo się pilnowałam, żeby nie powiedzieć: jak Heinrich, mimo że miałam to na końcu języka. Po prostu oświadczyłam:

– Gotowałam już dla osób cierpiących na problemy żołądkowe. Wiem, co robić w takich przypadkach.

– Jesteśmy do pani usług. Ale we wszystkich sprawach musi się pani zwracać do *Herr* Kannenberga.

Wypowiedziała to nazwisko tak uroczystym tonem, że zrozumiałam, jaka to ważna postać. Ten był restaurator po czterdziestce, pyzaty i z dużym tyłkiem, pełnił funkcję majordomusa Hitlera. W Berghofie przezywano go Podwójny Tłuszcz.

Gdy Podwójny Tłuszcz później wtoczył się do kuchni, a jego wejście poprzedził śmiech, od którego trzęsły mu się wąsy, nie można już było mieć żadnych wątpliwości: Arthur „Will” Kannenberg był rzeczywiście osobą wielkiej wagi w sensie dosłownym i przenośnym. Miał w sobie tę euforię, jaka w połączeniu z naturalnym autorytetem charakteryzuje wielkich smakoszy, którzy kilkadziesiąt lat po przyjściu na świat nie mogą nadal ukryć radości, że się na nim znaleźli. Ciągłe ich to cieszy: można by rzec, że nieszczęścia się ich nie imają.

– Witamy w raju – powiedział, ściskając mi energicznie dłoń. – Aczkolwiek nie jest to może raj dla wszystkich. Liczę, że uszczęśliwi pani choć trochę żołądek Führera. Sprawia mu w tej chwili sporo kłopotu.

– Co szkodzi *Herr* Hitlerowi?

– No cóż, wiele rzeczy, z wyjątkiem marchewki, jajek na miękko i ziemniaków.

– To przykre.

– Tak to już jest. Ponieważ stosuje dietę Birchera-Bennera, jedynym urozmaiceniem, na jakie sobie pozwala, są orzechy, jabłka i owsianka, to daje pani pewne wyobrażenie. Poza tym jest skazany na owoce i surowe warzywa.

– Surowe warzywa są bardzo niezdrowe przy tego rodzaju problemach.

– Wyjaśni mi to pani. Zresztą doszedł już do takiego stanu, że gotów jest spróbować wszystkiego.

Abym miała pełną świadomość, co mogę podać na kolację, Kannenberg oprowadził mnie po gigantycznych szklarniach, w których uprawiano jarzyny dla Hitlera i jego gości. Mieli tam wszystko. Nawet późne odmiany pomidorów, z małymi brązowymi plamami na czubku. Szklarnie były niczym alegoria nazizmu, marzenie o samowystarczalności.

Skusiły mnie pory. Kannenberg powiedział mi, że w Berghofie kończą żywot w zupie ziemniaczanej. Ja podałam je jako przystawkę z winegretem truflowym.

Nie zastanawiałam się długo nad daniem głównym: wobec takiej

obfitości jarzyn, lasagne wegetariańskie same się narzucały. Z wyglądu przypominać będą kremówkę z kilkoma różnymi warstwami, których głównym składnikiem będzie lekko podgotowana tarta marchewka, najbardziej lekkostrawna ze wszystkich jarzyn.

W spiżarni z owocami było pod dostatkiem jabłek. Zdecydowałam się więc na tartę jabłkową z odrobiną rumu, kilkoma szczyptami zmiażdżonej wanilii i dwoma łyżeczkami soku cytrynowego. Sama wymyśliłam ten przepis, który później często kopiowano.

Posiłek musiał być gotowy na godzinę przed podaniem, by degustatorki Hitlera spróbowały przeznaczonych dla niego dań na tyle wcześnie, żeby można było sprawdzić, iż do ich organizmu nie przeniknęła żadna trucizna.

Odniosłam oszałamiający sukces. Ponieważ nazistów cechował instynkt stadny, wystarczyło, że Hitler docenił obiad i nie dostał skurczów przy deserze, by okrzyknięto mnie królową wieczoru. Heinrich przyszedł po mnie i oklaskiwali mnie wszyscy biesiadnicy, z Führerem na czele.

Po dwudziestu minutach, gdy oglądałam przez okno w swoim pokoju burzę rozdzierającą niebo, wpadł Heinrich. Wyglądał na zmartwionego.

– Führer chce panią widzieć.

– Ach tak, i co z tego?

– Musi mi pani przysiąc, że nie opowie mu pani o dzieciach ani o byłym mężu. Gdyby wiedział, że była pani żoną Żyda, nigdy by mi nie wybaczył, że panią tu przywiozłem.

– Może już o tym wie.

– Nie. Tego rodzaju informacje przechodzą wyłącznie przeze mnie.

Heinrich zaprowadził mnie do gabinetu Hitlera. W korytarzu wydawał się tak spięty, że pogłaskałam go po ramieniu, a potem po karku, żeby się rozluźnił. Uśmiechnął się do mnie.

Drzwi były otwarte i staliśmy przez moment na progu. Hitler z pewnością słyszał, że przyszliśmy, ale nie mógł nas widzieć. Siedział do nas tyłem w wielkim fotelu, zwrócony twarzą do okna, i jedną ręką

głaskał psa, owczarka niemieckiego, a w drugiej trzymał dokument, który właśnie czytał.

– Proszę wejść – powiedział wreszcie, nie odwracając się.

Nie musicie mi wierzyć, ale zaręczam wam, że dokładnie w chwili, w której na mnie spojrzał, okno rozświetliła błyskawica, po czym w zbocze góry z hukiem uderzył piorun i rozległy się odgłosy spadających kamieni. Hitler zażartował:

– Zaplanowałem to, żeby zrobić na pani wrażenie.

Dał znak Heinrichowi, że może się oddalić, po czym zaprosił mnie, żebym razem z nim oglądała burzę za oknem. Spektakl był wspaniały.

– Zastanawiam się – powiedział, wstając – co zrobiłby z tego Pannini. Z pewnością kolejne arcydzieło.

Führer wyjaśnił mi, że Giovanni Paolo Pannini, włoski malarz renesansowy, wielbiciel monumentalnych efektów i scenografii, był jednym z jego ulubionych artystów.

– Uwielbiam tego malarza – stwierdził – bo się nie boi. Prawdziwi artyści nigdy się nie boją. Wielcy ludzie też nie. Reszta to miernoty.

Ujął mnie za ramię i zaprowadził do rogu salonu. Usiedliśmy na czarnej skórzanej kanapie.

– Mam tu płótna Panniniego – mówił dalej. – Romantyczne ruiny. Muszę je kiedyś pani pokazać.

Jego oddech sprawił, że zadrżałam. Sądzę, że nigdy nie czułam równie ohydneho zapachu, nawet w czasie ludobójstwa Ormian, gdy w okolicy Trapezuntu szłam wzdłuż rzeki, po której płynęły flotylle trupów.

Byłam skrępowana. Żebym się rozluźniła lub zrobiła bardziej rozmowna, Hitler zaproponował mi kieliszek śliwownicy. Wypiłam trzy, jeden po drugim, co tłumaczy, dlaczego niewiele pamiętam z tego, o czym była mowa później.

Dołączył do nas Joseph Goebbels. Niski, wypomadowany brunet ze szpotawą nogą, który nie mógł ustać w miejscu. Nie wiedziałam jeszcze wtedy, że ten fanatyczny wróg religii chrześcijańskiej jest jednym

z filarów III Rzeszy i reżyserem kultu Hitlera, którego darzył, jak mówił, „świętym uczuciem”. Ale jego historyczne zachowanie tamtego wieczoru na zawsze utkwiło mi w pamięci.

Goebbels poił mnie dalej alkoholem. Tym razem wiśniówką. Nie miałabym odwagi przysiąc, do tego stopnia moje wspomnienia są mętne, ale wydaje mi się, że to z nim wyszłam z gabinetu Hitlera.

Co potem robiliśmy? Z tego, co pamiętam, nic. Błąkałam się jakiś czas chwiejnym krokiem po korytarzach, aż pojawiła się grupa mężczyzn, wśród których rozpoznałam, jak mi się wydawało, szefa kancelarii, Martina Bormanna. Były jakieś przepychanki, śmiechy, a potem jeden z nich zaciągnął mnie do pokoju, gdzie przygwoździł mnie do okna, a potem przeleciał.

Gdy mężczyzna się cofnął, byłam jak porażona prądem i długo jeszcze tkwiłam w tej pozycji, zdyszana i ogłupiała, patrząc przez okno.

Kiedy po kilku minutach włożyłam sukienkę, w pokoju nie było już nikogo. Położyłam się na łóżku i trochę się przespałam.

Trzy palce w ustach

Berchtesgaden 1942. Nie widziałam już później Hitlera. Przez trzy kolejne wieczory przygotowywałam kolacje w Berghofie i jeśli wierzyć współbiesiadnikom, świetnie wywiązałam się z tego zadania, aczkolwiek Führera nie zachwyciły moje desery. Lubił wyłącznie ogromne torty z masłem i bitą śmietaną, które nigdy nie należały do mojego repertuaru. Podobno potrafił zjeść trzy kawałki pod rząd, tymczasem nie dołożył sobie ani tarty pierwszego wieczoru, ani szarlotki z gruszkami następnego, ani babeczki z rumem, którą podałam w ostatni wieczór.

Hitler utrzymywał, że jest wegetarianinem ze względu na cierpienie zwierząt i często, w szczególności w obecności swojej kochanki Evy Braun, wielkiej amatorki mięsa, wspominał wizytę w jednej z ukraińskich rzeźni, która wywołała u niego traumę. Ale jego kucharz Willi wyznał mi w sekrecie, że Führer nie zawsze gardzi mięsem, kielbaskami bawarskimi i gołąbkami, za którymi przez długi czas przepadał. Jako wegetarianka cieszyłam się, że to słyszę.

Po kolacji i wypiciu kawy czy herbaty rozwaleni w fotelach goście często oglądali film w dużej sali, a Führer opowiadał im o pogodzie bądź o ostatnich wyczynach Blondiego, jego owczarka niemieckiego. Ewentualnie serwował im nudną gadkę o Wagnerze, handlu jajkami czy postępie naukowym. Wszyscy słuchali go z uwagą zakrawającą na masochizm. Pomyślałam sobie, że naród zdolny aż tak się nudzić, bez słowa skargi, z uśmiechem, jest siłą rzeczy niezwykły: miał poczucie wieczności, z której zdawał sobie sprawę w każdej chwili.

Pierwszego wieczoru wpadłam na pomysł, aby po kolacji na przekąskę podać scone z sezamem, rodzynekami lub z konfiturami truskawkowymi. Ponieważ smaruje się je lub wypełnia bitą śmietaną, Führer je uwielbiał. Aż do momentu, gdy spytał, co to jest. Gdy się dowiedział, że to ciasteczka upieczone według angielskiego przepisu, wydał z siebie pomruk, co

zinterpretowano jako znak potępienia.

Heinrich nie znosił klimatu bezczynności panującego w Berchtesgaden. Mimo alpejskiego powietrza, wszystko tutaj rozleniwiało. Dni były ciągiem niekończących się posiłków, poobiednich spacerów i słodkich przekąsek. Nic nie męczy bardziej niż czas wolny: zamienia najbardziej zaprawionych w bojach w słabe ciamajdy.

Pierwszego wieczoru, gdy koło północy odwiedził mnie w pokoju, żeby podpytać, jak przebiegło moje spotkanie z Hitlerem, jeszcze do końca nie wytrzeźwiałam, mimo że wypiałam półtora litra wody. Heinrich oświadczył, rzucając się na moje łóżko.

– Ma pani wzrok osoby, która piła.

– Sądzę, że to trafna obserwacja.

– Nie ma tu zresztą nic innego do roboty. Można się zanudzić na śmierć! Naród niemiecki jako jedyny uważa nudę za coś normalnego, Rose!

Zbliżył się do mnie:

– Niemcy raczej powinni się pospieszyć, jeżeli chcą wygrać wojnę, nie uważa pani?

Jego niepokój sprawił, że poczerwieniałam z radości. A zatem jeszcze nic straconego, podczas gdy dotychczas myślałam, że naziści wygrali już wojnę – nie wiedziałam, że sytuacja na froncie rosyjskim wygląda gorzej, niż zakładali.

– Właśnie stajemy się narodem, którego nikt się już nie boi – jęknął. – Hitler spotkał się z Lavalem, waszym premierem, tym parszywym gnojem, który zakpił sobie z niego, odmawiając wypowiedzenia wojny Anglii i Stanom Zjednoczonym, bo utrzymuje, że Pétain by się na to nie zgodził. Nie rozumiem, dlaczego pozwolono mu odjechać żywym. Słaba władza to martwa władza.

Nagle zmierzył mnie wzrokiem.

– Śmierdzi pani wódką. To z Hitlerem pani tyle piła?

Wolałam nie kłamać.

– Spoił panią, żeby opowiedziała mu pani o mnie, tak?

Odparłam, że rozmawialiśmy o kuchni i o malarzu Panninim.

Uspokojony wyprostował się, chwycił mnie za przedramiona, pociągnął na łóżko i gdy upadłam na niego, pocałował mnie. Silny pocałunek w usta, mocny, tłusty, z dużą zawartością alkoholu, na początku smakował szampanem, potem owczym Tomme, zbutwiałym drewnem, świeżymi orzechami laskowymi, starym rumem, a na końcu mielonym pieprzem.

Włożył mi trzy palce do ust, cienkie palce pianisty, a ja całowałam je z zapalem, co go dość szybko speszyło. Walczył ze sobą, to było widać w jego oczach, które zachodziły mgłą: nie znosił braku kontroli nad swoimi uczuciami.

Nagle wstał, odkaszlnął, poprawił kołnierzyk koszuli, rozprostował mankiety, przyglądając je, pożegnał mnie i wyszedł.

Cztery dni później, na lotnisku w Ainring, mniej więcej dwadzieścia kilometrów od Berchtesgaden, czekały na nas dwa samoloty trójsilnikowe Ju 52. Jednym Heinrich leciał do Berlina, skąd potem udawał się na front rosyjski. Drugi wyruszał do Monachium, gdzie miałam się spotkać z Felixem Kerstenem, masażystą *Reichsführera-SS*, by odwiedzić z nim ośrodek badań nad kosmetykami i homeopatią.

Przemęczony, z twarzą wymiętą niemal tak jak jego granatowy płaszcz, Felix Kersten powitał mnie z mieszaniną emfazy i powagi, która nie zwiastowała niczego dobrego. Wcześniej obiecał mi, że będzie nękał sztab SS, dopóki nie zdobędzie informacji o Gabrielu i dzieciach. Gdy tylko napotkałam jego wzrok, zrozumiałam, że się czegoś dowiedział.

Ze spuszczonego wzrokiem wymamrotał jakieś zdanie, którego nie rozumiałam. Po prostu usłyszałam „Dachau”. Ta nazwa sprawiła, że zadrżałam. Dachau, utworzony przez Himmlera w roku 1933, kiedy to naziści przejęli władzę, był jedynym obozem koncentracyjnym, o którym wówczas wiedziałam. Wszystko we mnie zaczęło nagle bić. Serce, skronie, bębunki w uszach. Byłam już tylko biciem w pustce.

– Pani mąż zginął w Dachau. Dzieci zmarły w pociągu.

Coś we mnie eksplodowało. Gdy odzyskałam przytomność, Felix klepał

mnie po policzkach. Pomógł mi usiąść na ławce, wzruszył ramionami z miną fatalisty, po czym pogłaskał mnie pocieszająco po przedramieniu. Szlochałam w najlepsze.

Nie pamiętam, co się działo później w ośrodku badawczym. Oprzytomniałam dopiero pod koniec dnia, gdy w hotelu niedaleko Max-Joseph-Platz spotkałam się z Felixem Kerstenem po tym, jak spędził w Dachau kilka godzin. Potwierdził, że Gabriel zmarł, miał okazję to sprawdzić w rejestrze pod datą 23 sierpnia 1942.

– Nie znam szczegółów – wymamrotał. – Przepraszam.

Nie mogłam z niego wyciągnąć nic więcej. Był w stanie zresztą mówić wyłącznie o eksperymentach medycznych, które nim wstrząsnęły: o wstrzykiwaniu malarii zdrowym więźniom, aby przetestować na nich nowe produkty farmaceutyczne, bo chinina była zbyt rzadkim i drogim produktem; o zanurzaniu ludzi w lodowatej wodzie i trzymaniu ich w niej nieraz aż do śmierci, aby zbadać efekty hipotermii, a potem posiekać ich jak żaby, otworzywszy im czaszkę, a następnie klatkę piersiową; o wstrzykiwaniu ropy w uda czterdziestu duchownym, w większości Polakom, co wywoływało olbrzymie ropiejące zgorzele, by zbadać, jaki środek najskuteczniej leczy zakażenia. Króliki w sutannach podzielono na grupy, jak myszy w laboratorium, a następnie, w zależności od przypadku, podawano im sulfamidy bądź tabletki biochemiczne, których Heinrich był podobno zwolennikiem.

Ponieważ duchowni leczeni sulfamidami wracali dość szybko do zdrowia, w związku z tym najmocniejsi dostawali zastrzyk dożylny z ropy ze swoich własnych zgorzeli, co zafałszowywało wyniki doświadczenia, ale nie można było przecież upokarzać *Reichsführera-SS*. Ci, którzy przeżyli, w chwilach przytomności w straszliwych męczarniach wili się na łóżkach, jęcząc.

– Nie ma słów, aby opisać to, co widziałem – mruknął bezbarwnym głosem Felix, ze spuszczoną głową. – To tygiel wszelkiej podłości. Powiem o tym Himmlerowi, nie wolno mu na to pozwalać.

– Sądzi pan, że on o tym nie wie?

– Mam to gdzieś, najważniejsze jest dla mnie to, by ratować ludzkie życie! Ale wiem, że Himmlerowi nie zawsze odpowiada to, co się dzieje, choć oczywiście go to nie usprawiedliwia.

Felix opowiedział mi, że gdy Himmler oglądał masową egzekucję w Mińsku 15 sierpnia 1941 roku, o mało nie zasłabł. To był jego chrzest bojowy. Erich von dem Bach-Zelewski, *Gruppenführer* na Białoruś, odpowiedzialny za śmierć 200 000 osób, stał u jego boku. Opowiadał później, że jego „blady jak płótno” szef przy każdej salwie patrzył w ziemię, a gdy SS-mani ociągali się z dobiciem dwóch dziewcząt umierających w rowie, wrzasnął, wyprowadzony z równowagi: „Przestańcie torturować te kobiety! Zabijcie je!”.

– Może to nie najwłaściwsze porównanie – skomentował Felix – ale Himmler przypomina mi ludzi, którzy jedzą czerwone mięso, ale nie znoszą metod uboju bydła.

Trzy miesiące później, gdy umówił się z nim na masaż, Himmler wrócił z kancelarii załamany. To było 11 listopada 1941 roku, Felix dokładnie pamiętał datę. Podczas gdy *Reichsführer-SS* chciał jedynie przeprowadzić „ewakuację” Żydów, Hitler zażądał od niego, by zorganizował ich „eksterminację”.

Himmler był przybity, a Felix wstrząśnięty. Gdy masując go, oznajmił, że to nieludzkie rozwiązanie, *Reichsführer-SS* zaprotestował: „Żydzi rządzą prasą, sztuką, kinem i całą resztą. To oni odpowiadają za zgniliznę i zubożenie, które pozwoliły im się wzbogacić. Sprzeciwili się jedności Europy i nigdy nie przestali obalać ustrojów przy pomocy wojen czy rewolucji. Muszą zapłacić za miliony ofiar, za które od wieków ponoszą odpowiedzialność. Gdy ostatni Żyd zniknie z powierzchni ziemi, skończy się niszczenie narodów i rzezie na polach bitewnych w imię żydowskiego nihilizmu zostaną oszczędzone przyszłym pokoleniom. Aby osiągnąć wielkość, trzeba iść po trupach. Tak właśnie postąpili Amerykanie z Indianami. Jeżeli chcemy stworzyć nowe życie, trzeba oczyścić ziemię,

by pewnego dnia mogła wydać owoce. Takie jest moje zadanie”.

W tym momencie Felix wziął mnie za rękę i gdy ją ścisnął, przeszył mnie chłód:

– Kilka dni później Himmler przyznał jednak, zanim zaczął bronić samej zasady, że eksterminacja narodów jest niezgodna z duchem germańskim. – Roześmiał się nieszczercze. – Jeżeli skazani jesteśmy na ludzi takich jak Himmler, by ratować Żydów – dodał – to naprawdę cały ten świat jest jedną wielką zgnilizną.

Ogarnęło nas z Felixem to samo uczucie przerażenia połączonego ze zmęczeniem i wyczerpaniem. Pozostało nam tylko pić i upiliśmy się metodycznie, po niemiecku: piwem, a potem sznapsem.

Następnego dnia wróciliśmy do Berlina. Gdy tylko znalazłam się w swoim pokoju, podeszłam do akwarium i opowiedziałam o ostatnich wydarzeniach Teo, którą strażnicy z SS troskliwie zajmowali się w czasie mojej nieobecności. Kiedy skończyłam, salamandra wybuchła:

– Po cholere sypiasz z nazistami?!

– Nie robię wyłącznie tego!

– Ale to robisz i to budzi mój wstręt!

– Przyjechałam do Niemiec wyłącznie po to, żeby za wszelką cenę ratować swoje dzieci.

– I widzisz, jaki jest tego efekt? Kompletnie na darmo zrobiłaś z siebie prostytutkę!

Westchnęłam, wpatrując się ze smutkiem w czarne oczy Teo.

– A co twoim zdaniem powinnam była zrobić?

– Powinnaś się szanować!

– Jak niby ma się szanować kobieta, której zabrano dzieci?

Całą noc płakałam w poduszkę.

Embrion, który nie chciał umrzeć

Berlin 1942. Przez tydzień, gdy czekałam w domu na powrót Heinricha, bez przerwy miotałam się między przerażeniem a rozpaczą. Przesunęłam go na czoło listy znienawidzonych osób.

Zatajenie przez niego prawdy o losie Gabriela i dzieci stanowiło dla mnie dowód hipokryzji i najczystszej zdrady. Postanowiłam, że poproszę go, aby zgodził się na mój powrót do Paryża. Czekaając, starałam się zabić czas: piłam wywary z dziurawca, zajmowałam się Teo, spacerowałam po Tiergarten, wielkim berlińskim parku, lub czytałam dzieła wszystkie Szekspira wydane w 1921 roku w niemieckim przekładzie Georga Müllera, które znalazłam w bibliotece Heinricha. Ale nie mogłam uwolnić się od myśli o Gabrielu i dzieciach, nie udawało mi się skupić na niczym innym.

W trakcie podróży Heinrich zadzwonił do mnie kilka razy. Mówił grobowym głosem, co oznaczało, że dużo pił albo mało spał. Rozmowa z nim nie należała do szczególnie ciekawych, czułam się, jakbym miała do czynienia z urzędnikiem dokonującym odczytu licznika: jeśli się nie mylę, byłam chyba czwartą kobietą na jego liście, po żonie, córce i kochance.

Natomiast doktor Felix Kersten, który po epizodzie bawarskim wrócił do Holandii, dzwonił do mnie co wieczór, i pełnym niepokojem głosem zawsze zadawał mi te same pytania retoryczne: „Co u pani słyhać? Jest pani pewna, że wszystko w porządku? Czy mogę coś dla pani zrobić?”.

Wszystko diametralnie się zmieniło w dniu, w którym Heinrich miał wrócić z objazdu: rano, waząc się, zauważyłam, że urosły mi piersi. Nie chcę się chwalić, ale zostałam hojnie obdarzona przez naturę, w tym przypadku jednak przekraczało to już wszelkie granice.

Wstałam, po czym obejrzałam się w lustrze w łazience. Macając duże, pełne piersi, stwierdziłam, że otoczki brodawki sutkowej też się powiększyły i pociemniały. Skorzystałam z tego, aby pogłaskać się po

piersi – kilkakrotnie zadrżała z rozkoszy.

Już poprzedniego dnia po oddaniu moczu zauważyłam niewielkie brązowe krwawienie. Wtedy nie zwróciłam na to większej uwagi, ale teraz nie było już wątpliwości: krzyknęłam przeciągle z przerażenia, co natychmiast przyciągnęło do łazienki dwóch strażników SS odpowiedzialnych za ochronę domu.

– Zostawcie mnie – powiedziałam. – To drobiazg. Przycięłam sobie palec drzwiami.

Nie mogłam znieść myśli, że w moim brzuchu będzie rosło nazistowskie nasienie. Czułam się jak cykada, którą osa zamknęła w dziurze przykrytej kamieniem, po czym zniosła w jej wnętrzu jajo – po wyjściu z błony ohydna larwa zje ją żywą, aż do ostatniego włókna.

Byłam gotowa na wszystko, aby pozbyć się intruza. Mogłam jeść łyżeczkami olej rycynowy. Pić wywary z pietruszki, piołunu, bylicy, liścia laurowego, wierzby białej. Wstrzykiwać sobie wodę z mydlinami i wkładać do szyjki macicy rośliny wywołujące poronienie. Biegać, skakać na skakance, bić się pięściami po brzuchu.

Na straszliwy wypadek, gdyby na przekór wszystkiemu płód nie chciał się odzepić, trzeba mu było znaleźć zastępczego ojca, a poza Heinrichem nie widziałam nikogo, kto mógłby odegrać tę rolę. Musiałam zatem iść z nim do łóżka jak najszybciej, gdy tylko moje próby poronienia okażą się bezskuteczne.

Wieczorem, gdy Heinrich wrócił do domu po wizycie na Wschodzie, usiadł z westchnieniem na kanapie, poprosił, żebym podeszła bliżej, po czym wyjął z kieszeni małe pudełeczko. Był to pierścionek zaręczynowy: wielki rubin birmański otoczony wianuszkiem diamentów.

Gdy tylko włożyłam go na palec, uklękłam przed nim. Rozpięłam mu pasek i rozporek, wyjęłam ze slipów fiuta i otoczywszy go wargami, dałam z siebie wszystko, oddałam Heinrichowi swoje życie, swoją godność, swoje umiejętności, to, co potrafią tylko kobiety, aż święte nasienie spryskało mi usta, a potem gardło.

Gdy się podniosłam, Heinrich leżał rozwalony, z rękami rozrzuconymi na oparciu kanapy, z głową lekko odchyloną do tyłu i szerokim uśmiechem spełnienia. Po raz pierwszy zwrócił się do mnie po imieniu:

– Naprawdę jesteś kobietą mojego życia.

Nie miałam zamiaru odwzajemniać komplementu. Zachowywałam się wobec niego w ten sposób, bo potrzebny mi był rodzic dla dziecka, które w sobie nosiłam. Mógł nim być tylko Heinrich, musiał jak najszybciej mnie przelecieć. W przeciwnym razie groziły mi wielkie kłopoty.

Poza tym wydawało mi się, że przejście do czynu będzie najlepszą metodą, by go ode mnie oderwać: często właśnie niespełniona miłość pozostaje wieczną. Miałam nadzieję, że gdy skonsumujemy nasz związek, Heinrich znudzi się mną i pozwoli mi w najbliższych dniach wyjechać, dzięki czemu mogłabym usunąć ciężę w Paryżu.

Uznawałam, że nie jest pozbawiony wdzięku. Podobał mi się jego spokój, którego zaprzeczenie stanowiły uniesione pytająco brwi. Nie mówiąc o ironii, która chwilami błąkała mu się na wargach. Gdyby nie te zbyt wypielęgnowane wąsy i wąskie wargi, wyglądałby na przystojnego. Ale odkąd się dowiedziałam, co się stało z Gabrielem i dziećmi, miałam coraz większą ochotę go zabić.

Po kolacji, gdy oznajmiłam mu, że chcę wrócić do Francji, odpowiedział bezbarwnym głosem, z ponurą miną:

– Mowy nie ma.

*

W te wieczory, gdy Heinrich wracał na noc do domu, pieściłam go zgodnie z tym samym rytuałem: gdy *Reichsführer-SS* siadał na kanapie, przynosiłam mu na tacy kieliszek porto, a potem, gdy zaczynał je pić, klękałam przed nim.

Nawet przyjemnie było czuć na głowie jego rękę, która mnie prowadziła. Nie wahałam się też dyszeć z rozkoszy, gdy obejmował dłońmi moją szczękę, by wsadzić mi głębiej fiuta do gardła, lub gdy wkładał mi palce do dziurek w nosie, żebym nie mogła oddychać.

Powoli wpadałam w panikę. Mijały kolejne dni, a mnie ciągle nie udawało się skłonić go do pójścia na całość. Moje poświęcenie nic tu nie zmieniało, zgadzał się jedynie zostawiać nasienie w moich ustach i nic poza tym. A żeby Heinrich nie mógł wątpić, że jest ojcem mojego dziecka, musiałam się z nim przespać i nie było już czasu do stracenia.

Zaczynałam przyzwyczajać się do myśli, że mój niezniszczalny embrion nie da się zabić w zarodku. Już od pięciu tygodni próbowałam wyrzucić go z brzucha, ale nic nie pomagało. Ani przeskakiwanie po trzy stopnie schodów, ani nieustanne podnoszenie i przesuwanie mebli w nadziei, że wywołam poronienie.

Któregoś wieczoru na kolację przyszedł Felix Kersten, po tym jak wcześniej, gdy masował *Reichsführera-SS*, wynegocjował zwolnienie kilku Żydów w Holandii. O ile mnie pamięć nie myli, było to 19 grudnia 1942 roku, w dniu urodzin Emmy Lempereur. Modliłam się za nią tego samego dnia w katedrze Świętej Jadwigi, której proboszcz zmarł w drodze do Dachau, bo stanął po stronie Żydów w czasie nocy kryształowej.

Zgodnie ze swoim zwyczajem Felix zjawił się z godzinnym wyprzedzeniem. Mieliśmy czas na podsumowanie sytuacji przy butelce sznapsa. Gdy wyznałam mu, że jestem w ciąży, westchnął:

– Z kim?

– Nie wiem.

– Jak może pani nie wiedzieć?

– Byłam tak pijana, że nie pamiętam.

Wstał i podszedł do mnie.

– Zdecydowanie odradzam pani okłamywanie Heinricha – wymamrotał. – Gdy powie mu pani prawdę, odzyska pani wolność.

– Poczujecie do mnie wstręt, tak?

– Jeszcze większy, niż się pani wydaje. Ma obsesję na punkcie chorób wenerycznych, tego obawia się najbardziej. Ma rację.

Felix wahał się przez chwilę, a potem ciągnął dalej przyciszonym głosem:

– Lekarze stwierdzili, że jakieś dwadzieścia lat temu Hitler zaraził się syfilisem.

Nagle przerwał, wskazał palcem sufit, jakby miał uszy, i następnie szepnął:

– Nie powie pani o tym nikomu, przysięga pani?

– Nikomu. Słucham pana.

– Od pięciu lat u Hitlera występują wszystkie objawy świadczące o tym, że choć syfilis był wcześniej leczony, nadal sieje w jego organizmie spustoszenie.

Jeszcze bardziej zniżył głos i cichym szeptem wymieniał symptomy:

– Raport jest niepodważalny: Hitler cierpi na postępujący paraliż kończyn, drżenie rąk, chroniczną bezsenność i bóle głowy. Do tego zdarzają mu się jeszcze napady demencji i megalomanii. To wszystko dowodzi, że syfilis dalej postępuje. Jedynymi objawami, których jeszcze nie zaobserwowano, jest nieruchomy wzrok i zaburzenia mowy, aczkolwiek jego przemówienia wydają mi się bardziej chaotyczne niż wcześniej...

– Sądzi pan, że Hitler umrze? – wyszeptałam.

– Himmler bardzo się niepokoi. Wystarczy na niego popatrzeć, gdy mówi o chorobie Hitlera. Jest takim higienistą, że drży z niesmaku.

– Więc zostawi mnie w spokoju.

– Nie ma się pani czego obawiać. Himmler myśli już, że cała hierarchia nazistowska jest zarażona syfilisem. Podda panią kwarantannie.

W czasie kolacji, gdy kończyliśmy zupę karczochowo-truflową, Felix zaczął ostro krytykować politykę antyżydowską Rzeszy. Ostrzegął Heinricha zwłaszcza przed osądem przyszłych pokoleń.

– Ale to nie ja ponoszę za to wszystko odpowiedzialność – odpowiedział Heinrich – tylko Goebbels.

– Nie Goebbels, a pan – upierał się Felix.

– W przeciwieństwie do Goebbelsa nigdy nie myślałem o eksterminacji Żydów, chciałem tylko wygnać ich z Niemiec. Niech zabierają cały swój

majątek i wynocha, po sprawie! Kanałami dyplomatycznymi zwróciliśmy się o pomoc do Roosevelta, chcieliśmy, żeby przyjął ich u siebie, w Ameryce jest dużo miejsca, mają puste tereny: nie raczył nawet odpowiedzieć na naszą prośbę. W 1934 roku, by uniknąć rzezi, zaproponowałem Führerowi utworzenie niezależnego państwa, aby osiedlić w nim wszystkich Żydów, daleko stąd.

– W Palestynie? – spytałam.

– Nie, to za blisko. Myślałem o Madagaskarze, gdzie jest ciepło, Żydzi lubią taki klimat. Nie mówiąc już o zasobach naturalnych, w które wyspa obfituje: grafit, chromit, boksyt. No cóż, wszyscy sprzeciwili się mojemu projektowi.

Nie mogłam znieść tego jękliwego tonu i zniknęłam na moment w kuchni, pozwalając Felixowi kontynuować atak. Byłam tak zdenerwowana, że stłukłam półmisek z fajansu z Moustiers.

Felix też był bardzo zdenerwowany. Opisał tę rozmowę w podobnych słowach w swoich *Pamiętnikach*.

Gdy po kolacji opowiedziałam Heinrichowi, że zostałam zgwałcona w Berchtesgaden i zaszłam w ciążę, wszystko przebiegło tak, jak przewidział Felix. Heinrich tak się przejął, że wyjął z barku butelkę sznapsa, wypił dobrą ćwiartkę z gwinta, a potem powiedział:

– Jak można się tak zachowywać! Göring, Bormann, Goebbels, wszyscy są tyle samo warci. Syfilityczne świnię. Dają zły przykład...

– Może lepiej byłoby, gdybym usunęła ciążę?

– Wybij to sobie z głowy, Rose! Potrzebujemy nowej krwi dla Rzeszy.

Wypił jeszcze jeden duży łyk.

– Teraz pozwól mi się wszystkim zająć i obiecuj, że nikomu nie powiesz ani słowa.

Obiecałam. Nie pocałował mnie w usta na dobranoc. Po prostu poklepał mnie po ramieniu, jak zwierzę na pastwisku, gdy chce się je zachęcić, by ładnie jadło trawę.

Piski chorego drobiu

Berlin 1942. Z Heinrichem wszystko odbyło się tak, jak przewidział Felix. Podczas całej naszej rozmowy trzymał się na dystans i ani razu nie dał po sobie poznać, że czuje niesmak, który pokrywał zwykłą ironią. Potem, gdy poklepał mnie po ramieniu, nie poszedł na górę do swojej sypialni. Postanowił spać poza domem. Budziłam jego wstręt, jakbym sama była syfilityczką.

Nigdy więcej nie zobaczyłam Heinricha, a on nie dał żadnego znaku życia. Nie żałowałam tego: gdy go poznałam, nie miałam już wiele godności, ale gdy nasza historia się zakończyła, nie pozostał po niej nawet ślad. Przestałam odczuwać do siebie miłość czy pobłażliwość. Jestem mu za to wdzięczna: sędzę, że nasza skłonność do narcyzmu i zadufania jest czymś strasznym, ściąga nas zawsze w dół. Właśnie z powodu tej pustki w sobie, którą wywołał, stałam się niezniszczalna.

Przebywałam w areszcie domowym w naszym dawnym miłosnym gniazdku, zmuszona do zachowania tajemnicy aż do porodu, który nastąpił siedem i pół miesiąca później. Monstrualne wybrzuszenie najwyraźniej uważane było przez nazistów za coś świętego, zajmował się mną lekarz SS, który przychodził mnie raz w tygodniu zbadać, a towarzystwa dotrzymywała mi dwadzieścia cztery godziny na dobę małomówna pielęgniarka, która spała w pokoju Heinricha.

Miała na imię Gertraud. Była to niska, zgarbiona kobieta, która zdawała się bać wszystkiego. Zrozumiałam dlaczego, gdy powiedziała mi pewnego dnia, że jest daleką kuzynką stolarza, Johanna Georga Elsera, który 8 listopada 1939 roku próbował zabić Hitlera, podkładając bombę z opóźnionym zapłonem w piwiarni Bürgerbraükeller w Monachium, gdzie Führer co roku obchodził rocznicę swojego nieudanego puczu z 1923 roku.

Elser nastawił mechanizm zegarowy ładunku wybuchowego na 21.20. Ale Hitler wyszedł z piwiarni z całą swoją świtą przed czasem, o 21.07,

unikając tym sposobem zamachu, w którym niemniej jednak zginęło osiem osób.

Było jasne, że Gertraud nie myśli nic dobrego o III Rzeszy, ale wołała zacisnąć zęby i wystarczał mi jej życzliwy wzrok, który dodawał mi siłę przez cały ten trudny okres.

Codziennie modliłam się do Chrystusa, Najświętszej Pani i świętych, by to coś we mnie umarło. Przynosiłam poprawę i paliłam świece. W trzecim miesiącu wsadziłam sobie nawet do środka drut.

Najwyraźniej polecono Felixowi Kerstenowi, by do mnie nie dzwonił ani mnie nie odwiedzał. Z pewnością zmieniono numer telefonu w domu. Nie miałam prawa porozumiewać się z nikim ani wychodzić, nie licząc rytualnego spaceru, w asyście strażników, często do dzielnicy Wannsee, aby płód się przewietrzył.

Lubiłam spacerować po plaży nad brzegiem dużego jeziora, gdy pokrywający go lód pękał pod moimi stopami. Czasami mijałam też piękną białą willę, gdzie – jak się później dowiedziałam – 20 stycznia 1942 roku odbyła się konferencja w Wannsee, na której kilkunastu dygnitarzy nazistowskich pod przewodnictwem Reinharda Heydricha, prawej ręki Heinricha, uzgodniło metody eksterminacji Żydów.

Lubiłam też spacerować nad brzegiem małego jeziora, gdzie poeta Heinrich von Kleist popełnił samobójstwo w 1811 roku, gdy zastrzelił miłość swojego życia Henriette Vogel, cierpiącą na raka. Często szłam się pomodlić nad ich grobami, dużym kamieniem pisarza i małą tablicą kochanki. Wydawało mi się, że byłoby im znacznie lepiej razem, pod jedną płytą.

Wiosną szliśmy czasem na Pawią Wyspę, gdzie wokół romantycznego zamku, zbudowanego przez Fryderyka Wilhelma II dla kochanki, puszyły się te dumne ptaki, wykrzykując na całe gardło swoją radość ze spółkowania.

Nad jeziorem odnajdywałam pejzaże Trapezuntu, zwłaszcza rankiem, gdy wodę spowijała mgła, a ziemię wybrzuszała mleczna fala, zanim

rozdarł ją słaby wietrzyk, który wraz z upływem godzin otwierał coraz szerzej widok na błękitnawe niebo. Dla mnie był to obraz utraconego raj.

W czasie tych spacerów najgorzej działał na mnie widok dzieci: myślałam natychmiast o własnych i zaczynałam płakać. Tak więc, gdy tylko moi strażnicy SS widzieli w pobliżu jakieś maluchy, natychmiast prowadzili mnie w inną stronę. Nigdy nie czułam takiej bliskości Édouarda i Garance jak w tamtym okresie. Wystarczyło, bym zamknęła powieki, by powrócili w moich wspomnieniach.

W trakcie jednego z ostatnich spacerów nad Wannsee wypuściłam Teo, z którą gniewaliśmy się na siebie od kilku tygodni.

Pewnego dnia, gdy ją karmiłam, salamandra oznajmiła, że chce odzyskać wolność:

– Nie mogę nic więcej dla ciebie zrobić.

– To nieprawda, Teo. Trudno jest żyć, ale jeszcze trudniej przeżyć.

– Jestem jedynie twoim wyrzutem sumienia. Dasz sobie świetnie radę beze mnie. Zbliżam się do trzydziestki, salamandry nie żyją dłużej, a nie chcę umierać w akwarium w domu nazistowskiego przywódcy.

Gdy podeszłam do jeziora, salamandra zadrżała z radości. Wskoczyła do wody, nie odwracając się.

*

Heinrich postanowił, że natychmiast po urodzeniu moje dziecko trafi do Lebensbornu, jednego z ośrodków, w jakich państwo SS wychowywało dzieci matek „wartościowych pod względem rasowym”, które pomyślnie przeszły badania czystości krwi.

W Lebensbornach przyszło na świat około dziesięciu tysięcy dzieci, ale liczbę tych, które zostały porwane na terenach okupowanych w celu germanizacji w nazistowskich ośrodkach wychowawczych, szacuje się nieraz na 250 000. Wybierane w oparciu o kryteria rasistowskie miały stać się arystokracją narodu nordyckich Niemców, która zdaniem *Reichsführera-SS* powinna w 1980 roku liczyć 120 mln osób.

Jako blondynka o niebieskich oczach, o niezbyt długim tułowiu, dość

kształtnych łydkach i prostych nogach, byłam idealną reproduktorką.

A tak nawiasem mówiąc, ciężko mi było zrozumieć obsesję hierarchii nazistowskiej na punkcie włosów blond, bo przecież, z wyjątkiem Göringa, żaden z jej filarów nie miał jednego jasnego włosa na głowie. Tworzyli ją niemal sami szatyni, wręcz czarniawi, antyteza narodu, o którym marzył Hitler, oznajmiając: „Wszystkich nas dotyka degeneracja mieszanej, zepsutej krwi. Co możemy zrobić, żeby za to odpokutować i się oczyścić?... Życie wieczne, jakie daje Graal, jest udziałem wyłącznie prawdziwie czystych i szlachetnych”.

Z uwagi na jego ciemną karnację, lichą posturę, obwisły podbródek, oczy w kształcie migdałów i opadające powieki, Heinrichowi daleko było do ideału. Jego wrogowie mawiali nieraz, że odpowiadał opisowi Żyda z nazistowskich broszur. Może właśnie dlatego nie uważałam go za aż tak odstręczającego.

W trakcie naszej ostatniej rozmowy Heinrich wyjaśnił mi filozofię Lebensbornu. Na wstępie, sądząc, że mnie pocieszy, powiedział, że nigdy nie będzie mężczyzną wiernym jednej kobiecie. „Sakralizując małżeństwo – mówił dalej – Kościół, przez swoje szatańskie zasady, drastycznie obniżył nasz współczynnik urodzeń. To normalne: gdy tylko kobiety wyjdą za mąż, przestają się starać i małżonkowie obojętnieją. Z tego powodu brakuje nam milionów dzieci.

– Proponujesz zatem, by mężczyźni mogli mieć inne kobiety? – spytałam przerażona.

– Dokładnie tak. Pierwsza małżonka, którą nazwalibyśmy „Domina”, zachowywałaby szczególny status, ale trzeba skończyć z tymi chrześcijańskimi głupotami i pozwolić mężczyznom płodzić dzieci, jak chcą. Lebensborn jest pierwszym etapem naszej polityki rodzinnej: dziecko z nieprawego łoża nie nosi już piętna hańby, wręcz staje się elitą narodu germańskiego. Twoje dziecko będzie szczęśliwe, Rose.

Nie powiedziałam mu, jak bardzo było mi to obojętne. Marzyłam tylko, by jak najszybciej pozbyć się na zawsze hydry, która we mnie rosła

i ostatecznie przyszła na świat 14 sierpnia 1943 roku.

– Chce pani je zobaczyć? – spytała mnie położna.

– W żadnym razie – odpowiedziałam, zamykając oczy.

Dobrze pamiętam krzyk tego dziecka. Jeszcze nigdy nie słyszałam niczego podobnego. Przypominał pisk chorego drobiu, coś rozdzierającego. To jedyne wspomnienie, jakie mi po nim zostało. Natychmiast zabrano je do najbliższego Lebensbornu.

Przez następne dni siedziałam sama w domu, aż dwóch strażników SS zawiozło mnie na lotnisko, aby zgodnie z obietnicą Heinricha wsadzić mnie do samolotu odlatującego do Paryża.

Zbrodnia była podpisana

Paryż 1943. Po roku nic się nie zmieniło, nie licząc śmierci mojego kota, Sułtana, którego przejechała ciężarówka wojskowa na placu Trocadéro. Pod moją nieobecność Paul Chassagnon, moja prawa ręka, kierował La Petite Provence. Restauracja nadal działała na zwolnionych obrotach. Płacił faktury przychodzące na adres mojego mieszkania, w którym, ku mojemu zdziwieniu, nie było ani grama kurzu, ani w powietrzu, ani na meblach: na jego prośbę moja sprzątaczką, prawdziwa mistrzyni miotły, nadal przychodziła dwa razy w tygodniu.

Po powrocie do Paryża cierpiałam przez kilka tygodni na skurcze żołądka. Sądząc po objawach, przypominały te, które nękały Hitlera i Himmlera. Nieraz przerywałam zdanie w połowie, bo odbijało mi się żółcią, która o świcie pozostawiała brunatne ślady w kącikach warg. Moje roślinne pigułki nie przynosiły efektu. Była to choroba metafizyczna.

Staralam się ją leczyć, pracując jak wół w restauracji albo jeżdżąc na cmentarz w Cavaillon, pomodlić się nad grobem rodziców Gabriela, którzy zmarli podczas mojego pobytu w Niemczech. Nie potrafiłam się otrząsnąć po lecie 1942 roku: nadal tkwiłam w przeszłości, od której nie mogłam się uwolnić i jak stare wariatki bez przerwy rozmawiałam ze zmarłymi: Gabrielem, Édouardem i Garance.

– Wiem, czego chcecie – mówiłam im. – Nie musicie mi tego bez przerwy powtarzać, zrobię to.

– Nie zapominaj o nas – błagał Gabriel.

– Ale przecież myślę tylko o was! – Wtedy podchodził do mnie Paul Chassagnon z chochlą w ręce, unosząc pytająco brwi:

– Co się dzieje, Rose? Masz jakiś problem?

– Ależ nie – odpowiadałam, czerwieniąc się z zakłopotania.

Mój stan zaniepokoił pewnego klienta restauracji: Jean-Paul Sartre przyszedł na kolację z Simone de Beauvoir. Filozof podniósł na mnie wzrok

i jednocześnie usłyszałam jego szept, poczułam silny zapach tytoniu, kawy i alkoholu:

– Musi pani odpocząć, małeńka. Jest pani wykończona, wygląda pani jak z krzyża zdjęta. Czy mogę coś dla pani zrobić?

Potrząsnęłam głową, chętnie bym się z nim na przykład przespała, choć tyle rzeczy mnie u niego odstręczało, począwszy od głosu, który zdawał się wydobywać z fabryki noży. Zalałam się łzami, gdy spojrzał na mnie dużymi, wilgotnymi, wyłupiastymi oczami: od mojego powrotu do Paryża był pierwszą osobą, poza Paulem Chassagnonem, która czytała w moim sercu.

Sartre sam był w melancholijnym nastroju: jego sztuka *Muchy* w reżyserii Charlesa Dullina, pokazana przed kilkoma tygodniami w dawnym teatrze Sarah-Berhardt, przemianowanym aryjsko na Théâtre de la Cité, okazała się klapą.

Po wojnie poprawność polityczna wymagała, by uznać, iż sztuka Sartre'a – mimo że drobiazgowa cenzura niemiecka nie zakazała jej wystawienia – stanowiła akt oporu, czego nigdy nie udowodniono, podczas gdy dobre relacje Dullina z okupantem i pozytywne recenzje spektaklu na łamach dwóch nazistowskich gazet: „La Gerbe” i „Pariser Zeitung” nie budziły żadnych wątpliwości. Nie mówiąc o skromnym przyjęciu po przedstawieniu, w trakcie którego autor *Much* wznosił toasty w towarzystwie Beauvoir z kilkoma niemieckimi oficerami, jak *Sonderführerzy* Baumann, Lucht i Rademacher.

Na szczęście nie było fotografów, by uwiecznić tę scenę: Jean-Paul Sartre popijający szampana z nazistami. Nie przeszkodziło to filozofowi uczestniczyć po wyzwoleniu w pracach komitetu ds. oczyszczenia, podczas gdy Sacha Guitry, co prawda zagorzały zwolennik Pétaina, za picie z okupantem poszedł do więzienia.

Sartre był lepszy, niż się wszystkim wydawało, lepszy i gorszy. Jestem skłonna wybaczyć mu wszystko, jego kręactwo, kłamstwa, słowa potępienia, za to, że powiedział tamtego dnia z taką życzliwością, kładąc

mi dłoń na ramieniu:

– Potrzebna pani jakaś odmiana.

Miał rację. Ponieważ straciłam dzieci, zaczynałam tracić chęć do życia, które w dodatku w tamtych czasach nie było wiele warte. W głowie bez przerwy kołatała mi się dobrze obrazująca mój stan ducha piosenka Charlesa Treneta:

*Co mamy dziś z miłości tej?
Co mamy z tych szczęśliwych dni?
Cztery czy pięć
pożółkłych zdjęć
Skrywane łzy
Co mamy z tych listów i słów,
spacerów, gdzie nie chodził nikt?*

Nuciłam zwłaszcza cztery wiersze, wydawało mi się, że zostały napisane specjalnie dla mnie:

*Co mamy dziś – jeśli ty wiesz,
to powiedz mi – co z tego mam?
Miłosny wiersz, wczorajszy wiersz.
Ot taki tam... [8]*

Jestem pewna, że podśpiewywałam je tego jesiennego ranka, gdy udałam się do Jeana-André Lavissee'a na rue Auguste-Comte, niedaleko Ogrodu Luksemburskiego. Niebo przypominało wodospad, z którego spływały na nas potoki szarej wody i zwiędłych liści.

Szłam na spotkanie, z góry się ciesząc, co mnie czeka. Po długim wahaniu uznałam, że jedynie zemsta może uleczyć moje bóle brzucha. Koniec końców leczy wszystko.

Zemsta jest rzecz jasna naruszeniem kodeksu cywilnego i zasad religijnych, ale daje też chwilę szczęścia, której głupotą byłoby się pozbawiać. Gdy się dokona, przynosi, tak jak miłość, ukojenie wewnętrzne. Wymierzenie sprawiedliwości jest najlepszym sposobem na pogodzenie się z samym sobą i ze światem.

W żadnym razie nie mam zamiaru spierać się z tymi, którzy uważają, że najpiękniejszą formą zemsty jest przebaczenie, to stwierdzenie natury moralnej i filozoficznej. Może tu wyłącznie chodzić o abstrakcyjną zemstę,

a ta niczego nie załatwia.

Zemsta, żeby przynieść ulgę, musi mieć charakter fizyczny i konkretny. Gdy jest okrutna, pozwala zabiżyć się naszym ranom i na długi czas poprawia samopoczucie.

W przeciwieństwie do większości uczuć, żądza zemsty nie słabnie z czasem. Wręcz odwrotnie, budzi coraz większe podniecenie. Dzwoniąc do drzwi Jeana-André Lavissey'a, byłam bardzo podekscytowana. Nie on mi otworzył, tylko biedna, młoda, zgarbiona dziewczyna, która, sądząc po akcencie i manierach, została niedawno wyrwana z rodzinnej wsi. Podałam fałszywe imię i nazwisko, Justine Fourmont, a ona poprowadziła mnie przez labirynt korytarzy do gabinetu pana.

Inaczej go sobie wyobrażałam. Przypominał efeba, prawie hermafrodytę, z twarzą starej baby, niesfornym kosmykiem włosów, a w dodatku wyglądał, jakby upił się octem. Pracował w szlafroku w gabinecie pośród tysięcy książek. Książki leżały wszędzie, oczywiście na półkach biblioteki, ale także na ziemi, gdzie tworzyły strome klify o niepewnej równowadze, niektóre z nich się już zresztą osunęły.

Jean-André Lavissey poprosił, bym usiadła, po czym zapytał, dlaczego chcę napisać jego biografię.

– Bo pana podziwiam – odparłam bez wahania.

– Biografia to coś najgorszego, co może się człowiekowi przydarzyć. Nazywam to robactwem z góry, w odróżnieniu od robactwa z dołu, które podgryza nas w trumnie.

Uśmiechnął się głupawo, zrobiłam to samo, po czym mówiłam dalej:

– Uwielbiam pana powieści. Tak bardzo się wyróżniają na tle całej literatury współczesnej. Żałuję tylko jednego, że napisał ich pan tak mało.

– Działalność dziennikarska zabiera mi zbyt wiele czasu, negatywnie wpływa na moją twórczość.

Kontakty z pisarzami nauczyły mnie, jak z nimi rozmawiać, zwłaszcza gdy są też dziennikarzami. Schodzą na ziemię jedynie, gdy mówi się o ich książkach. Utrzymywałam, że najwyższą cenę *Niepewną miłość* i *Nadejście*

poranka, jego dwa ostatnie dziełka, które cieszyły się niejakim powodzeniem.

– Tylko pan tak świetnie pisze o miłości – dodałam. – Pan i Stendhal.

– Odpowiada mi to porównanie.

Próżność pisarzy daje pewne wyobrażenie o nieskończoności.

Jean-André Lavissee skamieniał niczym pomnik i delectował się moim komplementem, czekając na następny, zaczął się od niego puszyć i lekko podrygiwać.

– Całe pana dzieło dowodzi, że zna pan kobiety i umie je kochać.

– I potrafią mi się za to odwdzięczyć, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

Patrzyłam na niego z fascynacją w oczach, z rozchylonymi wargami i zachwytem Najświętszej Paniienki modlącej się do Wszechmogącego, i moje starania natychmiast przyniosły efekt. Jean-André Lavissee wstał, wyjął jedną ze swoich książek z biblioteki, odnalazł właściwą stronę i podszedł do mnie, czytając na głos kilka maksym z wydanych pięć lat wcześniej *Myśli o miłości*, które przyniosły mu sławę.

„Z miłości giną mężczyźni i rodzą się kobiety”.

„Miłości można się oprzeć, jedynie uciekając przed nią”.

„Miłość jest chorobą, z której tylko śmierć może nas uleczyć”.

„Miłość nawet z wiekiem nigdy nie potrafi zrozumieć jednej rzeczy, a mianowicie, że nie jest wieczna”.

Stał w dziwnej pozycji, z wysuniętymi do przodu biodrami i odchyłoną do tyłu głową, w pozie wielkiego pisarza przyglądającego się badawczo potomności. Kiedy znalazł się w zasięgu mojej ręki, wyprostowałam się i posługując się technikami krav magi, uderzyłam go w krtań, tak jak mnie nauczył mój przyjaciel SS-man Hans w Berlinie. Mogłam wsadzić mu palce do oczu lub wałnąć go w genitalia, ale ponieważ byłam jedynie słabą kobietą, wybrałam najszybszą, a zatem najmniej ryzykowną metodę.

Jean-André Lavissee runął jak długi na ziemię i zaczął wić się w konwulsjach niczym zwierzę, któremu zadano śmiertelny cios. Miał

kłopoty z oddychaniem i ścisnął dwoma rękami szyję. Jego twarz przybrała ceglastoczerwony kolor. Dusił się.

Nie chciałam zabić Jeana-André Lavissee'a, w każdym razie jeszcze nie teraz. Uklękłam i pochyliłam się nad nim ze współczuciem:

– Wszystko w porządku, proszę pana?

W odpowiedzi wyrzucił z siebie potok słów i baniek powietrza, nic z tego nie zrozumiałam. Szepnęłam:

– Zabrał mi pan to, co miałam najdroższego, mężczyznę mojego życia Gabriela Beaucaire'a i moje dzieci. Nic mi ich nigdy nie zwróci. Poczuję się lepiej dopiero wtedy, gdy zadam panu ból: to jedno może mi przynieść trochę ulgi.

Wyjęłam z torebki Biblię i przeczytałam mu fragment z Księgi Powtórzonego Prawa:

„Niechaj cię zarazi Pan wrzodem egipskim i część ciała, przez którą wydzieliny odchodzą, krostami też i świerzbem, tak żebyś nie mógł być uleczony”^[9].

Wstałam i skomentowałam ten passus:

– W Biblii jest pełno tego rodzaju klątw: fascynują mnie.

Jego twarz zrobiła się fioletowa: z trudem oddychał i szeroko otwierał usta, jak ryba wyjęta z wody.

– Niech pan się uspokoi – powiedziałam, klękając. – Będę mniej okrutna od Boga.

Zamierzałam mu wylać na tyłek zawartość butelki kwasu solnego, żeby co do joty przestrzegać zapisów Biblii, ale zrezygnowałam, to byłoby zbyt głupie i skomplikowane. Krawędzią ręki zadałam mu drugi, a potem trzeci cios w gardło i Jean-André Lavissee już nie żył.

Nagle usłyszałam za plecami wielki śmieszny krzyk. To była służąca:

– Ludzie, ratujcie! Mordują!

Rzuciła się na mnie, warcząc, śliniąc się i gryząc. Czułam się tak, jakby zaatakował mnie wściekły pies. Natychmiast zaalarmowała całą okolicę i gdy usłyszałam odgłos kroków w korytarzu prowadzącym do gabinetu,

wstałam i popędziłam naprzód, przewracając po drodze nadbiegającego młodego człowieka, z pewnością syna Lavisse'a. Potem na podłodze wylądowała kobieta z głową buldoga, jak się później dowiedziałam, druga żona Lavisse'a, którą poślubił miesiąc po śmierci pierwszej.

Czepiała mi się nóg. Kopnęłam ją parokrotnie w twarz i w końcu puściła mnie, rżąc.

Pognałam w stronę Ogrodu Luksemburskiego. Czułam się przytłoczona. To nie było normalne, bo zbrodnia powinna mi była przynieść ulgę. Przypisywałam to uczucie drzewom огоłoconym z liści tworzącym zasieki z suchych gałęzi, o które uderzał wiatr. Zabójcza sceneria.

Na rue Vaugirard zaczęłam się pocić. Zrozumiałam dlaczego, gdy znalazłam się na wysokości kościoła Saint-Sulpice: zostawiłam Biblię u Jeana-André Lavisse'a, a tym samym przyznałam się do zbrodni.

Na pierwszej stronie widniała dedykacja:

*Dla kochanej Rose,
z okazji piętnastych urodzin,
z całą moją miłością
Emma Lempereur*

Postanowiłam natychmiast wyjechać do strefy nieokupowanej, do Marsylii, skąd zamierzałam się udać do Stanów Zjednoczonych. Wiele już przeżyłam, ale miałam zaledwie trzydzieści sześć lat. Nie było przeszkód, by zacząć życie od nowa.

[8] *Co nam zostało z naszej miłości*, przeł. Marek Bartkowicz.

[9] Deuteronomium 28:27, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu w przekładzie polskim W.O. Jakuba Wujka S.J., Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy, Kraków 1962, s. 192.

Podróż do Trewiru

Marsylia 2012. Gdy kończyłam ten rozdział, rozległ się natarczywy dzwonek i w drzwiach pojawił się Samir Mysz.

– Rose, jesteś babcią! – oznajmił.

– Co ty wygadujesz?

– Twoja córka, Renate Fröll, miała syna. Trafiłem na jego ślad w szkole podstawowej w Aschaffenburgu, do której chodził.

– Kompletnie ci odbiło!

– Przestań zaprzeczać, Rose, ośmieszasz się.

– Nie mów tak do mnie, nie znoszę tego. Trochę szacunku, kretynku!

Na dźwięk tego słowa jego oczy zaczęły miotać błyskawice, a całe ciało drzeć: Samir jest bardzo drażliwy. Chwycił mnie za ramię i potrząsnął nim, wykrzykując:

– Przepraszam, wariatko!

– Jestem już za stara.

– Przepraszam.

Teraz wykręcał mi ramię: strasznie bolało.

– Przepraszam – wymamrotałam.

Natychmiast ściszył głos:

– Udało mi się dopasować do siebie wszystkie elementy układanki.

Urodziłaś córkę w Niemczech, a ona miała syna, ma na imię Erwin.

Samir podetknął mi pod nos zdjęcie Erwina Frölla w wieku lat osiemnastu, gdy oblał *Abitur*, niemiecką maturę kończącą, dla jednych szczęśliwie, dla innych mniej, naukę w szkole średniej ogólnokształcącej.

Samir rozwalił się na kanapie, a ja stałam, oglądając w świetle lampy zdjęcie wnuka. Był ciemnowłosym chłopcem z kręconymi włosami. Jego twarz natychmiast skojarzyła mi się z twarzą Gabriela. To absurdalne, ale taka była prawda. Miał ten sam nos zdobywcy, to samo beethovenowskie czoło, ten sam zdecydowany wzrok, ten sam uśmiech, za który chciałoby

się go bić po pysku. Nie mogłam powstrzymać kilku łez, co wywołało uśmiech na twarzy Samira. Nagle zapragnęłam jak najszybciej uścisnąć Erwina:

– Gdzie można się z nim spotkać?

– Wiem, gdzie go szukać. Przyjęto go w 2004 roku do specjalnego ośrodka w Trewirze, w którym przebywają ludzie z problemami umysłowymi.

– Jest chory?

– Nie wiem, nie udało mi się dotrzeć do jego kartoteki medycznej, ale jest bardzo osłabiony. To mi powiedziała dziewczyna z centrali, gdy próbowałam się do niego dodzwonić. Niewiele zrozumiałem z tego, co do mnie mówiła: rozmawialiśmy po angielsku, który zna równie słabo jak ja.

Poprosiłam Samira o numer ośrodka w Trewirze. Zapisał go w kontaktach, wybrał numer i podał mi telefon. Dziewczyna z centrali oznajmiła, że nie może połączyć mnie z Erwinem, bo nie jest już w stanie mówić.

– Co mu jest? – Na drugim końcu zapadła cisza, potem usłyszałam: – Jeżeli jest pani jego przyjaciółką albo kimś z rodziny, radzę pani, by nie zwlekała pani z wizytą.

– Chce pani przez to powiedzieć, że umrze?

– Tego nie powiedziałam. Nie jesteśmy upoważnieni do podawania przez telefon informacji o stanie zdrowia naszych pacjentów. Ale jeżeli pani przyjedzie, przekona się pani, w jakim jest stanie...

Pod koniec rozmowy podjęłam decyzję: zamknę restaurację na cztery dni i nazajutrz wieczorem pojedziemy z Samirem i Mamadou do Trewiru.

*

Samochód Mamadou, stary peugeot z dwustu dwudziestoma tysiącami kilometrów na liczniku, nie posuwał się szybko naprzód. Dojechalismy do Trewiru rano, po blisko piętnastogodzinnej podróży, chociaż z Internetu wynikało, że nie powinna trwać dłużej niż osiem.

Wiedziałam, że Trewir, najstarsze miasto niemieckie zwane często

„drugim Rzymem”, należy także do najpiękniejszych, ale nie przyjechaliśmy tu w celach turystycznych. Chciałam jak najszybciej zobaczyć wnuka.

Po drodze, widząc winnice chronione przed zimnem przez skały łupkowe, które ogrzewają dolinę Mozeli, miałam ochotę napić się rieslinga, ale odłożyłam to na później. Poprosiłam Mamadou, by pojechał po kilka butelek w czasie naszych odwiedzin u Erwina. Kiedy wysiedliśmy z samochodu i poczułam wydobywającą się z niego woń, zrobiło mi się wstyd, a jednocześnie współczułam kwiatom i ptakom, które musiały ją znosić, zanim nie rozpędził jej wiatr.

Ten sam zapach zamkniętego pomieszczenia unosił się w klinice Fundacji Petera Lamberta, od nazwiska słynnego miejscowego hodowcy róż, w której hospitalizowany był Erwin. Jak często bywa w tego rodzaju zakładach, wszystkie telewizory szły na pełny regulator.

Gdy ktoś cały czas ogląda telewizję, oznacza to, że niedługo umrze. Nie wiem, czy istnieje tu jakaś zależność przyczynowo-skutkowa, ale doświadczenie nauczyło mnie, że to przedsiomek śmierci.

Erwin Fröll miał czterdzieści dziewięć lat, ale dałabym mu sześćdziesiąt z okładem. Gdyby nie nos i czoło, nie przypominałby już wcale Gabriela. Był łysy i pozbawiony zarostu. Ładny chłopiec ze zdjęcia zamienił się w leżący w łóżku strzęp człowieka, z ramionami, biodrami i nogami opartymi na poduszkach, by ulżyć jego stawom.

Podobnie jak wszyscy pacjenci zdawał się oglądać telewizję, ale wyświetlany film szedł dla niego za szybko. Ściszyłam dźwięk. Nie zaprotestował.

– Ach, wreszcie jesteś – powiedział z wahaniem. – Czy... przywiozłaś mi... z powrotem... mój uśmiech?

– Jaki uśmiech? – spytałam.

– Mój uśmiech. Powiedziano mi, że już go nie mam.

– Kto ci tak powiedział?

– Wszyscy to mówią.

– Wszyscy mogą się mylić.

– Ktoś bez przerwy kradnie moje rzeczy. Mój uśmiech. Mój samochód. Mojego kota. Moją szczoteczkę do zębów. Masa rzeczy znika.

Uniósł do góry palec, jakby komuś groził:

– Chcę wiedzieć, kto zabrał mi mój uśmiech.

Erwin wpatrywał się we mnie intensywnie, a potem, jakby w przeblysku świadomości, wymamrotał:

– Lubię, jak przychodzisz, mamó. Dlaczego cię już nie widuję?

– Twoja matka umarła. Nie jestem twoją matką, tylko babcią.

– Ach, tak, jak Waltraud.

Pokiwał poważnie głową i rzucił tonem wyroczeni ogłaszającej ważne odkrycie:

– Babcie to są miłsze mamy, tylko one tak naprawdę nas rozumieją. Byłaś dla mnie prawdziwą babcią, mamó. Tak jak Waltraud.

Ta wymiana zdań najwyraźniej tak go zmęczyła, że natychmiast zasnął. Pomyślałam, że niczego się od niego nie dowiem, co potwierdziła rzeczona Waltraud, pielęgniarzka oddziałowa. Poinformowała mnie w tajemnicy, że Erwin przekroczył już o kilka miesięcy średnią długość życia chorych na alzheimera w stadium terminalnym, która po dziesięciu latach rozwoju choroby rzadko wynosi ponad dwa lata.

Erwin trafił do kliniki Fundacji Petera Lamberta przed ośmioma laty i nikt go od tego czasu nie odwiedził, z wyjątkiem jego matki, która zmarła przed kilkoma tygodniami na raka żołądka, w dodatku w momencie, gdy po długich poszukiwaniach odnalazła nazwisko swojej własnej matki, czyli moje – nie nawiązała ze mną kontaktu z uwagi na chorobliwą nieśmiałość.

Waltraud powiedziała mi jeszcze, że Erwin miał się różnych zawodów, był masarzem, tynkarzem, sklepikarzem, magazynierem, malarzem budowlanym, a gdy dobiegał czterdziestki, został zawodowym bezrobotnym. „Społeczeństwo wiele nie straciło – podsumowała. – To był patentowany leń, a do tego aspołeczny, lubił tylko dużo gadać”.

Następnego dnia, gdy dojeżdżaliśmy już do Marsylii z bagażnikiem pełnym butelek mozelskiego rieslinga, siedzący z przodu Samir Mysz obrócił się do mnie, leżącej na tylnym siedzeniu z podniesionymi nogami i poduszką pod głową:

– Zabrałem z pokoju Erwina kilka pamiątek.

– Chyba nie odważyłeś się tego zrobić?!

Uśmiechnął się i wyjął z torby plastikową figurkę Karola Marksa urodzonego w Trewirze pod numerem 10 przy Brückenstrasse, wachlarz i wyduszkę z jego podobizną, *Manifest komunistyczny* i dwie książki Róży Luksemburg: *Reforma socjalna czy rewolucja?* oraz *Kryzys socjaldemokracji*.

Ulżyło mi, że Samir nie ukradł pieniędzy, więc też się uśmiechnęłam, a potem odbiło mi się rieslingiem z poprzedniego wieczora. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a ja jako pierwsza.

– Pozostała jeszcze jedna rzecz do ustalenia – oznajmiłam. – Kto wysłał zawiadomienie o śmierci Renate Fröll?

– To nie jest specjalnie skomplikowane. Wystarczy odrobina logiki. Odkąd kilka lat temu Czerwony Krzyż udostępnił swoje archiwa, wszyscy mają dostęp do dokumentów Lebensbornu i mogą poznać nazwiska swoich rodziców. Twoja córka Renate znalazła twoje, ale z niewiadomych przyczyn, może z powodu choroby, nie starała się ustalić twojego adresu.

– Skąd wiesz?

– Bo odezwałyby się, gdyby go miała. Przed śmiercią podała komuś twoje nazwisko, z pewnością pielęgniarce oddziałowej, a ta znalazła cię w Internecie.

– Chętnie wróciłabym do Trewiru, żeby porozmawiać z tą Waltraud.

– Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł. Wbrew temu, co sądziłem, ta podróż nie zrobiła ci dobrze, Rose. Musisz odpocząć.

– To prawda – potwierdził siedzący za kierownicą Mamadou, nie odwracając głowy.

– Cieszę się, że zobaczyłam swojego wnuka – powiedziałam. – Ale

żałuję, że przyjechałam za późno.

– Przestań z tymi wyrzutami – przerwał mi Samir. – Gdy nie lubi się swojej przeszłości, lepiej nie oglądać się wstecz, tylko iść swoją drogą.

– Tym bardziej że po drodze zostawiam jedynie umarłych – podsumowałam cicho.

Po raz pierwszy spojrzenie, które przesłał mi Samir, było tak pełne dobroci, że o mało się nie rozplakałam. Zbił mnie tym z tropu.

Teraz, gdy mój wnuk miał niebawem umrzeć, Samir i Mamadou stanowili całą moją rodzinę. Miałam ochotę im to powiedzieć, ale trudno mi było znaleźć słowa.

Szukałam ich nadal, gdy dojechaliśmy do Marsylii, gdzie właśnie zapadał zmrok: horyzont zakrywały krwawe plamy, przywodził na myśl rzeźnię. Nie lubię zachodów, mam wrażenie, że pozbawiają mnie życia. Świat jest źle pomyślany: słońce zachodzi zawsze wtedy, gdy się go najbardziej potrzebuje.

Simone, Nelson i ja

Nowy Jork 1943. Paul Chassagnon odkupił ode mnie restaurację La Petite Provence za pieniądze zarobione w czasie mojej nieobecności, więc przyjechałam do Stanów z dużą kasą. Wszyłam banknoty pod podszewkę płaszcza.

Dzięki ormiańskiemu stowarzyszeniu wzajemnej pomocy natychmiast znalazłam pracę jako kucharka w małej restauracji przy 44 Ulicy, blisko hotelu Algonquin, niedaleko Times Square. Spałam na miejscu w suterenie. Myślę, że nigdy w życiu tak nie harowałam.

Przeszkadzała mi nie tyle praca, ile zapachy cukru, mięsa, cebuli i wrzącej oliwy, cztery aromaty Nowego Jorku, w których żyłam przez cały dzień i co wieczór zabierałam je ze sobą na dno śpiwora.

Często chciało mi się wymiotować sobą.

Ponieważ restauracja była zamknięta jedynie w niedzielę w południe, w moim życiu wiele się nie działo. Raz w tygodniu wychodziłam tylko na mszę do katedry Świętego Patryka, całej w złocie i marmurze, przy Piątej Alei.

Po paru miesiącach przeniosłam się do kościoła Świętego Tomasza, położonego nieco niżej przy tej samej ulicy. Gdyby nie wspaniały ołtarz z dwunastoma apostołami, George'em Washingtonem i byłym premierem Wielkiej Brytanii Williamem Gladstone'em, panowałaby w nim tak ponura i toksyczna atmosfera, że mogłby wpędzić w neurastenię najradośniejszego nawet katolika, ale ostatecznie wolę tradycję cierpiętniczą od kultu złotego cielca, który w przerysowanej wręcz formie symbolizowała katedra Świętego Patryka.

Wróciłam z Niemiec tak wierząca, jak nigdy wcześniej. Chodziłam regularnie do kościoła pytać Jezusa i Najświętszą Panią, co słyhać u mojej rodziny w niebie. Najwyraźniej wszystko było w porządku. O ile zmarli niekoniecznie są tam, w górze, szczęśliwsi, o tyle nie męczą się tak,

jak żywi na ziemi. Nie muszą walczyć. Mają czas dla siebie.

Gdy była piękna pogoda, po mszy, przed powrotem do pracy, szłam zjeść kanapkę do Central Parku. Lubiłam patrzeć na wiewiórki tarzające się w trawie, a potem kopiące w niej w poszukiwaniu żołądźdza, którego obiorą swoimi dziecięcymi łapkami, machając ze szczęścia ogonem w formie pióropusza.

Właśnie w Central Parku poznałam mężczyznę, który dał mi nową szansę. Był akwizytorem i handlował pastą do zębów oraz mydłem do golenia. Miał około pięćdziesiątki, wielki brzuch, małe wąsy i wygląd melancholijnego wołu. Nazywał się Frankie Roberts i chciał otworzyć restaurację w Chicago.

Postanowiłam wyruszyć z nim tego samego dnia, gdy przyszedł spróbować moich dań w garkuchni przy 44 Ulicy, po czym zaproponował, żebym weszła z nim w spółkę. Ameryka jest krajem, w którym ciągle zaczyna się życie od nowa, aż do śmierci. Dlatego Ameryka w końcu uwierzyła, że jest wieczna. Na tym polega jej słabość. Na tym polega też jej siła.

Nazwaliśmy z Frankiem naszą restaurację w Chicago Frenchy's. Pierwsze miesiące były trudne: kuchnia prowansalska nie budziła zachwyty, ledwie wiązaliśmy koniec z końcem. Dopiero gdy wyspecjalizowałam się w hamburgerach, nasz położony nad jeziorem zakład rozwinął skrzydła.

Gdy tylko we Frenchy's zaczęło cuchnąć śmiercią, innymi słowy grillowanym mięsem, natychmiast pojawili się klienci. Jako wegetarianka nie mogłam się pogodzić z tym strasznym zapachem. Ponieważ nie potrafiłam się do niego przyzwyczaić, zrozumiałam, że nigdy nie stanę się Amerykanką.

Mieszkańcy Stanów Zjednoczonych to mięsożercy, którzy potrzebują dziennej dawki krwistego mięsa; siłą napędową tego społeczeństwa jest kotlet mielony, tak jak innych nadzieja albo pałka. Miałam poczucie, że nieustannie żyję w grzechu. Nawet cuchnęłam grzechem.

Klienci mogli sobie u nas zamówić dowolnego hamburgera na życzenie. Z ziołami, z ostrymi przyprawami, z nasionami szyszki sosnowej, z płatkami owsianymi, z mozzarellą, z tartym żółtym serem gruyère, z cebulą, z papryką, z pomidorem, z oberżynami, ze szpinakiem, z kawałkami ananasa, wszystko było możliwe. Opracowałam, w formie dodatku, kilka sosów: musztardowy, na bazie sera roquefort, czosnkowy i koperkowy, wszystkie bardzo słodkie.

Poza tym piekłam najlepszy *strawberry short-cake* w Chicago. Ochrzciałam go *tarte aux fraises à l'américaine*, figurował pod francuską nazwą w karcie i schodził nawet lepiej niż mój słynny krem karmelowy, którego wbrew lokalnym gustom postanowiłam nie dosładzać.

W tamtym czasie chciałam mieć w łóżku jakiegoś mężczyznę. Frankie Robarts nie był nadzwyczajny, a poza tym chrapał. Nie mówiąc o czymś w rodzaju żelatyny, która wypełniała jego brzuch, tyłek i uda, przez co, gdy się kochaliśmy, miałam wrażenie, że pływam w owsiance.

Łączyło nas tylko jedno, restauracja, dzięki czemu mieliśmy temat do rozmowy. Gdy go zmienialiśmy, Frankie szybko robił się nudny, zadowalał się pustymi frazesami, jakby bał się ryzykować i pokazać swoją prawdziwą twarz.

Nieustannie się pilnował. Znosiłam go wyłącznie dlatego, że podziwiał moje talenty kulinarne oraz wielbił moje piersi i pośladki. Choć był nudziarzem, stanowił najlepsze antidotum na moje lęki. Ciągłe powtarzał, że jestem jego jedyną rodziną. Jeśli o mnie chodzi, to też była prawda. Po roku wspólnego życia zdecydowałam się za niego wyjść.

Mimo to szukałam czegoś lepszego. Zawsze obchodziłam salę pod koniec zmiany i czasami zdarzało mi się wypatrzeć klientów, którzy mi się podobali, ale nigdy nie miałam odwagi zdobyć się na decydujący krok i odpowiedzieć na ich awanse. Byłam jak ci ludzie, którzy, szukając okazji, by wyrwać się ze stadła małżeńskiego, uciekają przed nią, gdy tylko się nadarzy.

Powtarzałam sobie, że miłość dla mnie już umarła. Minęły dwa lata, aż

pewnego wieczoru zimą 1946 roku stanęłam osłupiała przed facetem o ponurym wzroku. Widząc go, trudno było orzec, czy jest artystą, czy pracownikiem fizycznym. Jedynie w Ameryce i w Rosji spotyka się osoby w rodzaju pisarza barczystego jak drwal, który zdaje się wychodzić z lasu, gdzie właśnie ścinał drzewa.

Był bokserem, hazardzistą, pijakiem, komunistą, a w wolnych chwilach pisarzem. Nazywał się Nelson Algren i napisał już głośną książkę *Never Come Morning*. Natychmiast wyczułam, że jest równie porywczy, jak romantyczny: ten znawca dołów społecznych miał w sobie złość, której kielich miałam ochotę pić, nie zwlekając. Będzie burzą, a ja będę jego ziemią żywicielką. Nie mogłam się doczekać, aż mnie zniszczy. Odczuwałam to jak palącą potrzebę, jak ugryzienie – przestało piec dopiero, gdy skonsumowaliśmy nasz związek.

Gdy ujrzałam go po raz pierwszy, jadł kolację z pseudoaktorką uczesaną jak Vivienne Leigh w filmie *Przeminęło z wiatrem*, który cztery lata wcześniej wszedł na ekrany w USA. Dziewczyna nie była w stanie powiedzieć dwóch sensownych zdań. Nie wiem, czy wynikało to z głupoty, czy z nieśmiałości, wychodziło na jedno. Gdy Nelson Algren się dowiedział, że jestem Francuzką, spytał, jak mogłam opuścić Paryż i wylądować w takiej szcurzej norze jak Chicago.

– Wojna – powiedziałam – jest jak bombardowanie: rzuca przedmioty i ciała w nieprzewidziane miejsca.

Zobaczyłam, że moja odpowiedź go zainteresowała i że przez moment zamierzał drążyć ten temat, ale ostatecznie postanowił się dowiedzieć, czego żałuję najbardziej.

– Niczego – odparłam.

– To niemożliwe!

– Wiem, że jeżeli wrócę do Paryża, cały czas będę płakać.

– Nie wierzę pani.

– Nie chcę wracać tam, gdzie mieszkają moi zmarli. Nie mogłabym żyć pośród nich.

– Nie chce pani spróbować?

– Za bardzo kocham życie. Po co je psuć?

Powtórzył moje słowa, po czym stwierdził:

– To piękne, co pani powiedziała. Czy pozwoli pani, że wykorzystam to kiedyś w swojej powieści?

– Będzie to dla mnie zaszczyt.

Nie byłam naiwna. Później się przekonałam, że często używał tej sztuczki. W przeciwieństwie do wielu pisarzy był zawodowym uwodzicielem.

Następnego dnia pojawił się znowu, ale z inną dziewczyną, zdziwą z wypłowiałymi włosami, i zostawił mi swój numer telefonu na małej żółtej karteczce. Zadzwoiłam następnego ranka i spotkałam się z nim w jego dwupokojowym mieszkaniu na północy Chicago. Miałam trzydzieści dziewięć lat i szaloną ochotę, by nie tracić czasu.

Gdy otworzył drzwi, rzuciłam się na jego usta z taką siłą, że o mało się nie przewrócił. Kiedy odzyskał równowagę, zaciągnął mnie, nie przerywając pocałunku, na łóżko i kochaliśmy się na nim.

Potem leżeliśmy obok siebie i rozmawialiśmy jakiś kwadrans, patrząc w sufit, po czym postanowiłam posprzątać jego odrażająco brudną norę, po której walały się puste butelki.

Przez miesiąc zjawiałam się w maleńkim mieszkaniu dwa, trzy razy w tygodniu, uprzedzając go o moim przyjsciu. Dzięki miłości piękniałam w oczach. Opowiadałam mężowi, że idę spotkać się z dostawcą lub że mam wizytę u dentysty, niczego nie podejrzewał. Jego łatwowierność pogłębiała moje poczucie winy, zwłaszcza gdy byliśmy w pełnej akcji i odwracając wzrok od szklistych oczu Nelsona przeżywającego orgazm, wyobrażałam sobie w półmroku przybitego Frankiego. Gdybym się skoncentrowała, jestem pewna, że zobaczyłabym w tle twarze Gabriela, Édouarda, Garance, taty, mamy i wszystkich pozostałych.

Co oni tam robili? Dlaczego musiałam widzieć zmarłych i nieobecnych za każdym razem, gdy doznawałam rozkoszy? Przecież, sprawiając sobie

przyjemność, nikogo nie krzywdziłam.

Któregoś popołudnia na początku 1947 roku, gdy zadzwoniłam do Nelsona, żeby uprzedzić go o swojej wizycie, poprosił, żebym nie przychodziła:

– Jestem z kimś.

To była Simone de Beauvoir, która przyjechała z wykładami do Stanów Zjednoczonych. Gdy następnego dnia Nelson przyprowadził ją do restauracji na kolację, padłyśmy sobie w ramiona. Pachniała alkoholem, papierosami i wonią, której wołę nie określać, ale poznałam ją u niego w domu.

Nelson dobrze działał także na nią, w każdym razie znacznie lepiej niż Sartre. Nigdy nie widziałam jej równie pięknej i kwitnącej.

Siedziałam z nimi aż do zamknięcia restauracji. W pewnym momencie rozmowa zesłała na Stany, gdzie ich zdaniem, z powodu pauperyzacji klasy robotniczej, sytuacja dojrzewała do „rewolucji”. Dość szybko zaczęli mówić podniesionym głosem. Nakręcali się nawzajem, co mnie irytowało. Tylko wykształceni i utalentowani ludzie potrafią wygadywać takie bzdury święcie przekonani, że mają rację.

– Mimo trudności Amerykanie nie robią wrażenia nieszczęśliwych – zaprotestowałam. – Nie rozumiem, dlaczego mieliby obalać ustrój.

– Chyba nie zaprzeczysz, że w Rosji i w Chinach dzieje się coś ważnego – oburzył się Nelson. – Nie możesz być ślepa na przyszłość ludzkości!

– Rząd nie może dać ludziom szczęścia, nigdy nie uwierzę w te brednie.

– Ach, tak? W takim razie kto może je dać?

– Sama mogę je sobie dać. A poza tym podoba mi się życie tutaj.

– Bo nie masz czasu myśleć – westchnął Nelson z pogardą. – Jesteś wyalienowana przez system kapitalistyczny, kompletnie wyalienowana!

Simone spijała słowa z warg Nelsona: tak wielka miłość przypomina alienację, powiedziałaby Sartre. Mimo wszystkiego, co opowiadano na jej temat, nie puszczała się, tylko się oddawała. Często się później zastanawiałam, czy to nie przez tych swoich facetów miała taki spaczony

obraz świata.

Tamtego wieczoru miała rozszerzone źrenice. Wystarczyło zobaczyć jej wzrok, żeby zrozumieć, że mój były kochanek zdetronizował Sartre'a i został mężczyzną jej życia, przynajmniej na jakiś czas.

Dlatego nie byłam zdziwiona, gdy znacznie później się dowiedziałam, że chciała zostać pochowana, rzecz jasna, u boku swojego Sartre'a, ale z pierścionkiem, który podarował jej Nelson. Po zerwaniu nienawidzili się tak bardzo, że jestem pewna, iż się dalej kochali.

W kolejne dni zakochana para codziennie bywała we Frenchy's. Cieszyłam się ich szczęściem. Niczego mnie nie pozbawiało, wręcz przeciwnie. Mój związek z Frankiem, który chwilowo ucierpiał w wyniku mojego romansu z Nelsonem, na nowo się umocnił po jego zakończeniu.

Gdy Simone wróciła na drugi brzeg Atlantyku, Nelson dalej odwiedzał restaurację, ale rzadziej i prawie wyłącznie w towarzystwie kobiet. Obawiałam się o ich miłość, wydawało się, że nie jest to uczucie na miarę ludzką, aczkolwiek któregoś dnia, gdy przyszedł sam i miał ochotę porozmawiać, wyjął z portfela list od niej z datą 14 stycznia 1950 roku, w którym napisała:

„Och, Nelsonie! Będzie tak przyjemnie i dobrze, zobaczysz, będę szorowała podłogi, gotowała kompletne posiłki, napiszę książkę za Ciebie i za siebie też, będę Cię kochać po dziesięć razy w nocy i tyle samo za dnia, nawet gdybym miała się troszkę zmęczyć”^[10].

Pamiętam jeszcze uśmiech Nelsona, gdy zwracałam mu list, uśmiech pogromcy, który poskromił dziką bestię.

– Niby feministka, ale jednak kobieta – skomentował, głaskając się po przedramieniu.

Jakiś czas później, po kolacji z dziennikarzami o wyglądzie spiskowców, Nelson został ze mną chwilę i zaczął mi się wywnętrzać. Wydawało mu się, że są dwie Beauvoir. Kobieta i feministka. Kobieta zakochana i kobieta uparta. Nie żądał, żeby odcięła się od korzeni i popełniła „duchowe samobójstwo”. Pragnął po prostu coś z nią zbudować.

Wspólny dom i dziecko nie było chyba wygórowanym oczekiwaniem. Podobno nie chciała o tym słyszeć.

Nie zaczęłam się znowu spotykać z Nelsonem. Nie to, żeby brakowało mi ochoty, ale on jej nie podzielał. Pewnie za bardzo utylałam, w szczególności w biodrach i w nogach. Może się obawiał, że któregoś dnia powiem o tym Simone. Przez kolejne lata zachowywałam się wzorowo, jakbym starała się odkupić winy, których mój mąż ledwie się domyślał. Do niczego się nie zmuszałam: polubiłam te powtarzalne gesty, z jakich składało się nasze życie restauratorów, którzy odnieśli sukces; uspokajały mnie. Nasza przyszłość była przeszłością, która cały czas zaczynała się od nowa.

Frankie bardzo przytył. Takie były, w tamtych czasach, skutki sukcesu. Wążył znacznie powyżej kwintala i już dawno musieliśmy zrezygnować z pozycji misjonarskiej: przypłacałabym to życiem.

Chicago jest miastem skrajności. Raz przypomina Grenlandię, kiedy indziej tropiki. „Klimat jest tu mocno przesadzony”, mawiał Frankie Robarts. Zawsze jest tam za zimno lub za ciepło. Nieraz się wydawało, że wszystko wrze jak w garnku, a ugotowane ryby wypływały na powierzchnię jeziora Michigan i gniły na piaszczystych plażach.

– Witamy na plaży zdechłych ryb – żartowaliśmy. Ale to nie było śmieszne, w niektóre dni odór przeszkadzał klientom.

Mój mąż znosił wysokie temperatury mniej więcej tak jak ryby z Michigan. Gdy nadchodziła fala upałów, był mokry jak gąbka i cały spływał potem. Obawiałam się tych okresów, które mogły skazać mnie na dwa miesiące abstynencji seksualnej. Co noc zdarzało się coś strasznego, to znaczy nic.

Dnia 2 lipca 1955 roku, gdy słońce zaczęło mocniej przygrzewać, Frankie Robarts nie wytrzymał. Umarł w trakcie obsługiwania gości na zawał serca wywołany wylewem, gdy podawał hamburgera klientce. Upadając na nią, przewrócił ją i pobrudził jej twarz keczupem.

Kilka dni później dostałam list z kondolencjami od Simone de Beauvoir,

którą Nelson Algren poinformował o śmierci mojego męża. Zaproponowała mi, abym jesienią wybrała się z nią i z Jeanem-Paulem Sartre'em do Chin, aby zmienić otoczenie. Pokrywamy wszystkie koszty – dodawała. Wobec chińskich władz miałam uchodzić za ich sekretarkę.

Sprzedałam restaurację i dołączyłam do nich w Pekinie, przejechawszy przez Moskwę: nie chciałam, by moja stopa stanęła na francuskiej ziemi.

[10] Simone de Beauvoir, *Listy do Nelsona Algrena*, przeł. Jolanta Kozak, Muza, Warszawa 2000, s. 348.

Drugi mężczyzna mojego życia

Pekin 1955. Gdy przyjechałam do Pekinu, natychmiast polubiłam Chińczyków, ludzi konkretnych, których nie trapią żadne wątpliwości i którzy się nie oszczędzają. To Amerykanie, z tym że bez szerokiego uśmiechu z zębami na wierzchu oraz tendencji do tycia wywołanej nadmiarem cukru i tłuszczów zwierzęcych. Moim skromnym zdaniem, ponieważ chodzą szybciej, nieuchronnie zajdą dalej.

Miałam czterdzieści osiem lat, czas najwyższy, żeby znaleźć bratnią duszę zdolną na nowo rozpalić słońce, które zawsze, nawet nocą, oświetlało mnie od wewnątrz, a którego ostatnie promienie zgasły wraz ze śmiercią Frankiego Robartsa.

Para Sartre–Beauvoir była taka, jaka była, więc mogłabym dać jej się skusić, tak jak dwanaście lat wcześniej w La Petite Provence. Podejrzewałam nawet, że Simone nie miałyby nic przeciwko temu. Ale niezależnie od całej mojej fascynacji, intelektualista z głową ropuchy i zepsutymi zębami nie był w moim stylu. Nie znosiłam jego wymuszonego uśmiechu – odnosiło się wrażenie, że stęka. W dodatku jego stalowy głos przypominał mi dźwięk kamienia przejeżdżającego po szybie. Wreszcie często miał napady jadowitej złośliwości cechującej niektóre pozbawione wdzięku osoby, o której świadczył jego oddech: wyczuwało się w nim w takim samym stopniu gorzycz, jak tytoń i alkohol.

Simone nie sypiała z nim już od niepamiętnych czasów i nawiasem mówiąc, rozumiałam to. Nelsona Algrena zastąpił Claude Lanzmann, bardzo przystojny młodzieniec, którego nigdy nie spotkałam, a o którym mówiła z uczuciem. W tamtym okresie miała kwitnącą twarz kobiety kochanej.

Tym, co Sartre miał najlepszego, była Beauvoir. Kim byłby bez niej? Upartą chorągiewką na wietrze. Słabym pisarzem. Innymi słowy nikim szczególnym. To ona stworzyła jego legendę.

Przez sześć tygodni przemierzaliśmy Chiny od Pekinu po Szanghaj i od Kantonu po Nankin, lecz jak powiedział znacznie później Sartre, gdy odzyskał trzeźwość myślenia, „widzieliśmy wiele rzeczy, ale tak właściwie nie widzieliśmy nic”. Wszystko było oficjalne, nawet rozmowy prywatne, i nigdy nie zapomnę migreny, jaka mnie dopadała, gdy tylko jakiś aparatczyk zaczynał katować nas przemówieniem, w którym starał się nic nie powiedzieć – tę sztukę wszyscy opanowali tam do perfekcji. Żal mi ich było.

Sartre i Beauvoir niczego nie dostrzegali. Gospodarze gięli się w ukłonach, a oni byli w siódmym niebie. Przypominali dwa ślepe, głuche pawie puszące się wśród drobiu.

Zawsze będę powtarzać to, co stało się jedną z najważniejszych lekcji w moim życiu: nie ma nic głupszego niż ludzie inteligentni. Wystarczy schlebiać ich ego, a można nimi dowolnie manipulować. Łatwowierność i próżność idą w parze i stanowią dla siebie pożywkę, nawet u tych najwybitniejszych: miałam okazję się o tym przekonać w ciągu całej podróży.

Gdy Simone robiła notatki do swojej najgorszej książki, *La Longue Marche*, eseju o Chinach wydanym w 1957 roku, ja zapisywałam w zeszycie formułki, które przychodziły mi do głowy podczas naszych wojaży:

„Człowiek pracuje, ale Chińczyk pracuje więcej”.

„Inteligent daje się głaskać, ale biedak nie. Jest zbyt poturbowany: pieszczoty sprawiają mu ból”.

„Świetlana przyszłość zawsze niesie ze sobą czarną rozpacz”.

„Komunizm: ustrój, którego twórcy nie zrozumieli, że aby uszczęśliwić innych, wystarczy pozostawić ich przed pięknym krajobrazem i dać im święty spokój”.

Dokładnie w przededniu naszego powrotu zakochałam się w chińskim komuniście. Na jego widok poczułam mniej więcej to samo co wtedy, gdy zobaczyłam Gabriela. Po plecach przebiegł mi wstrząs sejsmiczny,

któremu towarzyszył bezdech i straszna chęć zrobienia siusiu. Wymieniliśmy jedno spojrzenie, a już wiedziałam, że będę z nim do końca życia, a przynajmniej tak długo, jak potrwa ta miłość.

Nazywał się Liu Zhongling. Był wdowcem, młodszym ode mnie o dwanaście lat. Gdy się zastanawiam, co mi się w nim najbardziej podobało, nie wiem, od czego zacząć, był doskonały od stóp do głów, oczy w kształcie migdałów, wargi, które chciałyby się schrupać, zręczny język, umięśniony, aż do kształtnych palców u nóg, które uwielbiałam ssać. Ten mężczyzna był jak cukierek i gdy myślę o nim, nie wstydzę się wyznać, że ślinka cieknie mi jeszcze do ust.

Muszę też opowiedzieć, jak pachniał wieczorem, gdy się spotykaliśmy. Lekki aromat pizma z dodatkiem jesiennych kwiatów, mokrego drewna i wytłoczn winnych.

Jego intelekt nie odbiegał od całej reszty. Liu był zarazem przewodnikiem, tłumaczem i komisarzem politycznym. Po naszym powrocie z podróży na północ kraju przydzielono go nam na ostatni dzień pobytu w Pekinie, głównie, by wyjaśnił Sartre'owi i Beauvoir, którzy byli z tego powodu bardzo niezadowoleni, że przewodniczący Mao nie będzie mógł ich przyjąć.

Dopadłszy mnie po pożegnalnym przyjęciu, Liu zwrócił się do mnie w idealnej francuszczyźnie:

– Nie wiem, jak to pani powiedzieć, nie rozumiem, co się ze mną dzieje, i na pewno uzna mnie pani za idiotę, ale cóż, powiem to, proszę mi wybaczyć: nie mogę sobie wyobrazić życia bez pani.

– Ja też nie – odparłam bez wahania.

Rozmowa zakończyła się w moim pokoju, gdzie bez żadnych wstępów Liu tak się mną zajął, że po godzinie miałam wrażenie, że przeleciała mnie cała armia rozochoconych kochanków. W łóżku był wykańczający i nie do zdarcia.

Przy nim wystarczyło tylko dać się ponieść jak pakunek na rozszalałym morzu. Przez te wszystkie lata, jakie z nim spędziłam, moją skórę

pokrywały siniaki, ślady po pocałunkach, uszczyptnięciach, ugryzieniach, które obnosiłam z dumą jak medale. Nie mówiąc o zakwasach.

Gdy skończyliśmy się kochać, Liu opowiadał mi o literaturze, w szczególności o Stendhalu, którego twórczość miał w małym palcu. Choć w żadnym razie nie był przemądrzały, zdałam sobie sprawę ze swojej encyklopedycznej wprost niewiedzy.

Pamiętam, że zacytował mi fragment, jego zdaniem typowo stendhalowski, z *Życia Henryka Brulard*, którego ciągle nie przeczytałam:

„Miłość była zawsze dla mnie najważniejszą sprawą lub raczej jedyną”^[11].

Po tym, gdy wziął mnie po raz drugi, oznajmił, że znalazł rozwiązanie, które pozwoli nam żyć razem mimo trudnej sytuacji. Poprosi ambasadora Albanii, który jest jego przyjacielem, żeby zatrudnił mnie jako kucharkę.

Następnego dnia pozwoliłam więc Sartre’owi i Beauvoir odlecieć do Paryża. Simone zrozumiała, dlaczego zostaję. Na lotnisku, na które ich odwiozłam, nachyliła się do mnie i szepnęła mi do ucha:

– Liu?

Skinęłam głową.

– Rozumiem panią – westchnęła. – To piękny chłopiec. Gdy na horyzoncie pojawia się miłość, nie należy się wahać i czekać, aż przyjdzie znowu. Trzeba ją chwycić, jak tylko się zjawi, i już jej nie puszczać.

Simone jeszcze bardziej ściszyła głos:

– Jeżeli mogę dać pani jakąś radę, to nigdy nie należy stawiać się w sytuacji, w której do końca życia żałowałyby się podjętej decyzji, sądzę, że nie ma nic gorszego.

W sprawach życiowych Simone była dobrym doradcą, co mogłam stwierdzić znacznie później, pochłaniając jednym tchem jej książki, które chciałabym przeczytać jeszcze raz zanim umrę: *Drugą płec*, *Mandarynow*, *Pamiętnik statecznej pani*. Co do reszty, a w szczególności jeśli chodzi o politykę, myliła się ponad miarę. Ponieważ gdy tylko wyzwoliła się z jarzma burżuazji, wpadła w sidła elit intelektualnych, była zbyt

sztywna, by myśleć właściwie. Usprawiedliwia ją sztywność.

Natomiast Sartre, jej zły duch, nie miał żadnego usprawiedliwienia, poza nadzwyczajną inteligencją, która pchała go w objęcia najgorszej głupoty, dając mu wielką pewność siebie, zwłaszcza tę, że zawsze spadnie na cztery łapy – i tak się działo, mimo że mylił się właściwie we wszystkim. Krótkowzroczny wobec nazizmu, którego szatański charakter umknął jego uwadze w czasie pobytu w Niemczech w roku akademickim 1933/1934. Tchórz wobec Vichy, które później zwalczał, co nie przeszkodziło mu po wyzwoleniu odgrywać opozycjonistę od pierwszych godzin wojny. Ślepy wobec komunizmu, który słał za czasów Stalina, rewolucji w Trzecim Świecie, którym żarliwie służył, czy lewactwa, w którym płał się pod koniec życia.

Cóż za znaczenie miało to, że bez przerwy się mylił, ważne, że był podziwiany. Najchętniej z Simone de Beauvoir, uosobieniem dystynkcji. To, że jego linia polityczna wiodła go na manowce, nie odgrywało żadnej roli. Natychmiast ją zmieniał, a jego pieski potulnie szły za nim. Jego status dawał mu prawo do błędzenia. Aby w tamtym okresie mieć to prawo, wystarczyło być po dobrej stronie. Jego stronie.

[11] Stendhal, *Dzieła wybrane*, tom 2: *Życie Henryka Brulard*, przeł. Tadeusz Żeleński (Boy), PIW, Warszawa 1985, s. 606

Gołąb pocztowy

Pekin 1958. Liu Zhongling często spotykał się z Mao Zedongiem (1,80 m) i Deng Xiaopingiem (1,50 m), ale długie miesiące zajęło mi ustalenie, jaką dokładnie pełni funkcję w aparacie chińskiej partii komunistycznej. Przy swoim wzroście (1,65 m) stanowił doskonałą syntezę ich obydwu.

Na początku naszego związku za każdym razem, gdy próbowałam rozmawiać z nim o polityce, zmieniał temat. Szybko zrozumiałam, że jedno z jego zadań polega na tym, by nie dopuścić, aby dzieląca ich przepaść nadmiernie się pogłębiła.

Przez długi czas nowy mężczyzna mojego życia wyraźnie oddzielał od siebie różne sfery egzystencji. Nigdy się z niczym nie zdradzał. Z pewnością unikał nawet myślenia o pracy w mojej obecności, obawiając się, że wyczytam coś w jego myślach, do czego ostatecznie byłabym zdolna, bo tak bardzo stapialiśmy się w jedno: ja byłam nim, a on mną.

Czasem cierpiałam katusze, gdy Liu bolał ząb, lub wyłam z bólu, gdy sparzył sobie rękę pokrywką garnka. Jeżeli mieliśmy katar lub grypę, to zawsze razem. Od rana do wieczora stanowiliśmy jedną i tę samą osobę, a w nocy zamienialiśmy się w dwugłową bestię.

Dużo podróżował. Gdy Liu był w Pekinie, rzadko zdarzało mu się spędzić ze mną cały dzień: miał za dużo pracy. Dziś wystarczy, bym zamknęła oczy, żeby przywołać w pamięci kilka naszych spacerów po pekińskich parkach czy hutongach, tradycyjnych dzielnicach z wąskimi uliczkami, gdzie przechodziło się między sznurami z suszącym się praniem.

Lubiłam Pekin w każdą pogodę, także gdy się wydawało, że niebo spadło na ziemię i że idziemy w grochowym purée, pośród chmur. Ale najbardziej tęsknię za naszymi nocami na poddaszu w ambasadzie Albanii. Gdy piszę te słowa, czuję, jakbym gdzieś w środku krwawiła.

Nigdy nie spędziliśmy choćby jednej nocy razem, nie kochając się

przynajmniej raz. Łatwo zrozumieć, że była to dla mnie duża odmiana po życiu z Frankiem Robartsem. Wszystko zapisywałam w małym notesiku, który zabrałam ze sobą: w ciągu trzynastu lat dał mi 4263 orgazmy. Do tej witalności należało dodać zdolność słuchania i uwagę, która pogodziłaby z rodzajem męskim najbardziej antyfallokratyczną z feministek.

Liu co prawda nigdy nie wymazał z mojej pamięci Gabriela ani go nie zastąpił, ale zasłużył w niej na własne miejsce i jest ono pokaźne. Jeszcze dziś, gdy moi bliscy, którzy odeszli, tłoczą się w mojej głowie, za małej, by ich wszystkich pomieścić, myślę o nim kilka razy dziennie. Gdy otwieram okno, by odetchnąć świeżym powietrzem – od tego zaczynał dzień. Lub gdy rozgniatam przekrojone na pół jajko na twardo w sosie sojowym, co lubił robić przy śniadaniu.

Ambasada Albanii nie miała ani grosza, a moja praca była równie niewdzięczna, jak ciężka. Sytuacja nie poprawiła się, nawet gdy Albania poparła Chiny po referacie Chruszczowa o zbrodniach stalinowskich na XX zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego w 1956 roku.

Jego Ekscelencja Mehmet Artor był starym kawalerem, dawnym nauczycielem francuskiego w Tiranie i dalekim kuzynem Envera Hodży, lokalnego kieszonkowego Stalina. Chciał jeść wyłącznie potrawy albańskie, w szczególności gulasz, kurczaka z orzeszkami, byrek z warzywami czy liście winogron nadziewane ryżem. Irytował się, jeśli nie podałam mu maślanki czy bozy, sfermentowanego napoju o niskiej zawartości alkoholu, wytwarzanego ze zboża, kukurydzy i cukru, który można doprawiać sproszkowaną wanilią. Po obiedzie czy kolacji musiał dostać talerz baklawy z miodem i orzechami. Jadł ją bez umiaru, czego dowodził jego brzuch.

Zdobycie tych produktów było prawdziwym koszmarem. Nierzadko całymi tygodniami nie mogłam dostać miodu, pszenicy czy warzyw i Jego Ekscelencja złościł się wówczas na mnie, po czym krytykował funkcjonowanie chińskiego reżimu. Jego wiara w maoizm wydawała się

zmieniać w zależności od tego, co znajdował na talerzu.

Na razie nie było tego wiele. Powodem takiego stanu rzeczy była polityka wielkiego skoku naprzód, wprowadzona przez Mao Zedonga w 1958 roku w celu przyspieszenia marszu do komunizmu, w szczególności na wsi, gdzie realizowano szaleńczy program kolektywizacji połączony z walką z „odchyleniami prawicowymi”, który dotarłszy nawet do najodleglejszych wiosek, wywołał głód i wykrwawił kraj.

„Permanentna rewolucja” stanowiła kontratak Mao Zedonga na frondę wewnętrzną, kiedy to kilku dygnitarzy partyjnych, jak Zhou Enlai czy Liu Shaoqi skrytykowali go za lewactwo i awanturnictwo polityczne. Twierdzą, że przewodniczący za szybko idzie do przodu? No cóż, tym gorzej dla nich, będzie szedł jeszcze szybciej.

Przebywając w ambasadzie Albanii, z której wychodziłam wyłącznie na zakupy na targ, nie byłam świadoma katastrofy, jaką polityka Mao Zedonga wywołała w kraju. Szybko jednak zdałam sobie sprawę, że coś jest nie tak: na próżno miotałam się i biegałam po placach targowych, wszędzie półki były niemal puste. Często przynosiłam jedynie pataty albo *bok choy*, chińską kapustę, nieraz kotlety z psa, ale coraz mniej składników mogłam wrzucić do zupy Jego Ekscelencji, który siadał do stołu ze smutną miną.

Im bardziej sytuacja stawała się dramatyczna, tym bardziej Mehmet Artor kurczowo trzymał się marksizmu-leninizmu, którego chińscy komuniści nie byli w stanie wprowadzić. Ambasador składał problemy z zaopatrzeniem na karb ponurego spisku burżuazji i kapitalizmu.

– Głodzą nas, żeby nas zniechęcić do komunizmu – narzekał Mehmet Artor, uderzając w stół trzonkiem noża. – Wystarczyłoby ich wyeliminować i wszystko wyglądałoby znacznie lepiej. Mój kuzyn Enver raz, dwa, trzy by to załatwił.

W tym okresie Liu zaczął opowiadać mi o swojej działalności i dzielić się ze mną wątpliwościami. Jako najlepszy przyjaciel najstarszego syna

Mao, Anyinga, który zginął podczas bombardowania w trakcie wojny koreańskiej w 1950 roku, miał dojścia do przewodniczącego. Ale był przede wszystkim człowiekiem oddanym Deng Xiaopingowi, sekretarzowi generalnemu Komunistycznej Partii Chin, nastawionemu coraz bardziej wrogo, choć nie mówił tego publicznie, do szaleństwa, jakim był wielki skok. Mój przyjaciel przekazywał wiadomości od niego i ostrzegał go o spiskach, jakie knuli wrogowie. Określał się mianem jego „gołębia pocztowego”.

Zapaść w sektorze rolnym wywołała głód, który przez trzy lata pustoszył większość prowincji, od Syczuanu po Henan i od Anhui do Gansu. Jak w czasach Stalina, komunizm Mao zabijał chłopów, pozbawiając ich dostępu do żywności. Był to rodzaj ludobójstwa – zdaniem ekspertów pochłonął od 33 do 70 milionów ofiar.

Nie ma co owijać w bawełnę, jeśli kapitalizm był wyzyskiem człowieka przez człowieka, komunizm był czymś odwrotnym, tylko w znacznie gorszej wersji.

Na chińskich wsiach jedzono wszystko. Liście, chwasty czy ciała osób zmarłych z głodu – w szczególności dzieci mogły skończyć w brzuchach rodziców. Wszelka fauna niemal całkowicie zniknęła z powierzchni kraju.

Miałam pięknego chińskiego kota o delikatnych rysach i przenikliwym wzroku, tak bardzo przypominał mi mojego ukochanego, że nazwałam go Liu II. Często wyruszał do ogrodów w sąsiedztwie w poszukiwaniu przygód. Pewnego dnia zniknął. Został przerobiony na klopsiki albo skończył w zupie.

Na pekińskim niebie, gdzie zaczęło nawet brakować wróbli, panowała martwa cisza. Mięsiste włókna ptaków lądowały we wszystkich potrawach, także w moim gulaszu, po wcześniejszym starannym wyjęciu kosteczek z małych ciałek, żeby nie utknęły w gardle Jego Ekscelencji, ale to nie zaspokajało jego głodu.

Często myślę o tych wszystkich intelektualistach, pisarzach czy ministrach zachodnich, którzy w tamtym okresie pławili się w maoizmie

i których Liu wodził, także za nos, by podziwiali wielkie dokonania reżimu. Niczego się nie domyślali. Przez całe lata służalczo wypełniali gazety i książki swoją głupotą i podłością. Niektórzy z nich jeszcze się ostali i bezwstydnie perorują na inne tematy. Zasługują jedynie na litość.

Oskarżam wszystkich tych tchórzliwych lizusów o zgniliznę moralną, współdziałanie w morderstwie, nieudzielenie pomocy osobie w niebezpieczeństwie, w najlepszym razie o ślepotę i głupotę, która spowodowała nieumyślną śmierć.

– Przewodniczący Mao cierpi na bezsenność – oznajmił mi któregoś dnia Liu poważnym tonem, jakim z reguły przekazuje się istotne wiadomości.

– Słuchaj, Liu, nie może być inaczej, skoro wyrządził tyle zła: to dowodzi, że ma jeszcze sumienie.

– Mao zawsze miał kłopoty ze snem, dlatego często wstaje bardzo późno, ale teraz sytuacja jest mocno niepokojąca, coraz częściej dopadają go straszne migreny. Poza tym nie chce jeść mięsa na znak solidarności z ludem i to jeszcze bardziej go osłabi.

– Wprost przeciwnie – zaoponowałam. – Jego stan zdrowia się poprawi, dzięki czemu łatwiej mu będzie strawić pożywienie i nieszczęście, w jakim pogrążył swój naród.

Liu tego nie skomentował. Gdy spytałam go, czy Mao straszliwie cuchnie z ust, tak jak Hitlerowi, nie mogłam uwierzyć w jego odpowiedź, która wydawała się wyimkiem z oficjalnego komunikatu:

– Wszyscy twierdzą, że przewodniczącemu Mao pachnie z ust.

– Ach tak – zdziwiłam się. – I wszędzie jest równie pachnący?

– Wszędzie.

Roześmiałam się i Liu też. Nigdy nie tracił poczucia humoru, nawet gdy ziemia usuwała mu się spod nóg.

Pewnej nocy, gdy dawaliśmy sobie rozkosz, Liu o mało mnie nie udusił. To była moja wina: poprosiłam, by bardzo mocno ścisnął mnie za szyję, gdy mnie posuwał, i tak ściśle przestrzegał moich wskazówek, że

zemdlałam.

Gdy tylko odzyskałam przytomność, poprosił mnie o rękę. Miałam wtedy pięćdziesiąt dziewięć lat, a on był nadal dwanaście lat młodszy. Gdybym po raz kolejny chciała zmienić nazwisko, to była ostatnia okazja. Wolałam jego nazwisko od tego, które wówczas nosiłam: Robarts.

Liu, który miał dojścia wszędzie, udało się uzyskać specjalne zezwolenie. I dlatego od tamtego czasu nazywam się Zhongling. Ślub niczego nie zmienił w naszych relacjach. Nadal harowaliśmy po całych dniach i spędzaliśmy miło pozostały wolny czas, którego nie mieliśmy za wiele. Ponieważ stan zdrowia Jego Ekscelencji powoli się pogarszał, byłam nie tylko jego kucharką, ale także pielęgniarką.

Mehmet Artor cierpiał na dyskopatię prowadzącą do paraliżu i mógł poruszać się już tylko na wózku, a z braku personelu to mnie przypadło zadanie wożenia go. Był mi za to wdzięczny i po znajomości załatwił mi z własnej inicjatywy paszport dyplomatyczny, który bardzo mi się przydał, gdy po wielkim skoku zdarzyła się katastrofa, jaką zaraz opiszę.

Zawsze wtedy, gdy wszyscy uważali, że już po nim, Mao Zedong odradzał się z popiołów. Bez przerwy w ruchu, ten as taktyki politycznej bezustannie wykorzystywał niezadowolenie kraju, obarczając winą za własne błędy swoich partyjnych rywali. Aby zatrzeć wspomnienia o klęsce wielkiego skoku i zmusić do posłuszeństwa swoją ekipę, wśród której znowu zaczął kiełkować opór, chiński przewodniczący wymyślił Wielką Proletariacką Rewolucję Kulturalną. Było to coś na kształt ludowego zamachu stanu, który uderzał między innymi w Deng Xiaopinga, duchowego opiekuna mojego męża, mimo że cechowała go wielka ostrożność. Mao po raz kolejny wyprzedzał z lewej strony niepokornych i opornych z własnej nomenklatury.

Dnia 16 maja 1966 roku w wystąpieniu, którego tekst Liu, z drżącymi rękami, przetłumaczył mi i opatrzył komentarzem, na rozszerzonym posiedzeniu Biura Politycznego Mao zaatakował przedstawicieli burżuazji, którzy podstępnie wkradli się w partyjne szeregi, a także przeniknęli do

rządu i armii. Ci „kontrrewolucyjni rewizjoniści” zamierzali, zdaniem przewodniczącego, przejąć władzę i „zastąpić dyktaturę proletariatu dyktaturą burżuazji”, gdy tylko zaistnieją odpowiednie warunki. Dlatego wzywał lud, aby ich bezzwłocznie osądził, poczynając od jego niekwestionowanego następcy Liu Shaoqi, który według mojego męża był „sprawiedliwym i dobrym człowiekiem”. „Ludzkim człowiekiem”, dodał, dumny z tego sformułowania.

– Nie wiem, co teraz będzie – powiedział Liu – ale sądzę, że powinniśmy się rzadziej widywać, a może w ogóle przestać się spotykać. Nie chcę narażać cię na niebezpieczeństwo.

– Przecież jestem twoją żoną – odparłam. – Chcę z tobą dzielić wszystko.

– Od tego momentu będę walczył na śmierć i życie w obronie swoich poglądów. Przykro mi, Rose, to nie jest twoja walka i nie twoja historia. Jeżeli przydarzy mi się coś złego, chciałbym bardzo, abyś przeżyła i aby na ziemi pozostał jakiś ślad po naszej miłości. Czy to rozumiesz?

Mój ukochany miał dar mówienia. Z wilgotnym wzrokiem, przełykając łzy, kazałam mu obiecać, że będzie od czasu do czasu wpadał do ambasady, żebym wiedziała, co się z nim dzieje, a także po coś innego, czego nie ma potrzeby nazywać po imieniu. Powiedział, że dobrze, ale nie dotrzymał słowa. Nie pokazał się przez półtora roku.

Deng Xiaoping został zesłany na prowincję. Liu Shaoqi trafił do więzienia: były następca zmarł dużo później w 1969 roku, w celi w Kaifengu, z braku opieki medycznej. Natomiast mojego męża zabili metalowymi prętami czerwonogwardziści w Kantonie. Podobno bronił się jak lew i zranił kilku napastników.

Dnia 2 lutego 1968 roku, gdy Mehmet Artor poinformował mnie o śmierci Liu, a dowiedział się o niej od wysokiego rangą urzędnika państwowego, wpadłam w rozpacz. W pierwszej chwili chciałam wyjść z ambasady i zabić na ulicy jakiegoś przypadkowo napotkanego czerwonogwardzistę, a nawet kilku. Nie miałam żadnych wątpliwości co

do skuteczności krav magi, ale obawiałam się, że zostanę zatrzymana natychmiast po dokonaniu morderstwa. Dzięki Bogu, ambasador Albanii zabił ten idiotyczny pomysł w zarodku.

– W tym kraju wszyscy kompletnie powariowali – stwierdził Mehmet Artor. – Trzeba stąd wyjechać.

– Chcę zobaczyć ciało Liu. Chcę go zobaczyć, pocałować, pochować.

– Proszę wybić to sobie z głowy, pani mąż zginął przeszło trzy tygodnie temu, jest już pogrzebany, nikt nie wie gdzie. Nie ma czasu do stracenia, musimy wyjechać jak najszybciej.

Nazajutrz odlecieliśmy do Albanii.

W samolocie obmyśliłam inny plan: śmierć Liu mogłaby pomścić krew jakiegoś wielkiego francuskiego intelektualisty, który z życzliwością traktuje Mao Zedonga. Rzecz jasna przyszedł mi do głowy Jean-Paul Sartre, ale zrezygnowałam z tego pomysłu, żeby nie robić przykrości Simone de Beauvoir. Gdy kilka tygodni później przyjechałam do Francji, zorientowałam się, że mam w czym wybierać.

Duch przeszłości

Marsylia 1969. Wszystkie drogi prowadzą mnie do Marsylii. Miasto było, podobnie jak w czasie mojego pierwszego pobytu w 1917 roku, metafizycznie brudne. Roilo się od szczurów, żebraków, złodziei kieszonkowych i grzebiących w śmietnikach, ale dalej było wesołe, znalazło się w nim miejsce dla każdego i pośród tego chaosu natychmiast poczułam się jak u siebie. Wynajęłam dwupokojowe mieszkanie w cieniu bazyliki Saint-Victor.

Do listy znienawidzonych osób dopisałam nazwiska kilku intelektualistów. Mój wybór ostatecznie padł na Louisa Althussera, jednego z papieży Saint-Germain-des-Prés, którego rozwój przebiegał w sumie logicznie: najpierw był stalinistą, potem maoistą, a na końcu oszalał. Nie miał odwagi zabić się sam, ale znacznie później udusił żonę.

Louis Althusser miał szczęście, że znalazłam się w Marsylii, gdzie szybko porzuciłam swój plan, bo porwała mnie wielka radość miasta, która zwycięża wszystko. Za pieniądze ze sprzedaży Frenchy's, których nie wydałam w Chinach, kupiłam restaurację przy quai des Belges w Starym Porcie, z salą na dwadzieścia dwie osoby i do tego z małym ogródkiem. Nazwałam ją głupio La Petite Provence, jak w Paryżu, nie myśląc, że któregoś dnia może to na mnie ściągnąć kłopoty.

Restauracja natychmiast zyskała wielką popularność. Zajmowałam się wszystkim poza obsługą klientów, do której zatrudniłam Kady, dwudziestotrzyletnią Malijkę bez dokumentów, bez kompleksów i bez bielizny. Gdy tylko ją zobaczyłam, miałam ochotę ją rozebrać, co zresztą zrobiłam tego samego wieczoru, po czym wśliznęłam się z nią pod kołdrę. Po tym, jak zaznałam rozkoszy z wieloma mężczyznami, po sześćdziesiątce postanowiłam zainteresować się na odmianę kobietami. Ta mi bardzo odpowiadała.

Byłam jej pierwszą, jak również ostatnią kobietą. Rano powiedziała

z szerokim uśmiechem:

– Lepiej bzykać się tak niż wcale.

Taki miała rodzaj poczucia humoru. Zrobiła sobie włosy na afro, jak słynna działaczka Angela Davis, w której kochali się wszyscy chłopcy, i twierdziła, że pochodzi z rodziny księżęcej. Kady chętnie kłamała, ale miałam to gdzieś, jeśli nie wiązało się to z pracą. Co do reszty, to miała tyle wdzięku, że wybaczałam jej wszystko. Bez przerwy miałam ochotę ją całować i nie rezygnowałam z tej przyjemności przed rozpoczęciem pracy lub po jej zakończeniu. Chciałam, by wiła się z rozkoszy pod wpływem moich wymyślnych pieszczot, ale czekałam z tym, aż znajdziemy się u mnie w domu, zamknięte w czterech ścianach, które tłumili jej okrzyki i wrzaski, bo dyskretne zachowanie nie leżało w jej zwyczaju. Nie mogłam okiełznać jej temperamentu.

Doprowadzała mnie do szaleństwa. Porywał mnie jej zmysłowy głos, z lekką nutą ironii, wybuchowy śmiech, sentymentalny wzrok, grdyka przesuwająca się po mojej szyi, drzenie piersi, gdy coś mówiła i mięsiste wargi, które wydawały się wiecznie szukać czegoś, co można by ugryźć lub zjeść. Staralam się dać jej to, czego pragnęła. Oczywiście miłość, ale także ciepło, poczucie bezpieczeństwa, ochronę, zrozumienie i nieustanną uwagę. Wszystko to, czego potrzebuje kobieta.

Ale czegoś jej brakowało. Któregoś dnia, gdy kupowałyśmy żywe dorady u naszego dostawcy, znerwicowanego rybaka z gęstą brodą, który miał stragan przy nabrzeżu na wprost restauracji, Kady oświadczyła mocnym głosem:

– Chcę mieć dziecko.

Nie widziałam związku między jej pragnieniem a biednymi doradami, beznadziejnie miotającymi się w siatce, do której je właśnie wrzuciłam. Gdy po sekundzie rybak ochłonął ze zdumienia, wyglądał na trochę zdziwionego, a trochę rozbawionego, spoglądając raz na Kady, raz na mnie.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Kady powtórzyła, podnosząc jeszcze

bardziej głoś:

– Chcę mieć dziecko.

– Zgoda, zgoda – odparłam zniecierpliwiona, aby zakończyć ten incydent.

W drodze powrotnej do restauracji nie odezwałyśmy się do siebie ani słowem. Prawdą jest, że miałam nietęgą minę, kiedy niosłam podrygującą w agonii siatkę. Nigdy nie miałam odwagi poprosić rybaka, żeby sam zabił dorady, z obawy, że uzna, iż zanadto się nad nimi roztkliwiam, więc przyspieszyłam kroku, by samodzielnie położyć kres ich cierpieniom, miażdżąc im głowy na stole do pracy jednym uderzeniem wałka do ciasta.

Okolo północy, po powrocie do domu, znowu poruszyłyśmy z Kady temat dziecka. Siedziałyśmy razem na kanapie, przytulone do siebie, pieszcząc się i całując, a jednocześnie słuchając jej ulubionej piosenki w wykonaniu Scotta McKenziego, którą nastawiłam na adapterze:

If you're going to San Francisco

Be sure to wear some flowers in your hair

You're gonna meet some gentle people there

Nie wspomniałam jeszcze o języku Kady, a to poważne zaniedbanie. Jej organ mowy był narządem mięsistym, który często zmieniał kolor, czasami robił się fioletowy, a posługiwała się nim po mistrzowsku. Coś w rodzaju męskiego fiuta, tylko bardziej ruchliwego. Po pocałunku, który wprowadził mnie w stan oszołomienia, Kady oświadczyła, gdy wracałam do przytomności:

– Chcę mieć dziecko, bo znalazłam ojca.

– Kto to jest?

– Nie znasz go.

– Murzyn?

– Oczywiście. Nie ma mowy, by moje potomstwo zbrukała biała rasa, o ile taka w ogóle jeszcze istnieje, bo tak bardzo się zdegenerowała.

– Jak chcesz.

Samiec reproduktor zmywał w sąsiednim barze. Pochodził z Mali, jak Kady. Wysoki i przystojny, z długą szyją, dumnym spojrzeniem, poruszał

się, podobnie jak ona, powoli i dostojnie. W dniu, który wydawał nam się najbardziej sprzyjającym do jej zapłodnienia, zabraliśmy go do mieszkania, gdzie bez zapału, jakby na siłę, wywiązał się z powierzonego mu zadania.

Nie wiedział, że przy pomocy swojego fiuta robi właśnie dziecko. Sądził, że uczestniczy w czymś w rodzaju spektaklu, że podglądam ich, jak na moich oczach nurzają się w błocie. Nie bawiło mnie to jednak, tym bardziej że wydawało mi się, iż dostrzegam błysk rozkoszy w oczach Kady, gdy w niej szczytował.

Dzięki Bogu, nie było potrzeby tego powtarzać. Po dziewięciu miesiącach przyszedł na świat Mamadou, 3,7 kg, ojciec nieznany, który miał nosić nazwisko matki: Diakité.

Mamadou przypieczętował nasz związek. Nasze szczęście trwało aż do dnia, w którym po wygaszeniu pieców, obchodząc klientów, natknęłam się na ducha z przeszłości. Nie zmienił się. Nienawistne twarze zawsze wyglądają tak, jakby właśnie wyłowiono je z formaliny. Pozostają ponadczasowe. Ledwie posiwiały mu włosy. Natomiast nigdy nie pozbył się kamienia na zębach, co pozwalało sądzić, że żyje w samotności. Zęby wtapiały się w magmę beżowawych osadów, na którą patrzyłam z odrazą, gdy melodramatycznie wstając od stołu, podszedł do mnie z szerokim uśmiechem i dużym wystającym nosem:

– Pani Beaucaire? – spytał, ściskając mi dłoń.

– Nie, Zhongling – poprawiłam.

– Nie wierzę własnym oczom. Nie nazywa się pani Beaucaire, z domu Lempereur?

– Myli się pan – powiedziałam z naciskiem.

Potrząsnęłam głową i wzruszyłam ramionami, biorąc głęboki wdech, aby zmniejszyć ucisk, który sprawiał, że krew napływała mi do mózgu.

– Coś podobnego – zdziwił się mężczyzna – proszę mi wybaczyć, coś mi się przywidziało. Chciałbym się przedstawić: Claude Mespolet, nowy prefekt policji w Marsylii. Znałem pewną osobę, która prowadziła

restaurację w Paryżu pod taką samą nazwą jak ta: La Petite Provence i serwowała w niej te same potrawy. Wyobraziłem sobie głupio, że jest pani tą osobą. Przepraszam za to nieporozumienie.

Przedstawił mi osoby, z którymi jadł obiad. Dwóch grubych, czerwonych na twarzy deputowanych, z których jeden był dużo niższy od drugiego. Usta błyszczały im od tłuszczu, przypominali psy, które właśnie wyjęły pyski z miski.

– Mimo wszystko bardzo przypomina pani tę osobę, o której pani wspominałem – nalegał Claude Mespolet, oglądając mnie od stóp do głów.
– Jest pani tęższa, ona była dość szczupła, ale z wiekiem zawsze przybywa kilogramów. To było dwadzieścia pięć lat temu. Jak ten czas szybko mija!

– To prawda – przytaknęłam.

Gdy płacił rachunek, zaproponowałam, żeby został ze mną chwilę po wyjściu dwóch posłów.

– Gratuluję pani zapiekanki z parmezanem – powiedział, gdy siadałam.

– Nie wyszła pani z wprawy.

– Nie zamierzam rozmawiać z panem o gastronomii – odparłam – ale o czymś, co dotyczy pana bezpośrednio.

Poinformowałam go wówczas z uśmiechem szantażystki, że mam kompromitujące dokumenty na jego temat. W szczególności podpisaną przez niego własnoręcznie notatkę z 1942 roku, skierowaną do prefekta policji w Paryżu, w której rozwodził się nad żydowskim pochodzeniem mojego pierwszego męża. To był bluff, Himmler nie dał mi tej notatki, pozwolił mi ją tylko przeczytać, ale z twarzy Mespoleta natychmiast zniknął uśmieszek wyższości. Nie był jednak kimś, kogo łatwo zbić z tropu.

– Co pani proponuje? – spytał lekkim tonem.

– Żeby zostawił mnie pan w spokoju.

Zastanawiał się przez chwilę, po czym rzucił przez zaciśnięte zęby:

– Popełniła pani zbrodnię, zabijając w bestialski sposób Jeana-André Lavissey'a.

– Był kolaborantem – odparłam cicho.

– Nie do końca. Oddał cenne usługi gaullistom z Wolnej Francji, tak cenne, że po wyzwoleniu odznaczono go pośmiertnie medalem Ruchu Oporu.

– Tego gnoja?

– Ludzie nigdy nie są całkiem czarni ani całkiem biali, ale jednocześnie tacy i tacy, o ile w ogóle nie szarzy. Życie pani tego nie nauczyło?

– Nauczyło mnie czegoś wręcz przeciwnego.

– W każdym razie pani zbrodnia nie uległa przedawnieniu, czuwałem nad tym z sędzią śledczym, który prowadzi tę sprawę, to mój przyjaciel.

– Przecież to wszystko miało miejsce ponad dwadzieścia pięć lat temu.

– Wymiar sprawiedliwości kieruje się własnym kodeksem, który nie ma nic wspólnego z kodeksem karnym.

Powtórzył tę formułkę, napawając się nią. Miał wysokie mniemanie o sobie, przywodził mi na myśl gargulca, któremu jakiś żartowniś wsadził w tyłek pawie pióro.

– Jeżeli wykona pan jakiś krok, by zainteresować tą sprawą na nowo wymiar sprawiedliwości – zakończyłam – ja również wykonam krok i upublicznję dokument, jaki znajduje się w moim posiadaniu. To się nazywa działaniem odstraszającym czy równowagą strachu. Nie sądzi pan, że do tego powinniśmy się ograniczyć?

– Nie inaczej.

Gdy Claude Mespolet wyszedł z restauracji, poczułam ukłucie w piersi i w żołądku, które pogłębiało się przez kolejne lata mimo radości, jaką dawali mi Kady i Mamadou.

Ostatnia śmierć

Marsylia 1970. Ciągłe czułam to ukłucie. Budziłam się z nim i zasypiałam. Nieraz tak głęboko przenikało moje ciało, promieniując na całą klatkę piersiową pozbawiającym mnie energii bólem, że przestawałam oddychać.

Choć z braku czasu odkładałam badania zalecane przez lekarza, sądziłam, że zżera mnie rak. Tymczasem dopadł Kady. Choroba zabrała ją w półtora roku, najpierw odjęto jej jedną pierś, potem drugą, usunięto połowę płuca, nowotwór w pęcherzu, a na końcu wykryto glejak mózgu.

Kady nie chciała umierać w szpitalu i wolała zakończyć życie w naszym mieszkaniu. Aby towarzyszyć jej aż do końca, zamknęłam restaurację pod pretekstem „przerwy wakacyjnej”. Trwała sześć tygodni.

Szaleńcza odwaga nie ustępuje przed niczym z wyjątkiem śmierci. Odmowa kapitulacji spowodowała straszne, przekraczające granice rozsądku cierpienia mojej partnerki, do tego stopnia, że przez ostatnie dni miałam nieraz ochotę skrócić jej mękę.

Ale nie, Kady niczego sobie nie oszczędziła, nawet na sekundę, udając aż do ostatniego momentu, że delektuje się każdą kroplą życia ze smutnym uśmiechem, który mam przed oczyma, gdy to piszę. Poprosiła, żebym znalazła dla niej ostatnie słowa, które wypowie, gdy poczuje, że odchodzi. Zaproponowałam cytaty z Alfreda de Musset: „Spać, wreszcie zasnę!”.

Kady uznała, że nie jest dość „zabawny”. Bardzo spodobało jej się słynne zdanie Auguste’a de Villiers de L’Isle-Adam, słabo znanego pisarza, któremu przynajmniej udało się śmierć: „No cóż, dobrze sobie zapamiętam tę planetę!”.

Jej wybór ostatecznie padł na słowa, których sama byłam autorką: „Czy jest tam ktoś?”. Ale kiedy zegnała się z tym światem, trzymając mnie za rękę, gdy Mamadou spał w kołysce obok, szepnęła coś innego,

czego nie rozumiałam i poprosiłam, by powtórzyła:

– Do zobaczenia.

Leży teraz na cmentarzu w mojej pamięci, obok umarłych, o których myślę kilka razy dziennie: moich dzieci, rodziców, babci, wszystkich mężczyzn mojego życia, Gabriela, Liu, a nawet Frankiego. Z Kady zrobiło się ich trochę za dużo, zaczęli się za bardzo rozpychać.

Pod względem intelektualnym także wiele straciłam. Na tym polega problem wieku: pewnego dnia ma się w głowie taką graciarnię, tyle ludzi i rzeczy, że trudno się w tym połapać.

Pod względem seksualnym, odtąd zadowalałam się samą sobą. Onanizm ma tę pozytywną cechę, że nie wymaga wstępów i nie trzeba potem z nikim rozmawiać: to oszczędność czasu, która niesie ze sobą spokój umysłu.

Po śmierci Kady chwilami odnosiłam jeszcze wrażenie, że życie przede mną. Niech będą dzięki Mamadou, bo bardzo mi pomógł, wystarczył jego uśmiech, abym się pozbierała. Ale nie byłam już w stanie odżyć na nowo, a ta zdolność wcześniej zawsze stawiała mnie na nogi po ciężkich przejściach. Wolałam raczej unosić się na własnej chmurce i obserwować świat z góry. Miałam sześćdziesiąt trzy lata i taka skłonność nie pasowała do mojego wieku. To znaczy jeszcze nie.

Coś nie pozwalało mi dać się porwać tak jak wcześniej mojej chęci życia. To ukłucie, któremu towarzyszyły mdłości, dawało mi się we znaki do tego stopnia, że często budziłam się w nocy. Przeszłam wszelkiego typu badania. Lekarze nic nie wykryli. Wiedziałam, co powinnam zrobić.

*

Zbierając informacje na temat Claude'a Mespoleta, dowiedziałam się, że ma domek letniskowy w Lourmarin w masywie Luberon, dokąd jeździ regularnie, zwłaszcza w lecie. Ponieważ był rozwiedziony i nie miał dzieci, udawał się tam niemal zawsze sam, przeważnie w sobotę wieczorem.

Zakrawałoby na cud, gdyby jakaś przyzwoita kobieta chciała, choćby na jedną noc, dzielić łóżko z kimś, kto ma taki kamień na zębach. Jego

podwładni w prefekturze policji mówili, że spędza niedziele, pielęgnując ogród, co powinno mnie było przekonać, że nie jest aż tak złym człowiekiem.

W końcu doszłam do wniosku, że jest impotentem. Chyba że woli onanizm. W takim przypadku coś by nas łączyło i moglibyśmy wymieniać uwagi na temat jego zalet: miłość uprawiana w ten sposób nie jest już groźna, samowystarczalność pozwala uciec od straszliwych mąk rozstania.

W pewne sobotnie popołudnie, gdy zamknęłam restaurację i zostawiłam małego Mamadou u sąsiadki, postanowiłam zaczekać na Claude'a Mespoleta w lasku koło jego domu. Był sierpień i w powietrzu panowało ogromne podniecenie, komary i jaskółki tańczyły nad grającymi cykadami, a ziemię pokrywały złote nitki.

Kierowca odwiózł go do domu późnym popołudniem. Prefekt policji był w towarzystwie psa, teriera, najbardziej egoistycznego i niezdolnego zwierzęcia spośród wszystkich stworzeń, nie licząc człowieka. Nie spodziewałam się tego dodatkowego osobnika, ale miałam wszystko, co trzeba, by go unieszkodliwić: butelkę chloroformu w kieszeni marynarki w stylu safari.

Prefekt obszedł posiadłość z psem, zatrzymując się przy niektórych drzewach i głaskając pnie powykrzywianych czarnookich oliwek ze srebrzystymi włosami. Wyglądały tak, jakby szły na wojnę, wydawały się odporne na wszystko, palące słońce, przymrozki, ulewne deszcze. Choć byłam zbyt daleko, aby mieć pewność, sądzę, że do nich mówił.

Gdy Mespolet wszedł do domu, pies został na zewnątrz i biegał dookoła, szczekając na cały świat. Na cykady. Motyle. Ptaki. Aż nagle zjawił się przede mną, ujadając, dopóki nie wyciągnęłam do niego przyjaznej dłoni – natychmiast ją polizał. Gdy go oswoiłam, nagle obróciłam go na grzbiet i unieruchomiłam, po czym przytknęłam mu do pyska szmatkę, na którą wylałam ćwierć butelki chloroformu.

– Castro! Castro!

Claude Mespolet wołał psa przez część wieczoru, stojąc na podeście,

a potem kilkakrotnie obszedł ogród, wywrzaskując jego imię. Nie było szans, żeby go znalazł. Castro leżał daleko w zaroślach ze związanymi łapami i pyskiem owiniętym taśmą izolacyjną.

Gdy Mespolet poszedł na górę położyć się spać, zostawił otwarte drzwi wejściowe, na wypadek gdyby psu przyszło do głowy wrócić na noc do domu. Odczekałam godzinę.

Kiedy zjawiłam się przy nim, spał głębokim snem, sądząc po jego łagodnym, regularnym oddechu. Obserwowałam go przez dłuższą chwilę w półmroku, w stanie przerażającej ekstazy, której po tylu latach nadal się wstydzę.

Nie chciałam słuchać Mespoleta. Powiedziałby mi jękliwym głosem to, co mówią zawsze tego typu ludzie i co zresztą jest prawdą. Nie mógł postąpić inaczej, był policjantem, wykonywał rozkazy. Wszystko jedno, czy wydawał je marszałek Pétain, czy generał de Gaulle, trzeba było słuchać, a on nic innego nie potrafił, aczkolwiek w trakcie swojej kariery umiał zmieniać panów: porzucił petainizm z czasów okupacji na rzecz sowietyzmu po wyzwoleniu – nie było lepszej metody, by uniknąć czystek – a wreszcie pod koniec lat pięćdziesiątych został gaullistą. Znałam już jego przemowę: to życie nas do tego zmusza, trzeba ciągle mylić pościg. Ilu Sartre'ów i Gide'ów, którzy uznawali się za wiatr, a byli tylko chorągiewkami, przypadało na jednego Camusa, który naprawdę działał w ruchu oporu?

Nie chciałam też spojrzeć Mespoletowi w oczy. Jacky, mój przyjaciel gangster z Marsylii, często powtarzał mi, że bandyci zawsze unikają wzroku osoby, którą mają zabić, z obawy, że stracą pewność siebie. Nie zapaliłam więc światła, zanim wpakowałam w ciało prefekta policji siedem kulek z walthera PP, który na tę okoliczność zaopatrzyłam w tłumik.

Potem uwolniłam psa i z lekkim sercem wróciłam do Marsylii, słuchając na cały regulator IX symfonii Beethovena, żeby uczcić swoją ostatnią ofiarę.

Ite missa est

Marsylia 2012. Upał jest ciężki i spada na ziemię jak deszcz. Miasto śmierdzi rybami i kosztami na śmieci. Wszystko się lepi i ma się tylko ochotę na jedno, wskoczyć do wody, ale nie chcę się obnażać: czuję się na to za stara.

Dziś są moje urodziny. Postanowiłam świętować moje sto pięć lat w wąskim gronie, w swojej restauracji, gdzie urządziłam zamkniętą imprezę dla Mamadou, Leili, Jacky'ego, jego żony, Samira Myszy i mojej przyjaciółki pani Mandonato, do niedawna właścicielki księgarni, która nie ukrywa radości, że sprzedała ją poprzedniego dnia producentowi wina ekologicznego. To podobno bardzo piękny chłopak. Rzuca na kolana – powiedziała. Pójdę sama sprawdzić, jak otworzy sklep.

Nie wiem, co za kretyn wymyślił Boże Narodzenie, ale jeśli jeszcze żyje, to się z nim porachuję: w tym okresie, a szczególnie w wieczór wigilijny, zawsze dopada mnie straszna nostalgia, gdy myślę o wszystkich swoich zmarłych, poczynając od moich dzieci i nie zapominając o wnuku z Trewiru, którego zabił alzheimer.

Narcystyczny debil, który jako pierwszy w historii wpadł na pomysł świętowania urodzin, jeszcze bardziej zasługuje na potępienie. Po czterdziestce to tylko męka, jaką trzeba znosić z godnością ze względu na konwenanse, żeby sprawić przyjemność innym. Gdy osiągnie się mój wiek, jest jeszcze gorzej: za każdym razem powtarzam sobie, że to moje ostatnie urodziny.

Gdyby nie rytuał urodzinowy, któremu muszę się podporządkować, wszystko byłoby w najlepszym porządku. Od śmierci prefekta Mespoleta czuję ulgę i jestem szczęśliwa: ukłucie w piersi ustąpiło tej samej nocy i nigdy nie powróciło. Ale widzę niedowierzanie na twarzach wszystkich siedzących za stołem, gdy dzielę się z nimi wesoło swoją radością życia.

– Wierzę ci – mówi Jacky – ale chyba nie zawsze jest ci łatwo po tym

wszystkim, co przeżyłaś.

– Mimo to czuję się, jakbym była w siódmym niebie.

– Chyba w raju – poprawił Samir Mysz ze zwykłą złośliwością.

Odpowiedziałam Jacky’emu, że w istocie, przeżyłam dogłębnie okres w historii ludzkości, który można bezsprzecznie uznać za jeden z najstraszniejszych: wiek morderców.

– Zginęło tylu ludzi – powiedziałam – że nie jesteśmy nawet w stanie ich policzyć.

Niderlandzki Instytut Stosunków Międzynarodowych Clingendael oszacował na 231 milionów liczbę ofiar konfliktów, wojen i ludobójstwa w XX wieku, w którym bezustannie przesuwano granice upodlenia.

Jaki gatunek zwierząt morduje się na taką skalę, z równą drapieżnością? W każdym razie ani nie małpy, ani nie świnie, do których tak nam blisko, tym bardziej nie delfiny ani nie słonie. Nawet mrówki są bardziej ludzkie od nas.

W XX wieku dokonano eksterminacji Żydów, Ormian, Tutsich. Nie mówiąc o rzeziach, których sprawcami byli komuniści, antykomuniści, faszyci i antyfaszyci. Podyktowany względami politycznymi głód w Związku Radzieckim, w Chinach Ludowych czy w Korei Północnej zdziesiątkował rzekomo odporne chłopstwo. Sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt milionów ofiar pochłonęła II wojna światowa wywołana przez Adolfa Hitlera, który wynalazł zabijanie na skalę przemysłową. Do tego należy jeszcze dodać wszystkie inne haniebne czyny w Kongu Belgijskim, Biafrze czy Kambodży.

W rankingu horroru pierwsze miejsce zajmują Hitler, Stalin i Mao, mają na swoim koncie dziesiątki milionów zabitych. Za zgodą pochlebców, intelektualistów czy polityków mogli dać upust żądzy krwi i składać raz po raz ofiary na ołtarzu własnej próżności.

– I pomyśleć, że to mnie się czepiają! – zachichotał Jacky, wywołując wybuch śmiechu. – Czy nie sądzisz, że żandarmeria, zamiast prześladować mnie, powinna raczej porachować się z tymi wszystkimi

zbrodniarzami i ich patentowanymi lizusami?

– Trzeba by wsadzić większość kraju do więzienia – zauważył Samir Mysz.

Następnie obrócił się do mnie:

– Mam wrażenie, że wszystkie te okropności spłynęły po tobie i tak naprawdę cię nie dotknęły. Jak to zrobiłaś?

Odpowiedziałam mu całkiem uczciwie, że przez długi czas nie wiedziałam, jakim cudem to wszystko zniosłam, choć zawsze wzbraniałam się przed tym, by do zbiorowych lamentów ludzkości dodawać własne żale. O ile historia jest piekłem, o tyle życie jest rajem.

Szczęście nie jest nam dane: wytwarza się je, wymyśla. Dowiedziałam się tego niedawno, czytając, za radą pani Mandonato, filozofów radości, którzy napisali czarno na białym to, co sama myślałam, choć nigdy nie byłam w stanie tego sformułować. Epikur, który tak dobrze pisał o szczęściu, jakie daje kontemplacja, zmarł z powodu zatrzymania moczu wywołanego kamicią nerkową. Spinoza, piewca szczęśliwości, znalazł się na indeksie, a gmina obłożyła go klątwą. Wreszcie Nietzsche wielbił życie i utrzymywał, że zaznaje niewymownego szczęścia, podczas gdy jego ciało cierpiało katusze, zzerane olbrzymią opryszczką narządów płciowych i trzeciorzędowym syfilisem połączonym z postępującą ślepotą i nadwrażliwością słuchową, nie mówiąc o atakach migreny i wymiotach.

– Nietzsche nazywał ból swoim psem – dodał Jacky, który był odczytany. – Mówił, że ból jest wierny jak pies i „można złości swe na nim wywierać”^[12].

Pod koniec kolacji, gdy byłam już pijana, wstałam i wygłosiłam krótką mowę:

– Z przemowami jest tak jak z kobiecymi sukienkami. Powinny być na tyle długie, by wyglądały przyzwoicie, i na tyle krótkie, by budziły zainteresowanie. Moja zawiera się w jednym zdaniu: zawsze ma się takie życie, na jakie się zasłużyło.

Potem rozdałam im odbitkę ksero, na której wypisałam swoje siedem

przykazań:

Przeżywajcie każdy dzień na tej planecie, jakby miał być ostatnim.

Zapomnijcie o wszystkim, ale niczego nie wybaczajcie.

Pamiętajcie o zemście.

Strzeżcie się miłości: wiadomo, jak w nią wejść, ale nie, jak z niej wyjść.

Nie zostawiajcie nic w kieliszku ani na talerzu, ani po sobie.

Nie bójcie się iść pod prąd. Tylko martwe ryby płyną z prądem.

Umierajcie żywi.

Właśnie skończyłam kieliszek szampana, gdy przypomniałam sobie o innej zasadzie, której zawsze starałam się przestrzegać: „Wyzbądźcie się miłości własnej. W przeciwnym razie nigdy nie zaznacie miłości”. Wykrzyczałam ją dwa razy, żeby wszyscy mogli zapamiętać, a potem Jacky podłączył komórkę do kolumn i zaśpiewaliśmy, pod jego przewodnictwem, moją ulubioną arię operową: *E Lucevan le Stelle z Toski*, a potem *Il Mondo*, piosenkę w wykonaniu Il Volo, tria tenorów włoskich, cudnych nastolatków, którzy dopiero co przeszli mutację:

Iiiiiil moooooondo

Non si è fermato mai un momento

La notte insegue sempre il giorno

Ed il giorno verrà

Tak, nadejdzie dzień, drodzy młodzi tenorzy, nie martwcie się. Nadchodzi zresztą każdego ranka. Wystarczy mieć oczy otwarte.

Po kolacji, gdy żegnałam się z Jackym i jego żoną na progu La Petite Provence, usłyszałam głośny krzyk. Jakby beczenie przeplatane kwikiem. Na rogu avenue de la Canebière kobieta w letniej sukience, leżąc na chodniku, walczyła z łajdakiem, który starał się jej wyrwać naszyjnik. Natychmiast rozpoznałam Geparda, o którym wspominałam na początku tej książki.

Zanim dotarliśmy na miejsce zbrodni, zdążył zwiać. Jacky pomógł się podnieść młodej osiemdziesięciolatce po botoksie. Płakała drobnymi łzami, pociągając nosem:

– Ten naszyjnik dostałam od męża w roku, w którym umarł, to było tak dawno temu. Nie jest nic wart, ale dla mnie ma wagę sentymentalną, rozumie pan.

Spytałam Jacky'ego, czy może wykorzystać swoje kontakty, żeby ustalić nazwisko i adres rzezimieszka. Miałam mu dwa słowa do powiedzenia.

[12] Friedrich Nietzsche, *Wiedza radosna*, przeł. Leopold Staff, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2003, s. 163.

Epilog

Gepard miał na imię Ryan i mieszkał u matki nad urwiskiem w małym dziwnym domku z widokiem na morze. Pani Ravare, czterdziestosześcioletnia wdowa, znana psychoterapeutka, przyjmowała klientów w domu z wyjątkiem środy i czwartkowego popołudnia, które spędzała w szpitalu Timone, gdzie zajmowała się innymi pacjentami.

Dostałam te informacje i wiele innych od Jacky'ego Valtamorego, który nalegał, by mi towarzyszyć. Zgodziłam się niechętnie, ale w wieku stu pięciu lat, o którym wspomniał w mało elegancki sposób, ostrożności nigdy dość. Faktem jest, że upał panujący w ostatnich dniach dobrze mi nie zrobił, choć przestrzegałam co do joty zaleceń ministerstwa zdrowia, radzącemu osobom starszym, którym groziło odwodnienie, by regularnie piły wodę. W dodatku miałam wrażenie, że mam masło w tenisówkach. Dlatego przy każdym kroku wydawało mi się, że się pośliznę i upadnę.

Jacky pozdrowił swojego zbira, wielkiego ospałego gościa, który stał na czatach w alejce, po czym poprosił, żebym zaczekała na niego przed drzwiami. Przeskoczył przez murek, żeby dostać się na tyły domu pani Ravare, od strony morza, i po kilku minutach otworzył mi drzwi. Uśmiechnęłam się: nie wyszedł z wprawy, mimo że miał osiemdziesiąt dwa lata.

– Jest w domu? – spytałam.

– Przecież ci mówiłem – mruknął z irytacją. – Na moje polecenie od trzech dni jest śledzony od rana do wieczora. W przeciwnym razie byśmy tu nie przyszli.

Poszłam za Jackym wąskimi, krętymi schodami prowadzącymi do pokoju Geparda. Leżał na łóżku z zamkniętymi oczami ze słuchawkami odtwarzacza na uszach. To, czy śpi, czy nie, było bez znaczenia. Odciął się od świata żywych.

– Śpisz? – wrzasnął Jacky.

Ryan Ravare otworzył najpierw jedno oko, potem drugie, po czym podniósł się z przerażeniem w oczach. Byłam zadowolona z wrażenia, jakie

na nim zrobiłam: rozpoznał mnie.

– Tak, nie masz zwidów, kretynku: to ja, stara wariatka, która cię kiedyś tak przestraszyła w Starym Porcie. – Wyjęłam pistolet Glock 17 z kieszeni marynarki w stylu safari. – A przecież uprzedzałam – mówiłam dalej – co się z tobą stanie, jeśli znowu zaczniesz. No cóż, koleżko, nadeszła godzina Sądu Ostatecznego.

Jacky chwycił mnie za rękaw, zmarszczył brwi, a potem szepnął mi do ucha:

– Co ty wyprawiasz, Rose? Mieliśmy mu tylko dać małą nauczkę i tyle.

– Zobaczymy – szepnęłam. – Improvizuję.

Wyczuwając niezgodę w szeregach wroga, Ryan spróbował ją wykorzystać.

– Chciałbym zauważyć, szanowna pani, że jest pani bardzo agresywna.

– A ty, kretynku, nie jesteś agresywny wobec osób, które okradasz?

– Nie wiem, o czym pani mówi. Nic nie zrobiłem, a pani zjawia się u mnie w domu, żeby mnie oskarżać, to szczyt wszystkiego! – odparł, po czym mówił dalej jęklwym, charakterystycznym dla młodego pokolenia głosem. – Nie wiem, czy pani zauważyła, ale cierpię teraz na depresję. Nie śpię, nie jem, moja matka bardzo się niepokoi. Leczę się, może to pani sprawdzić.

Pokazał nam stos leków, które tworzyły na nocnym stoliku coś w rodzaju wznoszącego się niczym górski szczyt miasteczka prowansalskiego.

– Jestem bardzo wyczerpany – mówił dalej. – Od lat przeżywam kryzys egzystencjalny, taką diagnozę postawiono w szpitalu. To niewesołe życie, proszę mi wierzyć. Nie daję sobie z tym rady, a ostatnio nawet mi się pogorszyło, chciałem popełnić samobójstwo.

Udawał, że mówi do mnie, ale patrzył wyłącznie na słabe ogniwo, czyli Jacky'ego. Zakaszlałam, żeby przyciągnąć jego uwagę, potem oświadczyłam:

– Proponuję ci układ. Jeżeli oddasz się w ręce policji z całym swoim

łupem, ocalisz życie. W przeciwnym razie natychmiast cię rozwalę.

– Najwyższy czas – szepnął Jacky przez zęby. – To brzmi znacznie lepiej.

Ryan najwyraźniej się wahał. Nalegałam:

– Jeżeli odmówisz spłacenia długu wobec społeczeństwa, to miej świadomość, że zabicie cię sprawi mi wielką przyjemność. Powstrzymuję się, żeby natychmiast nie strzelić, tylko dać ci szansę, wyłącznie przez wzgląd na mojego przyjaciela.

– Nie lubię więzienia.

– Nie masz wyboru.

Ryan odpowiedział, że priorytetem dla niego jest poprawa stanu psychicznego, a więzienie nie wydaje mu się idealnym do tego celu miejscem. Stwierdziłam, że musi ponieść odpowiedzialność za swoje czyny, po czym dodałam, że gdyby przyszła mu ochota donieść na nas, gdy będzie już za kratkami, to długo nie pożyje: mamy z Jackym liczne znajomości w więzieniach, wśród ludzi zepsutych i okropnych, którzy z radością wyżiją się na małym chuliganie jego pokroju.

Gdy odprowadziliśmy Ryana na komisariat przy Canebière, poszłam z Jackym wypić pierwszy w tym roku pastis do baru przy quai des Belges. Gdy zamówiłam drugą kolejkę, Jacky potrząsnął głową.

– Jeszcze jeden, tylko jeden – zaprotestowałam. – Trzeba szybko pić życie, zanim zabiorą kieliszek.

– Przysięgnij, że to będzie ostatni.

– Zawsze trzeba pić, jakby piło się ostatni, Jacky. Nie będę cię przecież uczyć, że umiera się, bo się nie pożyło, a jeśli się pożyło, to i tak się umiera.

– Jeśli umierać, Rose, to lepiej świadomie i w dobrym zdrowiu. A nie po pijaku.

– Wybacz mi, ale to słowa alkoholika. Życie nie nauczyło mnie tylko jednej rzeczy, a mianowicie umierania. A wyobraź sobie, nie wybieram się jeszcze na tamten świat.

Życie jest jak książka, która się nam podoba, opowiadanie, powieść, dzieło historyczne. Przywiązujemy się do bohaterów i wciąga nas bieg wydarzeń. Gdy się ją kończy, nieważne, czy się ją pisze, czy czyta, nie ma się ochoty jej zamknąć. Tak jest w moim przypadku. Tym bardziej że mam jeszcze tyle do zrobienia i do powiedzenia.

Wiem, że moje wargi dalej będą się poruszać, nawet gdy przykryje je ziemia, nadal będą mówić życiu tak, tak, tak...

Przepisy z La Petite Provence

PLACKI MOJEJ BABCI

Dla 6 osób i więcej

Składniki:

2 kg niełuskanej białej fasoli

1 duża cebula

5 marchewek pokrojonych w plasterki

1 siekana natka pietruszki

1 główka czosnku (zębki należy obrać, ale nie siekać)

2 duże, dojrzałe pomidory pokrojone na kawałki

Liście dwóch grubych naci selera

Przygotowanie:

Zeszklić pokrojoną cebulę w rondelku.

Dodać marchewkę, pomidory, czosnek, seler.

Dołożyć fasolę i dolać wody tak, by przykryła całość.

Gotować na małym ogniu przez godzinę.

Pod koniec gotowania dodać sól, pieprz i pietruszkę.

Pozostawić, żeby przestygło. Podawać letnie lub zimne po dolaniu oliwy z oliwek.

ZAPIEKANKA MAMIE JO

Dla 8 osób lub więcej

Składniki:

1 kg pomidorów

1 kg bakłażanów

1 kg cukinii

5 cebul

5 ząbków czosnku

tymianek

listek laurowy

pietruszka

3 jajka

100 g parmezanu

Przygotowanie:

Zeszklić na oliwie z oliwek 3 drobno pokrojone cebule z obranymi pomidorami bez pestek. Dusić przez 45 minut z 3 ząbkami czosnku, tymiankiem, listkiem laurowym i pietruszką. Pod koniec duszenia zdjąć pokrywkę, aby lepiej odparowało, co wzmocni smak potrawy. Zmilić w maszynie lub zmiksować i odstawić w chłodne miejsce.

Zeszklić wcześniej posolone i odsączone bakłażany pokrojone w plastry. Odsączyć tłuszcz na bibule lub papierowych ręcznikach.

Zeszklić pokrojone na kawałki cukinie z dwiema cebulami. Gotować na małym ogniu do miękkości. Dodać posiekany czosnek, parmezan i ubite jajka.

Wyłożyć dno i ścianki formy do zapiekania plastrami bakłażana, wlać na wierzch purée z cukinii.

Włożyć formę w kąpiel wodnej na ok. 20 min do nagrzanego do 180°C pieca. Odstawić do wystygnięcia, potem wsadzić do lodówki. Wyjąć na godzinę przed podaniem, wyjąć z formy i serwować z sosem pomidorowym.

KREM KARMELOWY EMMY LEMPEREUR

Dla 6 osób

Składniki:

7 jajek

1 l mleka

1 laska wanilii

1 torebka cukru waniliowego

200 g cukru

7 kostek cukru i 2 łyżki wody na karmel robiony bezpośrednio w formie na babkę o średnicy około 20 cm

Przygotowanie:

Wymieszać i zagotować mleko z cukrem, cukrem waniliowym i laską wanilii.

Odstawić do wystygnięcia.

Dodać ubite jajka.

Wlać całość do formy na babkę na przygotowany uprzednio, wystudzony karmel.

Włożyć formę w kąpiel wodnej na 45 minut do nagrzanego do 180°C pieca.

Wyjąć i odstawić do wystygnięcia, potem wsadzić do lodówki krem przykryty folią, żeby nie przesiąknął innymi zapachami.

Przed podaniem wyjąć z formy.

TARTA Z TRUSKAWKAMI PO AMERYKAŃSKU, CZYLI STRAWBERRY SHORTCAKE Z FRENCHY'S

Dla 8 osób

Składniki do biszkoptu:

1 saszetka suchych drożdży

250 g przesianej mąki

150 g śmietany

szczypta soli

115 g masła

3 łyżki cukru

Przygotowanie truskawek:

1 kg truskawek, które trzeba starannie przebrać: aby były smaczne, powinny pochodzić od producentów lokalnych.

Pokroić je na pół lub na trzy części.

Dodać 100 g białego cukru, potem wymieszać.

Odstawić.

Jeżeli jakość truskawek budzi wątpliwości, można dodać łyżkę soku z cytryny.

Przygotowanie:

Rozgrzać piekarnik do 210°C.

Wymieszać mąkę z drożdżami, cukrem i solą.

Dodać pokrojone na małe kawałki masło, delikatnie wymieszać, nie wyrabiać.

Dodać płynną śmietaną, wymieszać.

Rozwałkować.

Pokroić ciasto na 8 prostokątów o grubości ok. 2 cm.

Poukładać prostokąty na blasze wysmarowanej masłem.

Oprószyć odrobiną cukru.

Piec w piekarniku przez około 12 min. Ciasto musi być zrumienione.

Gdy wystygnie, przekroić każdy prostokąt na pół, wzdłuż.

Poukładać truskawki między dwoma warstwami biszkoptu.

Polać bitą śmietaną z wanilią.

Ułożyć 3 truskawki w formie dekoracji.

To jest przepis tradycyjny. We Frenchy's kruszyłam ciasto. Dodawałam je w kawałkach do truskawek i podawałam *strawberry shortcake* w wielkiej salaterce, którą przykrywałam bitą śmietaną z wanilią, a także z odrobiną whisky.

Bibliografia

LUDOBÓJSTWO ORMIAN

Arnold J. Toynbee, *The Armenian Atrocities: The Murder of a Nation*, Hodder & Stoughton, 1915.

Raymond Kévorkian, *Le Génocide des Arméniens*, Odile Jacob, 2006.

STALINIZM

Vasilij Grossman, *Życie i los*, W.A.B., 2011.

Aleksandr Sołżenicyn, *Archipelag GULag 1918–1956: próba dochodzenia literackiego*, Świat Książki, 1998.

Simon Sebag Montefiore, *Stalin: dwór czerwonego cara*, Magnum, 2004.

Timothy Snyder, *Skrwawione ziemie: Europa między Hitlerem a Stalinem*, Świat Książki, 2011.

NAZIZM

Hannah Arendt, *Korzenie totalitaryzmu*, Wydawnictwa Akademickie i Profesjonalne, 2008.

Hannah Arendt, *Eichmann w Jerozolimie: rzecz o banalności zła*, Znak, 1998.

Joachim Fest, *Hitler*, Wydaw. Michał Urbański, 1995, 1996.

Joachim Fest, *Oblicze Trzeciej Rzeszy*, Czytelnik, 1970.

Saul Friedländer, *Nazi Germany and the Jews: The Years of Persecution, 1933–1939*, Harper Collins, 1997.

Saul Friedländer, *Czas eksterminacji: nazistowskie Niemcy i Żydzi 1939–1945*, Prószyński Media, 2010.

Günter Grass, *Blaszany bębenek*, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1983.

Ian Kershaw, *Hitler*, Prószyński i S-ka, 2001.

Felix Kersten, *The Kersten Memoirs (1940–1945)*, Hutchinson, 1957.

Peter Longerich, *Himmler. Buchalter śmierci*, Prószyński Media, 2014.

Michaël Prazan, *Einsatzgruppen*, Seuil, Points/Histoire.

Michel Tournier, *Król Olch*, Śląsk, 1990.

Stanislav Zámečník, *To bylo Dachau*, Paseka, 2003.

MAOIZM

Jung Chang, Jon Halliday, *Mao*, Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz, 2007.

Jean-Luc Domenach, *Mao, sa cour et ses complots*, Fayard.

Yang Jisheng, *Stèles, la grande famine en Chine, 1958–1961*, Seuil.

Alexander V. Pantsov, Steven I. Levine, *Mao, the real story*, Simon and Schuster.

Jean Pasqualini, *Prisonnier de Mao*, Gallimard, Témoins.

OBOZY ŚMIERCI

Robert Antelme, *L'Espèce humaine*, Gallimard.

Raul Hilberg, *Zagłada Żydów europejskich*, Piotr Stefaniuk, 2014.

Primo Levi, *Czy to jest człowiek*, Wydawnictwo Literackie, 2008.

David Rousset, *L'Univers concentrationnaire*, Pluriel.

Elie Wiesel, *Noc*, Wydawnictwo Literackie, 2007.

OKUPACJA NIEMIECKA WE FRANCJI

Simone de Beauvoir, *W sile wieku*, Jacek Santorski 2004.

Gilbert Joseph, *Une si douce occupation, Simone de Beauvoir et Jean-Paul Sartre, 1940–1944*, Albin Michel.

Irène Némirovsky, *Francuska suita*, Albatros, 2006.

XX WIEK OGÓLNIE

Simone de Beauvoir, *Druga płeć*, Jacek Santorski, 2003.

Saul Bellow, *Herzog*, Rebis, 2001.

Albert Camus, *Człowiek zbuntowany*, Muza, 2002.

Marguerite Duras, *Tama nad Pacyfikiem*, Czytelnik, 1960.

Winston Groom, *Forrest Gump*, Zysk i S-ka, 1998.

Jonas Jonasson, *Stulatak, który wyskoczył przez okno i zniknął*, Świat Książki, 2012.

Jack Kerouac, *W drodze*, W.A.B., 2012.

J.M.G. Le Clézio, *Protokół*, Państwowy Instytut Wydawniczy, 2008.

Norman Mailer, *Amerykańskie marzenie*, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1992.

Tierno Monénembo, *L'Aîné des orphelins*, Points-Seuil.

J.D. Salinger, *Buszujący w zbożu*, Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz, 2013.

Gaëtan Soucy, *Dziewczynka, która za bardzo lubiła zapalki*, Oficyna Literacka Noir sur Blanc, 2007.

John Steinbeck, *Tortilla Flat*, Prószyński Media, 2013.

Kurt Vonnegut, *Rzeźnia numer pięć*, Zysk i S-ka, 2003.

Simone Weil, *Siła ciężenia i łaska*, Instytut Literacki, 1958.

